

Antoni Marczyński

***STRZAŁ O
ŚWICIE***



2012

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Rozdział XXX
Rozdział XXXI
Rozdział XXXII

ROZDZIAŁ I

Za ścianą zaszeleściło coś podejrzanie.

— O, Boże, co to?!

— Wiatr tak harcuje, dobrodziejko, na pewno wiatr.

Wiatr dał co raz silniej. Niekiedy jego maleńkie strzępy wdzierały się do sali jadalnej przez jakieś niewidoczne szpary przy oknach i wtedy płomyki świec w kandelabrach chwiały się denerwująco.

— Wciąż mam wrażenie, że ktoś puka.

— To deszcz bębni w szyby.

Szyby aż drżały od gwałtownych podmuchów wichru, ale swoją drogą coś gdzieś pukało najwyraźniej.

— Znowu! Słyszycie?

Ten i ów z obecnych skinął głową potwierdzająco, lecz Kazimierz Marski, generalny administrator dóbr Jana Boltona był innego zdania.

— Wiatr szarpie którąś okiennicą na parterze... Kto by tam pukał. Kto by w ogóle wychodził na taką słotę — westchnął tendencyjnie, bo miał stąd do domu ćwierć mili.

— Przenocuję pan tutaj.

Marski podziękował chlebodawcy za zaproszenie, poweselał od razu i z większym zapałem zaczął bawić

rozmową jego dwie przyrodnie siostry, swoje najbliższe sąsiadki przy stole. Obie były wdówkami, obie przekroczyły pięćdziesiątkę, obie przywiozły tu dzisiaj swoją progeniturę; Elżbieta Reyowa dwudziestoosmioletniego jedynaka Witolda, a Magdalena Dorn całą trójkę, Wawrzyńca, Tytusa i córkę Lidię, która już dwa razy zdążyła się rozwieść. Oprócz wymienionych znajdowali się tutaj: Ludwik Bolton z żoną oraz kuzynka gospodarza, Julia Dorazilowa z mężem.

— Dzięki Bogu, jest nas przy stole dwanaście osób.

To się zgadzało, ale czemu *droga siostrunia* chce za to Bogu dziękować, tego Jan Bolton zrozumieć nie mógł.

— A gdyby było na przykład trzynaście, to co? — spytał.

— Boże uchwaj! Trzynaście osób przy stole to nieszczęście!

— Czy są jeszcze na świecie ludzie tak ograniczeni, by wierzyć w podobny zabobon?

To retoryczne pytanie było drobnostką w porównaniu z innymi impertynencjami, jakich się tu goście dzisiaj nasłuchali. Stary milioner od rana wysiłał się wprost, by kogoś z zaproszonych wytrącić z równowagi ducha. Jak dotychczas był to daremny trud. *Może jego wybór padnie na mnie?* myślał każdy, a perspektywa odziedziczenia tak olbrzymiego majątku pozwalała strawić gładko wszelakie przykrości. Robiąc dobrą minę do złej gry, uśmiechali się grzecznie, słodko, przymilnie, choć Jan Bolton dokuczał im bez miłosierdzia...

Za ścianą znów rozległy się szelesty, wywołujące mimo woli dreszcz.

— Co to może być?!

— Już wiem! Rozkołysane gałęzie drzew ocierają

się o mury budynku. — Marski umiał sobie wszystko wytłumaczyć realnie.

Aż nagle zaszło coś, co nawet jego wprowadziło w zdumienie, graniczące z obłądnym przestraszaniem... Wicher zadał potężniej, jedna z szyb rozprysnęła się na kawałki, a przez ten wyłom w oknie wjechała do pokoju niemal po kolano **ludzka noga!**

Staremu Boltonowi wypadło z ust cygaro, siwiuteńki zgarbiony lokaj Maciej wypuścił z rąk tacę z kieliszkami, ale dźwięk tłukącego się szkła zagłuszyły przeraźliwe krzyki kobiet.

Wtem huk! Podmuch wiatru zatrzęsął z silnym łoskotem drzwi wiodące z jadalni na galerijkę obiegającą hall dokoła.

Noga obciśnięta w żółtą sztylpę i obuta w gruby trzewik sportowy wierzgnęła rozpaczliwie i wyjechała tą samą drogą, jaką tu wtargnęła. Całe to makabryczne widowisko trwało zaledwie dwie sekundy, czas aż nadto długi, by każdy z obecnych mógł sobie przypomnieć, że jadalnia znajduje się na **piętrze!** Że jej okna dzieli od poziomu dziedzińca przeszło sześć metrów, gdyż parter jest bardzo wysoki.

Ponure widowisko było skończone, ale w oknie pozostała duża, prostokątna dziura i wiatr zaczął szaleć w jadalni. W mgnieniu oka zgasił połowę świec, zwichrzył paniom fryzury, po czym zabrał się do serwet, obrusów, firanek.

— Ja tu dłużej nie wytrzymam!

Za przykładem Lidii Torelli kobiety rzuciły się do ucieczki. Panowie załatali jako tako wyłom w oknie i pośpieszyli do pań, które schroniły się do hallu. Tam było stosunkowo najzaczisniej, a zrobiło się nawet wcale

przytulnie, kiedy zapalono w kominku. Pomimo to nastrój wśród obecnych nie uległ zmianie; nikt nie zdołał otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło niesamowite ukazanie się nogi ludzkiej...

— Może — przemówił wreszcie Marski — może ulegliśmy złudzeniu.

— Sam pan chyba w to nie wierzy.

— A co wybiło szybę?

— Prawdopodobnie gałąź.

— Gałąź w sztylpie i trzewiku, co?! — Jan spojrział na swego plenipotentą z politowaniem. — Różne rzeczy pan już zdołał we mnie wmówić, panie Marski, ale tym razem nie uda się sztuka... To była **noga!**

— Czyja?!

— Może złodzieja — odezwała się Irena Bolton po chwili ogólnego milczenia. — Złodzieja, który po lince chciał się dostać do pałacu, nie mogąc wyłamać dębowych okiennic na parterze.

— I, żeby sobie utrudnić to zadanie, wybił szybę w pokoju, w którym siedzieli wszyscy domownicy, co?

Ironiczne spojrzenie starego Boltona nie zmieszało jej wcale.

— Szybę wybił niechcący — odparła spokojnie. — Prawdopodobnie wicher rzucił go na ścianę budynku w chwili, gdy mijał to okno.

Tej hipotezie nie można było nic zarzucić, lecz gospodarz najwidoczniej dążył do tego, by swoim niezamożnym krewnym zatruć każdą chwilę pobytu w pałacu.

— Ludwiku, pogratulować ci takiej żony — zawołał; zrobił małą pauzę, pozwalając bratankowi nasycić się tą pochwałą, pierwszą pochwałą, jaką tu dziś

usłyszano, a potem dodał: — Poznać od razu, że jej **jedynym** zajęciem jest lektura kryminalnych romansów.

Czworo przedstawicieli rodziny Dornów wybuchnęło śmiechem jak na komendę, za to Ludwikowi wydłużyła się twarz. Wreszcie odpowiedział:

— Kochany stryjaszek się myli. Irka nigdy nie traci czasu na czytanie książek. Wraz ze mną pracuje ciężko od świtu do nocy.

— Któżby śmiał w to wątpić! — Pochwycił starannie wypielęgnowane dłonie młodej mężatki, odwrócił je w stronę kominka tak, że refleks ognia zamigotał na różowym lakierze jej kształtnych paznokci. — Patrzcie! Tak wyglądają rączki, które od świtu do nocy ciężko pracują! — Parsknął szyderyczym śmiechem, potem zmarszczył brwi i oświadczył takim tonem, jakby piętnował najcięższą zbrodnię: — To są ręce próżniaka, darmozjada, pasozyta!

W hallu nastąpiła grobowa cisza. Ludwik Bolton zbladł, lecz nie ujął się za żoną; za wszelką cenę chciał uniknąć zwady z bogatym stryjem.

— No? Mam rację, czy nie?! — Jan patrzył nań wyzywająco.

— Stryjaszek zawsze ma rację, — wykrztusił bratanek.

Równocześnie Irena syknęła z bólu, w jej oczach zakręciły się łzy; złośliwy starzec ścisnął jej dłonie z całej siły.

Równocześnie Witold Rey skoczył na równe nogi.

— Dość tych szykan! — krzyknął. — Więc po to zaprosiłeś nas tutaj zły, zdziwaczały starcze, żeby się znęcać nad nami?!... Puść ją, albo...

— Witoldzie! — Elżbieta posłała synowi błagalne

spojrzenie, potem zwróciła się do brata. — Janku, wybacz mi, błagam. On cię zaraz przeprosi.

— Ani mi się śniło! Niech on nas przeprosi za te grubiaństwa i...

— Wit, zamilcz!

— Młodzieńcze — przemówił Jan Bolton, ochłonawszy ze zdziwienia, i puścił dłonie Ireny — czy zdajesz sobie sprawę z tego, że mogę ciebie i twoją matkę wydziedziczyć?

— Gwiżdż na to! Nie troszczyłeś się o nas nigdy i daliśmy sobie radę sami. Tym bardziej nie zależy mi na twoich pieniądzach dzisiaj, kiedy własną pracą zdobyłem sobie jakie takie stanowisko.

— Jasieczku, on się upił twoim świetnym winem. Ale ty chyba...

— Wstydz się, matko! Nie dziwiłbym się któremuś z tych płazów — wzgardliwym ruchem wskazał kolekcję ciotek i kuzynów — lecz ciebie nie podejrzewałem o takie służalstwo!

— On nas wszystkich obraził! — Magdalena Dorn spojrziała znacząco na swoich synów. — Czy nikt tu nie ujmie się za kobietami?! Za czcigodnym starcem, którego znieważają w jego własnym domu?!

Wawrzyniec Dorn powstał, wcisnął monokl w oko, chrząknął wojowniczo i usztywniony wspaniale, ruszył w stronę Witolda, a za nim ociężyły Tytus, który nawet nie wiedział, o co chodzi, ale zawsze solidaryzował się z bratem.

Lecz do konfliktu pomiędzy kuzynami nie doszło. Energiczne spojrzenie gospodarza osadziło w miejscu braterską parę.

— Siadać! Nie potrzeba mi żadnych obrońców!

— Jasieczku najdroższy, ja chciałam tylko...

— Milczeć! — Jan Bolton podszedł do nachmurzonego Witolda. — No?!

— Czego pan sobie życzy?

— O, *pan!*... Życzę sobie, abyś mnie przeprosił.

— Tego się pan ode mnie nie doczeka!

— Wit! — Elżbieta załamała ręce. — Przeproś wuję; matka cię błaga!

— Nie, matko. Ja mam swoją ambicję!

— Więc nie?! — Jan podniósł głos. — Nie przeprosisz?!

— Nie, ty śmieszny kacyku! — Rzekłszy to, Witold Rey odwrócił się na pięcie, a wychodząc z hallu, zatrzasnął drzwi z łoskotem...

— No, moi drodzy — oświadczył Jan Bolton ze złowrogim uśmiechem — po tym, co tutaj zaszło, mam was serdecznie dosyć. Nie wypędzam was na noc, ale jutro rano zechcecie łaskawie mój dom opuścić... A różne błogie nadzieje na spadek po mnie możecie sobie wybić z głowy na zawsze i... Żegnam.

Brakowało kilka minut do dziesiątej, kiedy stary milioner wypowiedział te słowa do osłupiałych krewniaków. O jedenastej burza przesiliła się, a na krótko przed północą wypogodziło się zupełnie i uciszyło. Stary zegar gdański zaczął właśnie wybijać dwunastą, gdy w gabinecie gospodarza **padł strzał!**

ROZDZIAŁ II

— Nieszczęście!

— Co? Co się stało?

— Jan się zastrzelił!

Jan Bolton leżał na wznak u stóp wmurowanej w ścianę olbrzymiej szafy z książkami. Był jeszcze ciepły, ale jego serce już bić przestało na zawsze, przeszyte na wylot celnym strzałem. W zaciśniętej dłoni trzymał rewolwer.

— Mauzer, kaliber 6,35. Hm, to przecież jego rewolwer!

— No, chyba! Czy to pana dziwi?

— Bardzo! — odparł Marski, muskając przenikliwym wzrokiem twarz krewnych zmarłego. — To dowodzi, że zabójca miał...

— **Zabójca?!**

— Co pan wygaduje!

— Jaki zabójca?!

— Pan sądzi... śmieszne doprawdy!... że to nie było samobójstwo?

— Oczywiście, że nie! Słyszałem wyraźnie okrzyk: *na pomoc!*

— To niczego nie dowodzi.

— To by nie dowodziło niczego, gdyby okrzyk zabrzmiał po wystrzale. Ale ja go słyszałem przed detonacją... A to tutaj, — wskazał poprzewracane krzesła i foteliki — czyż nie wskazuje na to, że mój chlebowdawca stoczył z kimś zacieklą walkę przed zgonem?!

— O, Boże! On ma podbite oko! — zauważyła Elżbieta Reyowa, klęcząc przy zwłokach brata. — Biedny, biedny Jasieczek...

Raz po raz robił ktoś nowe spostrzeżenia, a wszystkie potwierdzały hipotezę Marskiego, że właściciel Jeleniowa nie popełnił samobójstwa, lecz został zabity przez kogoś.

— Ale przez kogo?! Kto mógł popełnić tak ohydną zbrodnię?!

— Nie przypuszczam, aby ktoś z zewnątrz — odparł Marski.

— Zatem — Irena wzdrygnęła się — zatem zabójca jest wśród nas!

Milczenie jakie zaległo po tych słowach i wzajemne obrzucanie się podejrzliwymi spojrzeniami uczyniły atmosferę nie do zniesienia.

— Wyjdźmy stąd — rzekła Lidia błagalnie.

Wyszli do hallu, a Marski drzwi od gabinetu zamknął na klucz.

— Przed przybyciem policji nie powinien tam już absolutnie nikt wchodzić — rzekł, namyślając się, komu ma wręczyć klucz. Nie umiejąc rozstrzygnąć tej kwestii, wypowiedział swe wątpliwości głośno.

Ludwik Bolton pierwszy wyciągnął rękę po klucz.

— O, przepraszam — zaprotestowała Magdalena Dorn — jako siostra...

— Przyrodnia siostra, przyrodnia!

— To nie ma nic do rzeczy.

— Owszem, ma. Według ustawy najbliższym krewnym zmarłego jestem ja. I ja teraz obejmuję rządy!

To kategoryczne oświadczenie Ludwika wywołało żywe sprzeciwy większości obecnych i tuż pod drzwiami gabinetu zmarłego rozpoczęła się pierwsza kłótnia rodzinna. Stało wreszcie na tym, że klucz pozostanie w drzwiach, a problem, kto ma *objąć rządy* rozstrzygnie notariusz.

— Zawiadomię go o śmierci mego chlebodawcy zaraz jutro...

— Dzisiaj, chciał pan powiedzieć; teraz jest pięć minut po pierwszej.

— Tak, dzisiaj. A teraz wyślę konie po policję... Państwu zaś radzę udać się na spoczynek; czeka was przesłuchanie i... i w ogóle dużo tarapatów. — Ostatnie słowa wyrzekł Marski już w drzwiach.

Nikt nie usłuchał tej rady.

— Oka bym nie zmrużyła.

— Ani ja... Ani ja... Po tym co zaszło, zasnąć?!

Nawet Ludwik przyznał słusność ciotce Magdalenie. W rzeczywistości zatrzymywała ich wszystkich w hallu obawa, by ktoś nie wślizgnął się do gabinetu Jana Boltona i nie ściągnął tam czegoś; nastrój wzajemnej nieufności potęgował się z każdą chwilą, a klucz tkwiący w zamku owych drzwi nabrał jakichś magnetycznych własności dla oczu całej rodziny zmarłego. Jednocześnie myśli wszystkich tych osób pochłaniało dręczące pytanie, czy Jan pozostawił testament i jaka jest jego treść. Że jednak nie wypadało jeszcze mówić o tym, rozmawiano na temat samej zbrodni. Każdy uważał za swój obowiązek dowieść, że nie mógłby być jej sprawcą, gdyż w

krytycznym momencie przebywał gdzieindziej i ma na to świadków.

— Lidia — zaczęła Magdalena Dorn — i ja nie wychodziłyśmy ani na chwilę z naszego pokoju.

— Ani ja — wtrącił Wawrzyniec. — Niech Tytus poświadczy.

— Ja spałem, ale daję głowę, że mój brat jest niewinny.

Po Tytusie usprawiedliwiali się Dorazilowie i Elżbieta Reyowa, która także gotowa była przysiąc, iż jej syn ze swego pokoju nie wychodził.

— Ja również mogę mieć **takie** alibi dzięki Irenie — rzekł Ludwik Bolton z niemiłym uśmiechem. — Należy się jednak liczyć z tym, że policja uzna nasze familijne *zaświadczenia niewinności* za niewystarczające. **I słusnie!** Bo zabójcą stryja mógł być tylko ktoś **z naszego grona!**

— Ale, kto, na Boga! Kto?!

— Może sami do tego dojdziemy... Czy nie macie nic przeciwko temu, abym się zabawił w sędziego śledczego?

— Oczywiście, że nie.

— Zatem rozpoczynam „urzędowanie”... Nas obudził Wawrzyniec; a ciebie kto zbudził?

— Wuj Waclaw.

— A ciebie, Waclawie?

— On. — Waclaw Dorazil wskazał Witolda Reya.

— A ciebie, kuzynie?

— Nikt. Sam usłyszałem strzał, gdy byłem w jadalni.

— O! W jadalni! Więc jednak wychodziłeś z pokoju!

— Tak. Zachciało mi się pić. W pokoju moim nie

było ani szklanki wody, wobec czego udałem się do jadalni. Tam znalazłem karafkę. Nagle posłyszałem huk. Nie przypuszczałem, że to strzał. Drzwi gdzieś trzasnęły — sądziłem i zaspokoiwszy pragnienie, ruszyłem w powrotną drogę... W hallu wpadł na mnie Marski z takim impetem, że omal nie runęliśmy obydwaj.

— Tak pośpiesznie uciekał?!

— Tego nie twierdzę, że uciekał. Powiedział, że biegnie po nas, bo wuj się zastrzelił.

— Hm, zatem Marski **pierwszy** z nas wszystkich wiedział, że stryj Jan nie żyje.

— I pierwszy później wpadł na to — wtrąciła Magdalena — iż nie miało tu miejsca samobójstwo, ale zbrodnia!

— A jak on do ciebie powiedział: że stryja zabito, czy, że się...

— Że się zastrzelił — odparł Witold stanowczo. — Na pewno!

— Hm, to ciekawe, to bardzo ciekawe...

Umilkli na dłuższą chwilę. Siedzieli w prawie zupełnych ciemnościach, gdyż kominek dogasał, świece wypaliły się od dawna, a po nowe nikt się nie kwapił odejść; wypadki tej nocy nie zachęcały do takiego spaceru.

— Och, jak tu ciemno.

— I pomyśleć — Witold zawtórował matce — że budynki wszystkich folwarków wuja mają oświetlenie elektryczne, a pałac nie.

— To właśnie ma swój urok, kuzynku — zaszemrał głos Lidii.

— Jaki tam urok.

— Taki... — uczuł na policzku gorący pocałunek — taki, że łatwiej o miły nastrój, nie uważasz? — Znów go

musnęła ustami.

— Hm, zapewne — przyznał — lecz dzisiejsza noc się do **tego** wcale nie nadaje. — Pomimo tych zastrzeżeń, nie wypuścił z rąk miękkiej kobiecej dłoni, która się doń wysunęła w ciemnościach.

Wawrzyniec i Tytus, siedzący obok Ireny, przypuścili do niej podobny atak z dwóch stron równocześnie, ale bez powodzenia.

Natomiast starsi powrócili do dawnego tematu rozmowy.

— Ludwiku, odpowiedz mi szczerze — prosiła Julia — czy ty posądzasz o to zabójstwo Marskiego?

— A ty?

— Ja... ja mogę tylko tyle powiedzieć, że ten administrator biednego Janka nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia.

— To samo chciałam powiedzieć — wtrąciła żywo Magdalena. — I jestem pewna, że on zabił naszego kochanego... — umilkła, gdyż w tej chwili otworzyły się drzwi, wiodące z hallu do przedsionka i w progu stanął jakiś człowiek z latarnią w dłoni.

— Kto to? — Lidia przytuliła się do Witolda.

— To przecież tutejszy stangret, Mateusz.

— Czego chcecie?

Przybyły teraz dopiero dojrzał rodzinę dziedzica, skupioną w drugim końcu rozległego hallu i co prędzej zerwał czapkę z głowy.

— Pan administrator proszom, coby wielmożni państwo galop przylecieli do oficyn — oznajmił.

— A dlaczego to mamy tam *galop* przylecieć?

— Bo pan administrator chycił tego drania, co zabił wielmożnego pana dziedzica.

Zelektryzowani tą wieścią, pobiegli na wyścigi, aż w drzwiach uczynił się zator. Ten przymusowy przystanek, wypadek przecież ogromnie błahy, miał poważne następstwa. Oto jedna z osób tu obecnych, korzystając z ciemności przyczaiła się za drzwiami i pomknęła do pokoju, w którym leżał zabity, skoro tylko przebrzmiały kroki innych, spieszących do oficyn, by zobaczyć domniemanego sprawcę zbrodni...

ROZDZIAŁ III

Był to szczupły, wysoki młodzieniec, wyglądający na lat dwadzieścia lub mało co więcej. Miał na sobie skórzaną kurtkę, krótkie spodnie, żółte sztylpy i grube sportowe trzewiki, a jego czapka z okularami automobilowymi leżała obok łóżka na krześle.

Spoczywał bowiem na łóżku kucharza Marcina, do którego izby odniesiono go kilka minut temu. Gdy rodzina Jana Boltona przybyła do oficyn pałacu, gdzie mieszkała służba, Marski w krótkich słowach opowiedział, co zaszło od chwili, kiedy wyszedł z hallu.

— Obudziłem Mateusza i razem udaliśmy się do wozowni, gdzie mu pomogłem wyciągnąć bryczkę. Gdy Mateusz odszedł do stajni po konie, posłyszałem jęk. Zacząłem nadśluchiwać, rozglądać się, aż w końcu spostrzegłem tego człowieka — wskazał nieznajomego. — Na czworakach czołgał się po ziemi. Z pomocą Mateusza przenieśliśmy go tutaj, po czym poleciłem poprosić państwa, abyście byli obecni przy jego przesłuchaniu...

— O, przesłuchanie! A cóż to, czy ja co ukradłem?!

— Nie mam prawa przeszukać pańskich kieszeni, ale...

— No, myślę!

— ...ale uczyni to za godzinę policja, po którą Mateusz właśnie wyjeżdża. — Jakby na potwierdzenie tych słów, zaturkotały za oknami koła bryczki na wybrukowanym dziedzińcu pałacu. — Wtedy przekonamy się naocznie — ciągnął dalej Marski — czy pan jest również i złodziejem. Ja sądzę, że tak, bo jakże inaczej wytłumaczyć pobudki pańskiej ohydnej zbrodni?!

Nieznajomy wybałuszył oczy, zamrugął, potem przeniósł wzrok na osobę stojącą najbliżej, czyli na Lidie Torelli.

— Piękna damo — spytał — czy ten jegomość jest upośledzony na umyśle, czy tylko pijany jak bela?

— Wypraszam sobie! — huknął Marski.

— Wybacz pan, ale moje pytanie było tak uzasadn...

— Pytania będę zadawał ja, a nie pan, młody człowieku.

— Ha, więc pytaj, stary człowieku, lecz później ja ci powiem coś do słuchu!... Zatem?

— Kim pan jest i w jakim celu przybył pan tutaj o tej porze?!

Młodzieniec wsunął dłoń do kieszeni kurtki, wyjął stamtąd i rozwinął pomietą stronicę jakiegoś dziennika, której połowę zajmowało wydrukowane całowymi czcionkami ogłoszenie tej treści:

**NIE MOGĄC SIĘ ZDECYDOWAĆ, KOGO
POWINIENEM USTANOWIĆ SWOIM
UNIWERSALNYM SPADKOBIERCĄ, PROSZĘ
WSZYSTKICH MOICH KREWNYCH, ABY MI
WYBACZYLI DAWNE DZIWACTWA I W DNIU**

MOICH URODZIN, A ZARAZEM IMIENIN, CZYLI 6 MAJA ZECHCIELI PRZYBYĆ DO MNIE.

JAN BOLTON

Obecni tylko rzucili okiem na gazetę. Nie musieli czytać tego ogłoszenia, znali je na pamięć, przecież właśnie ono ściągnęło ich wszystkich do pałacu Jana Boltona, który tak tragicznie zakończył życie w dniu swoich imienin, a zarazem swojej sześćdziesiątej rocznicy urodzin.

— Przeczytawszy to — zaczął nieznajomy — wybaczyłem dzisiejszemu solenizantowi owe *dawne dziwactwa*, bliżej mi zresztą nieznanne, wybaczyłem mu również to najświeższe dziwactwo, jakim było zamieszczenie tak kosztownych ogłoszeń w tyłu czasopismach, natomiast nie mogę mu wybaczyć tego, że nie podał swojego adresu...

— Gadanie! Każde dziecko w powiecie wie, że Jan Bolton...

— Tak, w **waszym** powiecie. Lecz w moim, który dzieli stąd przestrzeń z górą pięciuset kilometrów, Jan Bolton jest figurą równie nikomu nieznaną, jak na przykład Tilden¹ wśród Pigmejów z Kongo... Wyszukanie jego adresu kosztowało mnie więcej zachodu, niż wsunięcie dwóch bramek Kanadyjczykom, o którym to wyczynie moim musieliście w zimie czytać. Czego się jednak nie robi, by zostać uniwersalnym spadkobiercą burżuja, który...

— Przepraszam — wtrąciła Magdalena Dorn, mocno zaniepokojona ostatnimi słowami młodzieńca — więc pan także pretenduje do spadku?

— Rozumie się!

— Na jakiej podstawie?

— Na tej, że nazywam się Bolton... Państwo pozwolą, że się formalnie przedstawię: Michał Bolton jestem, środkowy napastnik klubu sportow...

— To pan?! Jakże się cieszę! — Witold Rey przecisnął się do łóżka i jął serdecznie potrząsać prawicą słynnego sportsmena. — Tyle razy oglądałem pańską podobiznę w gazetach i nie poznałem teraz, no!

— Bo ja się dla kawału zawsze wykrzywiam, jak mnie fotografują.

— Przepraszam — wtrąciła znów Magdalena Dorn, a wzrok jej stał się zamrażający niczym maszynka do lodów. — A właściwie kto pana rodzi?!

— Aktualnie nikt. Łaskawa pani chciała chyba spytać, kto mnie urodził temu lat dwadzieścia dwa — odparł Michał wesoło. — Ano, moja mamusia.

— Nie pora teraz na żarty! Ja chcę ustalić stopień pokrewieństwa pomiędzy moim biednym bratem Janem a panem.

— Myślałem, że tu się dowiem, jacy my krewni... Wszystko, co mogę rzec w tej materii to to, że on wabi się Bolton, a ja również.

— No, tak, ale to jest dużo za mało, aby zgłaszać pretensje do spadku po moim świętej pamięci bracie!

— Jak to, świętej pamięci? Czyżby szanowny burżuj, nie czekając mego przybycia, pośpiesznie odwalił kity?

— Młody człowieku! — Marski zmarszczył brwi. — Pańskie wulgarne wyrażenia mogą nie razić na boisku sportowym, ale tu rażą bardzo!... A wręcz oburzające jest, że pan po tym, co pan uczynił, udaje niewiniątko!

— Kto udaje, ja?!... Wiem, com zrobił i bardzo tego

żałuję, ale...

— Słyszeliście?! Sprawca się **przyznaje!**

— Tak, ale zaznaczam, że nie byłoby się to wydarzyło, gdyby tam była wisiała jaka... choćby latarka.

— Pan chce przez to powiedzieć, że dokonał zbrodni po ciemku?

— Zbrodni?! Byczy typ, słowo daję! Państwo słyszeli? Ten miły piernik nazywa zbrodnią połamanie kilkunastu krzewów róż. Ha, ha, ha, ha...

— Tu zachodzi jakieś nieporozumienie — przemówił Witold Rey, kiedy przebrzmiał hałaśliwy śmiech Michała Boltona.

Istotnie zaszło nieporozumienie i to grubszego kalibru: obecni mieli na myśli zbrodnię, której ofiarą padł Jan Bolton, a sportsmen myślał o różach, które zgilotynował i stratował swoim motocyklem, zjechawszy w ciemnościach z drogi na olbrzymi klomb kwiatów przed pałacem.

— Co tu się dziwić — ciągnął dalej Michał. — Zmykając przed burzą gnałem pięćdziesiąt na godzinę, i to na oślep, bo światło mi się popsulo... Nagle hops, zaczynam podskakiwać i coś mnie drapie po buzi. Róże! Zahamowałem, lecz maszyna już się zaryła w jakiś gęsty żywopłot tak, że ani rusz nie mogłem jej wyciągnąć. Podszedłem więc do bramy na własnych pedałach. Szukam dzwonka, nie ma... Nie ma, jak babcie kocham!

— To się zgadza — wtrącił Witold z uśmiechem, dzwonki, światło elektryczne, telefon, radio, to wynalazki nieznanne w tym pałacu.

— Żebym to był wiedział!

— I co potem? — przynaglał go Marski.

— Potem zaczynam pracować w bramie obcasami, aż

dudni. I nic. Nikt nie przychodzi. A tu deszcz leje, jak jasna choooo... okropnie. Myślę sobie — wleżę oknem. — Ba, kiedy cały parter ma dębowe okiennice. Lecz w kilku oknach na piętrze widzę światło. Biegnę w tę stronę, wołam, krzyczę, ryczę i znowu guzik. Wicher dmie wściekle, głuży moje słowa... Wtem wpada mi w oko... nie bierzcie tego dosłownie... wpada mi w oko drzewo, rosnące tuż obok ściany budynku. Drapię się na nie bez namysłu. Jestem już na wysokości piętra, nagle jak wiatr nie dmuchnie! Czuję, że drzewo się gnije, że wyrżnie mną o mur. Wysuwam więc giczoły, aby z nich zrobić sobie resory i brzdęk, rozbijam jakieś szyby. Potem drzewo czyni wygibasa w drugą stronę, wyciąga mnie z okna i wyrzuca jak z procy. Przy lądowaniu zahaczam główką o coś twardego, tracę przytomność, ale prysznic ulewy cuci mnie w końcu. Nie mogąc powstać, czołgam się po ziemi i po dłuższym takim spacerze spotykam tego miłosiernego Samarytanina — wskazał Marskiego. — *Oto są grzechy mojego żywota*. Jestem gotów okazać skrucę, jeśli kolacja będzie first class...

Słuchacze już od chwili wymieniali między sobą wymowne spojrzenia. Zeznania sportowca pokrywały się w zupełności z tym, co oni wszyscy zaobserwowali, gdy siedzieli w jadalni.

— Czy nie mówiłam wtedy, że coś stuka? Że ktoś woła pod oknami?

— Spójrzcie — Magdalena zawtórowała siostrze — spójrzcie no tutaj — wskazała żółte sztylpy i sportowe trzewiki Michała — przecież to jest ta noga, która nas tak przeraziła!

Marski zadał *młodemu człowiekowi* jeszcze całą litanię pytań, przejrzał jego dokumenty osobiste i w końcu

także wypadł z roli prokuratora. Odpowiedzi Michała Boltona zbiły go z tropu doszczętnie. Lecz, jeżeli on był naprawdę niewinny, to tragiczna śmierć pana pałacu pozostała nadal nierozwiązaną zagadką.

— Och, niechże policja już raz przybędzie i wyjaśni tę straszną tajemnicę — westchnął ktoś, wypowiadając głośno to, czego pragnęli gorąco wszyscy... Wszyscy, z wyjątkiem dwóch osób! Jedna z nich przed chwilą wślizgnęła się tutaj niespostrzeżenie, gdyż całą uwagę obecnych przykuwał do siebie Michał Bolton...

W małej izbie zrobiło się duszno. Tytus Dorn otworzył więc drzwi na oścież i... i krzyknął:

— Tam!... Patrzcie, tam! — bełkotał, wskazując ręką przed siebie.

Podbiegli, spojrzeli i zastygli w bezruchu. W oknie narożnego pokoju pałacu na drugim piętrze paliło się światło.

— Kto tam wszedł?! — warknął Marski.

Odwrócił się, jął wzrokiem liczyć obecnych. W izbie kucharza przebywały w tej chwili następujące osoby: Ludwik Bolton, jego żona Irena, Elżbieta Reyowa, jej syn Witold, Magdalena Dorn, jej dzieci Lidia, Wawrzyniec i Tytus, Waław Dorazil, jego żona Julia, Kazimierz Marski, Michał Bolton, stary lokaj Maciej i kucharz Marcin. Stangret Mateusz pół godziny temu odjechał bryczką do miasteczka.

— Można oszaleć! — zirytował się Marski, przeliczywszy raz jeszcze zebrane tu osoby z tym samym wynikiem. — Jesteśmy tutaj wszyscy, a tam, w pokoju nieboszczyka... w pokoju, który własnoręcznie zamknąłem na klucz... **pali się światło!!**

¹ William Tilden – gwiazda tenisa w latach dwudziestych XX w. Miał 190 cm wzrostu. (Wszystkie przypisy od red.)

ROZDZIAŁ IV

Jak zahipnotyzowani stali w miejscu przez dłuższą chwilę, nie mogąc oderwać wzroku od okna pokoju, w którym o północy rozegrał się tajemniczy dramat. Wpatrywali się w ten wysoko nad ziemią zawieszony prostokąt światła w oczekiwaniu pełnym grozy, że lada chwila ujrzą na tle firanki jakiś cień. Ale czekali na próżno...

— To nie świeca, tam lampa się pali — mruknął Wawrzyniec Dorn.

— Lecz kto ją zapalił?! Kto tam był, pytam!

— Może należałoby spytać, kto tam jest...

— **Jest?!** — Marski wyjął z kieszeni rewolwer. — Jeżeli pan ma słuszość, to ten zuchwały łotr nam nie ujdzie!... Proponuję, aby panie pozostały tutaj, a my mężczyźni zapolujemy na tego ptaszka.

Panie nie chciały jednak tu pozostać. W „ekspedycji” mieli więc wziąć udział wszyscy, nie wyłączając Michała Boltona, w którym duch sportowy zapanował od razu nad mdłym, bo przez upadek z drzewa potłuczonym ciałem.

Dowództwo objął Marski. Chcąc uniemożliwić

ucieczkę tajemniczemu intruzowi, pozostawił przy bramie dwóch ludzi, to jest Tytusa Dorna i kucharza Marcina. Wacław Dorazil awansował na wojskiego, czyli objął pieczę nad paniami, które miały zaczekać na dole w hallu.

— Tylko proszę światła nie zapalać, ani nie rozmawiać! — upominał Marski szeptem, zanim ruszył w dalszą drogę z pozostałymi mężczyznami.

Ponieważ wiedzieli, że schody w hallu trochę skrzypią, udali się do tylnej klatki schodowej. Przybywszy na drugie piętro, przystanęli na chwilę. Nic, cisza.

— A tam wciąż się świeci!

W tym miejscu, gdzie korytarz łączył się z gankiem obiegającym hall dokoła, znajdowały się drzwi wiodące do gabinetu gospodarza; przed nimi to właśnie jaśniała na podłodze żółtawa kresa światła.

— Czyli, że drab jeszcze nie wyszedł i nakryjemy go in flagranti — mruknął Ludwik Bolton, odsuwając bezpiecznik swojego rewolweru.

Na palcach podeszli do drzwi i Marski pchnął je gwałtownie, naciskając równocześnie klamkę.

— Zamknięte?!

Michał Bolton miał przy sobie kieszonkową latarkę elektryczną. Gdy ją zapalił stwierdzili, że klucz tkwi w zamku jak przedtem. Marski przekręcił go jak najciszej, po czym zniechęca otworzył drzwi na oścież, wpadł do pokoju, a za nim Michał, Ludwik, Witold, Wawrzyniec i sędziwy Maciej. Szybкими spojrzeniami przeszukali każdą kąt gabinetu gospodarza, lecz bez rezultatu; intruza, którego spodziewali się zastać już tutaj nie było.

— Czy macie pewność, że w ogóle był? — spytał Michał.

— A kto lampę zaświecił?!

— Może wy sami, tylko zapomnieliście o tym.

— Niechże pan nie gada głupstw, bo stracę cierpliwość — zachnął się Marski. — Kiedy zwabieni wystrzałem przybiegliśmy tutaj o północy, zapaliliśmy świece w tych dwóch kandelabrach. Lampy nie, za to dam sobie uciąć rękę!... Zresztą ta lampa nigdy tu nie stała.

— Hm, prawdę rzekłszy, taka ordynarna lampa nawet nie pasuje do tego przepychu — myślał głośno Michał, rozglądając się po gabinecie.

— To jest jedna z korytarzowych lamp. I przedtem jej tu nie było, powtarzam jeszcze raz.

— Zatem ktoś ją tu przyniósł po waszym odejściu.

— To nie ulega wątpliwości. Ale którądy drab wyszedł?

— Zwyczajnie, drzwiami, które za sobą zamknął na klucz, aby nikt nie wiedział o jego wizycie w tym pokoju. A spieszył się gość bardzo, skoro przez zapomnienie pozostawił tutaj lampę, w dodatku zapaloną.

— Przypuśćmy, że tak było. Lecz jaki cel miała ta wizyta?...

— Cel? Hm... Może facet chciał coś zwędzić, a może zatrzeć ślady swojej pierwszej obecności w tym gabinecie.

— Pan myśli, ślady swojej zbrodni?

— Może, może... Ale pokażcie mi wpierv nieboszczyka.

Marski wręczył Maciejowi pudełko zapalek, wskazał mu kandelabry, a sam ujął w dłoń lampę i ruszył z nią w głąb pokoju ku wielkiej szafie z książkami. Chcąc tam dotrzeć, musieli okrążyć garnitur klubowych mebli, który zasłaniał widok na zwłoki. Znaleźli je w tym samym miejscu i w takiej samej pozycji, jak leżały przed godziną.

— Dzięki Bogu, ten bezczelny intruz ich nie dotknął
— sądził Marski.

Każdemu z nich mogło się tak wydawać na pierwszy rzut oka, tylko nie Michałowi; młody sportsmen miał zmysł spostrzegawczy wyostrzony, niczym zawodowy detektyw.

— Jużeście mu grzebali po kieszeniach? — spytał, mrużąc oko filuternie. — Z jakim skutkiem?

Tym razem nie tylko Marski oburzył się na *młodego człowieka*.

— Jak pan śmie!

— Co pana uprawnia do tak nikczemnych podejrzeń?!

— Ano, choćby to, że drugi koniec łańcuszka tkwi w całkiem niewłaściwej kieszonce, w której w dodatku nic nie odstaje. — Michał schylił się szybko i pociągnął palcem za ów złoty łańcuszek leżący na piersiach Jana Boltona w najbliższym sąsiedztwie ciemnej plamy krwi; karabinek na końcu łańcuszka nie posiadał żadnego balastu. — Co on tutaj nosił, zegarek czy jaki medalion, czy klucze?

— Kluczyki! — krzyknął Marski, uderzony trafnością tego spostrzeżenia. — Na pewno kluczyki, znam je doskonale.

— Od czego były te klucze?

— Od biurka, od szaf, bo ja zresztą wiem, od czego jeszcze?

Tymczasem Maciej pozapalał świece i z kandelabrem w dłoni ruszył w tę stronę krokiem dostojnym, majestatycznym, jak zawsze. Mężczyźni pochyleni nad zwłokami zasłonili mu widok, toteż dostrzegł trupa w ostatniej chwili. Stał jak wryty, potem runął na kolana, wypuszczając z ręki ciężki świecznik.

Wydając jakieś nieartykułowane dźwięki, przytulił twarz do kolan zabitego, a serdeczny szloch zaczął wstrząsać jego ciałem.

— Nie powinien go dotykać — rzekł szeptem Michał — to utrudni śledztwo. Pies policyjny będzie zupełnie zdezorientowany.

Przyznawali w duchu słuszność sportsmanowi, ale nikt nie miał serca odciągać wiernego sługi od zwłok jego pana.

— Po jakiemu on mówi lub raczej bełkocze?

Wyjaśniono Michałowi, że Maciej jest głuchoniemy, że przez to prawdopodobnie do tej pory nie wiedział nic o śmierci swojego chlebodawcy i dlatego jest taki wstrząśnięty.

— Panowie, chodźmy stąd — upominał Marski.

W powrotnej drodze ku drzwiom rzucił okiem na biurko i zaklął.

— Tego również przedtem nie było — zagrzmiał srogim basem, dążąc w stronę biurka, którego główna, środkowa szuflada była wyciągnięta do połowy; pęk kluczyków wisiał przy jej zamku. — I co panowie sądziecie o tym wszystkim? — spytał, sapiąc z oburzenia.

Ten i ów wybąkał coś mniej lub więcej niedorzecznego, aż w końcu zabrał głos Michał:

— Zagadki śmierci Jana Boltona nie potrafiłbym rozwiązać... na razie, nie znam jeszcze... że tak powiem... lokalnych stosunków. Ale ta sprawa — wskazał odemkniętą szufladę — jest całkiem prosta.

— Nie bardzo, młody człowieku, nie bardzo.

— Owszem, prosta. To, że tajemniczy intruz zostawił zapaloną lampę, że kluczyków nie odniósł tam, skąd je wziął, że nawet szuflady nie zatrzęsnał świadczy,

iż...

— Ktoś go spłoszył? — wtrącił Marski.

Michał skinął głową potwierdzająco.

— Albo też, że to, co znalazł w szufladzie zupełnie go wytrąciło z równowagi ducha.

— Tak go przestraszyło, sądzi pan?

— Lub ucieszyło, zaskoczyło, ot coś w tym guście. Porwał to i zwiął, zapominając o kluczach, lampie et caetera.

— A jednak pamiętał o tym, by klucz w zamku przekręcić!

— Bo za drzwiami trochę ochłonał.

— No, dobrze, dobrze, ale co on mógł stąd zabrać? — zaniepokoił się Ludwik i rozgarnął ręką stertę papierów spoczywających w odemkniętej szufladzie. — Może ten łotr znalazł tu grube pieniądze?!

— Może, może, choć nie przypuszczam, by świętej pamięci burżuj przechowywał grube pieniądze w takiej cienkiej szufladzie — odparł Michał, oglądając kolejno różne przedmioty stojące na biurku. — Bardzo oryginalna popielniczka. Jaka egzotyczna! Czy wypróżniano ją codziennie?

— Nawet częściej, niż raz na dzień — wyjaśniał Marski. — Nieboszczyk aż do przesady lubił czystość. Och, co ja się nieraz przez to wycierpiałem na folwarku. Pan rozumie, nasi fornale to brudasy takie, że...

— Może o fernalach pomówimy w stosowniejszej chwili. Na razie interesuje mnie więcej popielniczka... Pan powiada, że była wypróżniana często. A tu widzimy całą stertę popiołu i dwa... trzy... cztery niedopałki cygar. Czy panowie tutaj palili?

Okazało się, że z obecnych nikt cygar nie pali, że

nikt z nich w ogóle nie był w gabinecie gospodarza przed fatalnym strzałem.

— Czyli tym dobroczyńcą Monopolu Tytoniowego był sam nieboszczyk, — wnioskował Michał. — Wypalić cztery cygara w czasie jednego... że tak powiem... seansu można całkiem machinalnie, ale przy bardzo intensywnej pracy. A na czym może polegać praca przy biurku?

— Kalkulacja, buchalteria, liczenie pieniędzy — bąknął Ludwik.

— Pisanie listów — dorzucił Marski i zmarszczył czoło, jak gdyby sobie nagle coś przypomniał.

Michał Bolton wciąż potakiwał.

— Słusznie, słusznie; może suszka nam zdradzi do kogo pisał, co?

Delikatnie ujął w dwa palce główkę kolebacza, odwrócił go i zbliżył do lampy; na tle białej bibuły odrzynały się wyraźnie trzy wyrazy, oczywiście odwrócone.

— Któż to potrafi odczytać?

— Każdy z nas, panie Marski, tylko musimy mieć jakoweś zwierciadło. Ha, gdyby tu była z nami jedna z pań...

Obeszło się bez pomocy pań. Elegancki Wawrzyniec, typowy dziubas, nosił przy sobie cały arsenał pilników, grzebyków, puderniczek, jakże by więc nie mógł mieć lusterka!

— Dziękuję panu. — Michał oparł lusterko o nóżkę lampy, po czym naprzeciw niego ustawił odpowiednio spód suszki i zaciekawieni do ostatecznych granic świadkowie tej scenki odczytali jednocześnie i jednogłośnie owe trzy wyrazy. Brzmiały one:

MOJA OSTATNIA WOLA

Dłuższa chwila upłynęła, zanim ochłonęli z wrażenia. Nie ulegało teraz najmniejszej wątpliwości, że Jan Bolton dzisiejszej nocy spisywał tutaj akt swojej ostatniej woli, a przecież każdy z tego grona liczył na spadek lub choćby na ładny legat.

Michał Bolton położył kres milczeniu.

— A co, panie Marski, czy nie mówiłem, że sprawa jest niezmiernie prosta? — rzekł, zacierając ręce. — Czy jeszcze nie domyśla się pan, co złodziej tutaj... że tak powiem... zwędził?!

— Pan myśli, że...

Z reguły nie myślę, jeśli jestem czegoś pewny. Tutaj ukradziono testament!!

ROZDZIAŁ V

O godzinie piątej rano przywiózł Mateusz przedstawicieli władz. Główną figurą w tym gronie był inspektor Huber, wysoki, barczysty, atletycznej budowy mężczyzna; jego nalana, wiecznie uśmiechnięta twarz, jego ociężałość i powolność ruchów i w ogóle cały wygląd dobrodusznego poczciwca wprowadził w błąd już niejednego. Nie dziwota więc, że krewni Jana Boltona na widok inspektora rozglądającego się bezradnie dokoła i drapiącego się w ciemę od razu pomyśleli sobie: — No, ten miły ramol na pewno nie przeniknie tajemnicy narożnego pokoju...

Na to się zanosilo początkowo. Obejrzawszy dokładnie zabitego i jego ranę, wskazującą na to, że strzał oddano z największej bliskości, Huber obwieścił wszem wobec, że zaszedł tu wypadek „najpospolitszego” samobójstwa.

Ale Kazimierz Marski nie chciał się z tym zgodzić stanowczo, powołując się znowu na tę okoliczność, że słyszał wołanie o ratunek na kilka sekund przed hukiem, a nie po detonacji wystrzału.

— Ha, skoro pan się przy tym upiera — westchnął

Huber — to trzeba nieboszczyka odstawić do prosektorium; miejmy nadzieję, że sekcja zwłok wyświetli zagadkę, która dla mnie zagadką nie jest.

Niby to wierząc święcie w samobójstwo Jana Boltona, inspektor Huber brał na spytki jedną osobę po drugiej, oczywiście zawsze na osobności. Jego sposób przesłuchiwania był równie dziwaczny jak on sam. Była to na pozór niewinna pogawędka o pogodzie, o kryzysie, słowem o wszystkim, tylko nie o popełnionej zbrodni, ale od czasu do czasu „dla urozmaicenia” padało podchwytliwe pytanie; w tych momentach spojrzenie niebieskich, wciąż jakby zdziwionych i dziecięco naiwnych oczu inspektora stawało się dziwnie przenikliwe.

Po dwóch godzinach takich „przyjaznych rozmówek” Huber był z grubsza zorientowany w sytuacji. Wiedział już o wczorajszym zachowaniu się Jana Boltona wobec zaproszonych gości, o jego ostatniej sprzeczce z Witoldem Reyem, o nocnej wyprawie Witolda do jadalni po karafkę z wodą, słowem o wszystkich tych wypadkach, nie wyłączając sprawy testamentu.

O testamencie mówiło się w pałacu aż do znudzenia, zwłaszcza obydwie przyrodnie siostry zmarłego nie mogły przeboleć zagadkowego zniknięcia tego dokumentu, co w końcu zniecierpliwiło Michała Boltona.

Szpikując łaciną (jak przystało słuchaczowi trzeciego roku prawa) swoje obszerne wywody, przekonał większość obecnych, że to co się stało, powinno ich cieszyć, a nie smucić. Bo primo, taki dziwak jak stary Bolton mógł być większą część majątku zapisać komuś spoza grona rodziny. Secundo mógł wszystkich krewnych wydziedziczyć. Tertio, mógł obdarować sutymi legatami przyjaciół i służbę. Mógł... itd., itp. A jeżeli testament się

nie znajdzie, to wejdzie w życie dziedziczenie z ustawy, przez co legaty oraz wszelkie „równie nieprzyjemne” zastrzeżenia czy warunki odpadną. I nie jeden wybraniec, ale wszyscy członkowie rodziny coś tam odziedziczą...

— Kuzynie! — zawołał Wawrzyniec Dorn, porwany wymową argumentów Michała. — Jesteś człowiekiem wysoce inteligentnym, co się w naszej rodzinie na ogół nie zdarza... Jak do tego doszedłeś?

— Dzięki sportom — brzmiała skromna odpowiedź. — A po kochanym kuzynku zaraz poznać, że żadnych sportów nie uprawia...

Przy obiedzie napomknęła Elżbieta Reyowa, że jej syn chce już dzisiaj wracać do stolicy, do swoich zajęć.

— Już? — zdziwił się inspektor Huber. — Nie zostanie pan chociażby do pogrzebu swojego wuja.

— Niestety, nie mogę; mam huk roboty.

— Mój mąż także chciał dzisiaj odjechać — dorzuciła Julia Dorazilowa – ale zdołałam go przekonać, że to nawet nie wypada.

— Słusznie, łaskawa pani, bardzo słusznie!

— Słyszysz, Waclawie? Pan inspektor jest również tego zdania.

— Tak, tak. Dopóki sekcja nie wykaże bezpodstawności opinii pana Marskiego, nikt z państwa nie może stąd odjechać.

— Nie może?! — Witold zmarszczył brwi. — Pan mówi: *nie może*?!

— Powiedzmy: nie powinien.

— A gdyby jednak wyjechał, to co?

— To ludzie tak podejrzliwi jak pan Marski gotowi sobie pomyśleć, że ten ktoś ma poniekąd nieczyste sumienie.

— Mało mi na tym zależy, co sobie o mnie pomyśli pan Marski!

— To niegłupi człowiek, niegłupi...

— Co pan inspektor chce przez to powiedzieć?!

— Nic, faktycznie, nic. Uważam tutejszego administratora za człowieka inteligentnego, czytanego, dlatego mówię *niegłupi*...

Elżbieta Reyowa spojrzała na syna niemal błagalnie.

— Czy musisz odjechać koniecznie dzisiaj? — spytała nieśmiało.

— Nie muszę, ale chcę i odjadę! Szkoda mi czasu na siedzenie tutaj.

Inspektor Huber pochylił się w stronę matki Witolda.

— Proszę się nie trapić — rzekł niby szeptem, ale ten „szept” słyszano aż na drugim końcu stołu. — On się odmyśli i zostanie. Idę o zakład.

— O ile? O setkę?

— Eee, nie chciałbym pana rujnować; wystarczy o butelkę koniaku.

— Zgoda.

Huber wyciągnął przez stół rękę do Witolda, uściskał mu dłoń.

— Niech ktoś przetnie — rzekł z uśmiechem, a potem zwrócił się do administratora, który właśnie wkraczał do jadalni. — Panie Marski, proszę kazać kupić butelkę koniaku, najlepszego, jaki się znajdzie w naszej dziurze... Tylko, żeby tu była na wieczór murowanie!

— Słucham... Czy ten wydatek zapisać na konto kosztów administracyjnych, czy też...

— Nie — wtrącił Huber. — Proszę to zapisać na rachunek pana Reya...

Pod wieczór Witold zabrał się do pakowania swojej walizki. Ukończywszy to zajęcie, zamierzał właśnie wyjść na balkon i zawołać na stangreta, aby już zaprzęgał, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść.

Ku niemałemu zdziwieniu Witolda, weszła Irena Bolton.

— Przede wszystkim — zaczęła bez żadnych wstępów — przychodzę serdecznie podziękować ci za twoją wczorajszą rycerską interwencję w mojej obronie. Wybacz, iż nie uczyniłam tego wcześniej.

— Ależ nie ma o czym mówić, kuzyneczko.

— Owszem, jest o czym mówić i za co dziękować.

— Każdy mężczyzna na moim miejscu byłby postąpił tak samo — odparł machinalnie, rozmyślając, jaki jest właściwy cel tej wizyty.

— Prócz ciebie było tam pięciu mężczyzn, w tej liczbie... — spuściła oczy — w tej liczbie także mój mąż. I żaden z nich nie protestował, kiedy się znęcano nade mną... Ty jeden okazałeś się gentlemanem!

— Irenko, przestań, na Boga, bo się zarumienię... Usiądź, proszę.

Usiadła, zapatrzyła się nieruchomo w jakiś punkt na ścianie; na dłuższą chwilę zapanowało tutaj milczenie. Witold coraz bardziej dezorientowany, utkwiał pytający wzrok w twarzy kuzynki i nagle dokonał „epokowego” odkrycia, że Irena jest kobietą bardzo przystojną, prawie piękną. Z Ludwikiem nie utrzymywał od lat stosunków, jego młodą żonę poznał dopiero wczoraj po południu, gdy najpóźniej z całej rodziny przyjechał z matką do pałacu Jana Boltona. Zarówno wczoraj, jak i dzisiaj widywał Irenę stale w towarzystwie Lidii, a w tych okolicznościach jego

uwagę musiała przyciągnąć ku sobie przede wszystkim Lidia Torelli. Dopiero teraz zauważył urodę Ireny, niewątpliwie mniej efektowną, niż okrzyczana piękność rozwódki, ale bardziej szlachetną, rasową i... naturalną.

Upłynęła minuta, może dwie, trzy...

— Masz jakieś zmartwienie — odgadł wreszcie.

Irena Bolton ocknęła się z zadumy, spojrzała mu prosto w oczy.

— Mam — odparła. — A jest nim... twój zamierzony wyjazd.

— Czy i ty chcesz mnie przekonać, że powinienem zostać?

— Przekonywać cię nie będę, nie mogę! Mogę cię tylko prosić, abyś nie wyjeżdżał... I proszę cię gorąco! — Znacznie gorętsze, niż słowa, było spojrzenie jej podłużnych, wyrazistych oczu, to stwierdził natychmiast.

— Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego o to prosisz?

— Och, gdybym to mogła ci powiedzieć! — westchnęła i nagle obejrzała się nieufnie w stronę drzwi. Potem zaczęła mówić szybko, gorączkowo, namiętnie. — Nie pytaj, błagam! Może sama ci wszystko wyjaśnię... kiedyś, może to będzie zbyteczne i zło da się naprawić... Musi się naprawić! — Krzyknęła z rozpaczliwy energią i znowu spojrzała ku drzwiom. — Boże, jaka ja jestem nieostrożna!... Witoldzie, ty mnie teraz uważasz za obłąkaną.

— Nie, droga kuzynko — odparł poważnie i pełen czci pocałunek złożył na jej dłoni. Widzę tylko, że twoja prawa, szlachetna natura buntuje się przeciwko jakiejś podłości, czy zbrodni, która...

— Tsss! Mów ciszej, na Boga! W tym gmachu nie

można ufać ani ścianom! Witoldzie, powiedz, że zostaniesz. — Gdy poruszył głową poziomo na znak, że nie może, zerwała się z krzesła. — **Zostań!** — Całą duszę włożyła w ten okrzyk błagalny. — Zrozum, że chodzi tylko o ciebie i... — urwała nagle, zamieniła się w słuch. — Ktoś idzie tutaj! — wyszeptwała.

Dopiero po chwili stwierdził, że miała słuszność. Czyjeś kroki zbliżały się w stronę jego pokoju, coraz głośniejsze dudniły w korytarzu. Zanim Witold zdołał sobie uświadomić, że stąd nie ma drugiego wyjścia, że zatem wizyta kuzynki u niego przestanie być tajemnicą, Irena na palcach wybiegła na balkon. Na migi pokazała, by za nią drzwi zamknął i zasunął portierę. Wykonał to zlecenie z nerwowym pośpiechem, po czym rzucił się na łóżko. Prawie w tej samej chwili zapukano do drzwi.

— Kto tam? — spytał, ziewając na zawołanie.

Wszedł inspektor Huber. Niedbale kiwnął głową Witoldowi i bez ceremonii usiadł na krześle obok łóżka.

— Przyszedłem na małą pogawędkę — zaczął z najmiłszym uśmiechem, a potem kichnął głośno. — Ależ tu pachnie! Jak po damskiej wizycie...

— Bardzo lubię perfumy, dlatego tak pachnie.

— Rozumiem — Huber skinął głową potwierdzająco i zaczął nabijać swoją fajeczkę okropnym knastrem.¹ — Perfumy mają to do siebie, że zagłuszają różne przykre smrody, zapachy czy ich wspomnienia!

— Na przykład odór fajki! — rzekł Witold zaczepnie, co wywołało groźną ripostę zagadkowo uśmiechniętego inspektora:

— Albo **zapach krwi!!**

¹ *knaster* – gatunek tytoniu.

ROZDZIAŁ VI

Wszyscy już od dawna siedzieli przy kolacji, kiedy do jadalni wkroczył nachmurzony Witold Rey.

— O! Kuzyn jednak nie wyjechał?

— Nie! Zostaję!

Inspektor Huber cieszył się z tego jak dziecko, co przy jego dziewięćdziesięciu pięciu kilogramach *żywej wagi* i sumiastym wąsie wyglądało dość groteskowo.

— A co! A co! — powtarzał, zacierając dłonie — wygrałem czy nie?

Witold cisnął mu spojrzenie ociekające bezsilną wściekłością.

— Czy pan inspektor często wygrywa takie zakłady? — spytał.

— Prawie zawsze. Tylko okazje nieczęsto się zdarzają... Pojmuje pan chyba, że taki zakład może przyjść do skutku tylko wtedy, gdy się ma do czynienia z inteligentem, z człowiekiem na stanowisku!

Irena, obserwująca tych dwóch z nateżoną uwagą, nie mogła zrozumieć, dlaczego Witold zbladł nagle po tej odpowiedzi Hubera. Pragnąc skierować rozmowę na inne tory, chciała zacząć mówić, lecz zakasłała silnie.

— Znowu się zaziębiłaś. — Ludwik spojrzął na żonę z wyrzutem. — A tyle razy mówiłem, żebyś pod wieczór nie spacerowała w takiej lekkiej sukni. Maj to jeden z najbardziej zdradliwych miesięcy u nas.

— Ależ ja dzisiaj zupełnie nie wychodziłam z domu.

— Może pani za długo przebywała na balkonie — Wtrącił Michał Bolton, kiwając na Macieja, aby mu przyniósł półmisek.

— Na balkonie? — Teraz znów Irena pobladła. — Pan się chyba myli!

— Ja się niekiedy mylę, zwłaszcza przy egzaminach na uniwerku; lecz mój wzrok jest nieomylny. Widziałem panią na... — odwrócił twarz w stronę Ireny i dopiero teraz dostrzegł w jej oczach wyraz szalonego przestachu; momentalnie zorientował się w sytuacji. — O, przepraszam, ja nie panią miałem na myśli. Nie... Widziałem panią Torelli.

Na dźwięk swego nazwiska Lidia przestała flirtować z Huberem.

— Pan coś mówił do mnie? — spytała.

— Tak. Chciałem najuprzejmiej prosić, aby pani, jako siedząca w tamtych okolicach, rzuciła czym ciężkim w Macieja; od dwóch minut kiwam na niego, lecz na próżno.

Interwencja Lidii i jej sąsiada również nie zdała się na nic. Sędziwy lokaj, oparty o drzwi trwał wciąż w smutnej zadumie, głuchy na psykanie czy przyzywające go gesty osób siedzących przy stole. Michał Bolton, który miał apetyt godny młodego sportowca i zamierzał nabrać na talerz już po raz trzeci, musiał w końcu sam sobie przynieść półmisek stojący na kredensie.

— Czy to sens trzymać głuchoniemego lokaja? — zrzędził, nawracając po salaterki. — Aha, zbudziliście się

nareszcie, Macieju. Trochę za późno.

— Niech go pan zostawi w spokoju. Starowina ledwie powłóczy nogami.

— Czy pan wie, ile on ma lat? Siedemdziesiąt pięć!

— Dziewięć! Tak, Elżuniu; siedemdziesiąt dziewięć lat!

— Nie, Magdziu. Na pewno siedemdziesiąt pięć.

— Wybacz, ale jako starsza, wiem lepiej.

Trudno było pogodzić spierające się siostry, toteż inspektor zaproponował żartobliwie, by wiek Macieja *krakowskim targiem* określić na siedemdziesiąt siedem lat.

— Jak on dawno służy w rodzinie państwa?

— Och, przeszło pół wieku! Nas obie nosił na rękach, pamiętam.

— No, to powinien mieć od dawna łaskawy chleb — orzekł Michał.

— Dziwne doprawdy, że Jan o tym nie pomyślał.

— Wujaszek musiał być kutwą, co się zowie. Ale my to naprawimy. My przyznamy staruszkowi ładną emeryturę. Ja w tym!

— Pan? — Ludwik, który także był straszliwym sknerą, spojrział zezem na Michała. — Pan musi przede wszystkim udowodnić, że pan jest naszym krewnym, że pańskie pretensje do części spadku po moim stryju są uzasadnione. A ja mam uzasadnione wątpliwości, czy pan tego dowiedzie... Co się zaś tyczy Macieja, to on musi mieć chyba jakąś rodzinę.

— Owszem — przyznał Marski — ma dwóch synów i z tuzin dorosłych wnuków we wsi, ale od nich się pomocy nie doczeka. Oni jeszcze jego naciągają na pożyczki, oczywiście bezzwrotne.

— Więc skoro własna rodzina nie dba o niego,

dłaczego my mamy sobie głowę zaprzątać!

Irena spojrzała na męża z wyrzutem.

— Dlaczego? Przez pamięć na twojego stryja — rzekła. — Przez wzgląd na tyloletnią wierną służbę Macieja.

— Ależ, Irenko. Jeśli jego rodzina...

— On nie pracował u rodziny, tylko tutaj! — oburzyła się. — A jak był przywiązany do swojego pana, o tym świadczy najlepiej jego dzisiejszy wygląd. Czy nie widzicie, że on od wczoraj postarzał się o dziesięć lat?! Gdy wynoszono zwłoki, płakał jak dziecko i szedł za wozem aż do bramy, gdzie później stał długo, długo... I ty — zwróciła się do męża — ty miałbyś serce skrzywdzić takiego sługę?!

— Moja żona jest bardzo egzaltowana.

— Ja sędzę — wtrąciła Elżbieta Reyowa — że Janek pamiętał o Macieju i zapisał mu ładny legacik. O, jestem tego pewna!

— Ba, a jeżeli testamentu nie było?

— Ależ był, panie inspektorze! Był, tylko ktoś niegodziwy go schował. Schował go, aby... aby... bo ja wiem zresztą, po co?

— Po to, by innych okraść! — Rzekłszy to, Magdalena Dorn posłała mordercze spojrzenie Wacławowi; na niego bowiem skierowała podejrzenia dzisiaj po południu, na skutek pewnej swojej obserwacji.

— Moim zdaniem — odezwał się Ludwik, patrząc wyzywająco w oczy Witoldowi — testament mógł schować tylko ten, który wiedział z wszelką pewnością, że będzie **wydziedziczony!**

— Czyli ktokolwiek z nas — odciął się Witold. — Słów *różne błogie nadzieje na spadek po mnie możecie*

sobie wybić z głowy na zawsze wuj Jan nie skierował wyłącznie do mnie, ale do nas wszystkich!

Rozmowa na ten temat przetykana ustawicznymi przycinkami trwała dłuższy czas i znowu wywołała przykrą atmosferę podejrzliwości tak jak ubiegłej nocy. Wreszcie Julia Doraziłowa poirytowana „nagonką” na jej męża ze strony całej rodziny Dornów zaproponowała zawieszenie broni.

— Zamiast psuć sobie krew wzajemnie — rzekła — zaczekajmy cierpliwie, aż pan inspektor wykryje zabójcę biednego Janka.

— Ba, ale kiedy to nastąpi?

— Może jutro, łaskawa pani, jeśli mój specjalista od daktyloskopii ukończy swoje badania. Może jutro będziemy już wiedzieli, czy świętej pamięci Jan Bolton odebrał sobie życie, czy raczej ma pan Marski, w co ja wątpię.

— Perfidne bydle! — mruknął Witold cichuteńko.

— Więc odłożmy sobie te wymówki do jutra — ciągnęła dalej Julia. — Gdy zabójca zostanie zdemaskowany, testament znajdzie się również.

— Wątpię.

Wszyscy spojrzeli na Michała, który odżywił się wciąż z niesłabnącym zapalem i właśnie zabierał się do deseru.

— Pan wątpi? Dlaczego?

— Bo, moim zdaniem, wujaszka zakatrupił pan Iks, a testament zgrandził pan Ipsylon... A jeśli mówię *pan*, to nie znaczy bynajmniej, abym miał na myśli koniecznie mężczyznę. Jedno z tych draństw mogła śmiało popełnić niewiasta... Co rzekłszy, wracam do kompotu.

Sporo czasu upłynęło, zanim obecni zdołali

ochłonąć z wrażenia, jakie na nich wywarły te słowa, wypowiedziane wprawdzie z akcentem ulicznikowskim, ale tonem nieomylnego dogmatu. Nawet inspektor Huber spoglądał na młodzieńca z nieklamany podziwem, gdyż jemu również przyszło do głowy już po południu, że zabójca i złodziej nie są jedną i tą samą osobą.

— Pan to powiedział z taką pewnością siebie — rzekł, uśmiechając się najprzyjaźniej — że, gdybym był równie podejrzliwy jak tu obecny pan Marski, to pomyślałbym sobie od razu, iż pan ma na sumieniu jedno z tych przestępstw. Tylko nie wiedziałbym, które, che, che, che, che...

— W żadnym wypadku to drugie. Gdy testament ulatniał się z biurka, byłem już pod czułą opieką pana Marskiego... Ale może zabiłem?

— Ach, przestańcie już raz o tym mówić! — wybuchnęła Magdalena i, jako najstarsza w tym gronie, dała znak do powstania od stołu.

Przeszli do hallu. Wieczór był chłodny, więc znowu zapalono w kominku i znowu mimowolnie powrócono do tego samego tematu. Lecz nie na długo. Zjawienie się stangreta przerwało rozmowę. Mateusz niósł telegram, który przywiózł z miasta. Oddał go Maciejowi, ów zaś wręczył go panu administratorowi; ceremoniał musiał być zachowany.

— Depesza? Do kogo?

— Do pani. — Marski podał telegram Irenie, która wprost osłupiała. Przez chwilę stała bez ruchu, potem nerwowo rozdarła blankiet, spojrzała na tekst depeszy i zagryzła sobie wargi do krwi.

— Od kogo? — spytał Ludwik, idąc ku żonie. — Pokaż.

Drgnęła. W jej oczach zadygotał lęk. Odruchowo
zmięła telegram w dłoni i bez słowa rzuciła go do kominka
na pastwę płomieni...

ROZDZIAŁ VII

Nazajutrz rano przyjechał notariusz. Jeszcze nie zdążył zdjąć palta, gdy nadbiegła Magdalena Dorn. Wdzięcząc się pocieszenie, oznajmiła przybyłemu, że jest najbliższą krewną Jana Boltona, który nie pozostawił żadnego testamentu. Jest prócz niej wprawdzie jeszcze druga siostra, Elżbieta Reyowa, ale...

— Ale ja, jako starsza i jako matka trojga dzieci, powinnam otrzymać co najmniej trzy razy więcej niż ona, która ma tylko jednego syna. Czy nie mam słuszności, czcigodny panie rejencie?

Czcigodny pan rejent rozwiął błogie nadzieje przedsiębiorczej pani Magdaleny, tłumacząc jej, że ani wiek, ani ilość potomstwa nie mają tu żadnego znaczenia, że obydwie siostry będą dziedziczyły po połowie, o ile nie ma innych kandydatów do jakiegóż części spadku.

— Och, kandydatów jest mnóstwo, panie rejencie, ale wszystko to są dalsi krewni. Za chwilę zobaczy pan całą tę menażerię.

Jakoż w parę minut później *cała menażeria* z wyjątkiem Dorazilów zgromadziła się w hallu pałacu. Ludwik Bolton przedstawił się pierwszy.

— Jestem najbliższym krewnym zmarłego.

— Pan? A pani Dorn mówiła przed chwilą...

— Pani Dorn i pani Reyowa — wtrącił Ludwik — to przyrodnie siostry mego stryja. **Przyrodnie!** Jan Bolton miał tylko jednego rodzzonego brata Zygmunta, którego jedynym synem jestem właśnie ja!

— A, to zmienia postać rzeczy. W takim razie pani Dorn otrzyma jedną szóstą część spadku, tyleż samo pani Reyowa, a pan resztę, czyli cztery szóste.

Obie starsze damy podniosły wielki lament. Reyową zdołał syn wreszcie uspokoić, lecz energiczna pani Magdalena oświadczyła, że ona tak niesprawiedliwego kodeksu nie uznaje, że wniesie rekurs, apelację, kasację, nie mówiąc już o skardze do Trybunału Administracyjnego...

— I do Dyrekcji Gazu, ciotuniu — dorzucił Michał Bolton, ściągając przez to straszliwą burzę na swoją głowę.

Tymczasem Marski zwrócił się do notariusza z zapytaniem, kto z rodziny zmarłego ma „objąć rządy”, czyli wydawać rozkazy jemu, jako dotychczas generalnemu administratorowi dóbr i przedsiębiorstw Jana Boltona.

— Oczywiście, my troje — wtrąciła skwapliwie Magdalena.

I znowu spotkała ją „straszliwa krzywda”. Notariusz orzekł, iż tymczasowy zarząd masy spadkowej ma objąć Ludwik Bolton, jako spadkobierca czterech szóstych idealnych części całego majątku.

— Słyszeliście?! — Ludwik powiódł dokoła dumnym wzrokiem. — Panie rejencie, ja bym chciał to mieć na piśmie... Bo z rodziną...

— Rozumiem... Na razie spiszemy tylko maleńki protokolik, za parę dni przyjedzie tu mój substytut, doktor

Helman, który sporządzi dokładny inwentarzyk spadku, a potem poproszę państwa do siebie. Udamy się razem do sądu z aktem zejścia oraz innymi niezbędnymi dokumentami i...

— ...i otrzymam dekret dziedzictwa?

— O, co to, to nie. Na dekrecik trzeba dłużej poczekać, trzeba wpierw uregulować podateczek spadkowy, a jakże!... Lecz dostanie pan formalne upoważnienie do sprawowania zarządu masą spadkową, który to zarządkik może pan wykonywać już od tej chwili.

Marski pierwszy złożył nowemu chlebodawcy „hołd” i gratulacje.

— Dziękuję, dziękuję. — Ludwik podał mu łaskawie dwa palce, — i na razie pozostawiam pana na jego dotychczasowym stanowisku, ale pensję obcinam od pierwszego czerwca o... powiedzmy, o dwadzieścia pięć procent. To samo dotyczy wszystkich innych oficjalistów i całej służby, co zechce pan zainteresowanym zakomunikować jeszcze dzisiaj!... Trudno, panie Marski; kryzys...

Takie było pierwsze zarządzenie zarządcy masy spadkowej.

Na chwilę zapanowało milczenie. Zawiedzeni w swoich nadziejach pretendenci do olbrzymiego spadku spoglądali z zazdrością na Ludwika i z urazą na notariusza spisującego swój *protokolik*. Hall zaległa cisza tak wielka, że naprawdę słychać było, jak pióro skrzypi. Lecz świetne ucho młodego sportsmena posłyszało w pewnym momencie coś więcej, jakiś delikatny szelest gdzieś w górze, jakby na galerijce pierwszego lub drugiego piętra.

— Ciekawym, kto się tam przyczaił — mruknął cichuteńko.

— Co pan znów mówi?

Michał nachylił się do Magdaleny i powiadomił ją szeptem o swoim spostrzeżeniu, dodając, że to zapewne kogoś ze służby ciekawość tu zwabiła.

— Nie, panie; to bardziej podobne do Wacława Dorazila!... Ach, gdyby ten łotr nie był skradł testamentu!

— Cooo?! — Notariusz zamienił się w słuch. — Czyj testament?

— Mojego brata. Ukryto go, a ja mam podejrzenie, że to zrobił...

— Jak to?! — Rejent huknął pięścią w stół. — Przecież pani sama zapewniała mnie, że nieboszczyk nie zostawił żadnego testamentu, a teraz... Więc jak było właściwie?

— Tak, panie rejenciku, że testamencik leżał w biureczku, ale jakiś łobuzik z grona tej rodziniki go zgrandziuchnął — odparł Michał Bolton, naśladując bez zarzutu styl notariusza rozmiłowanego w zdrobnieniach.

— Jest to oczywiście nasza hipoteza — dorzucił Ludwik — ale nie posiadamy żadnych dowodów, które by potwierdzały jej słusność.

— Ale czy wiecie na pewno, że nieboszczyk pozostawił testament?

— Niestety, nie, — odrzekł znów Ludwik, wywołując tą odpowiedzią żywe protesty obydwu starszych pań.

W trakcie omawiania tej sprawy nadeszli oboje Dorazilowie. Julia, dowiedziawszy się, że ten starszy pan jest notariuszem, który ma prowadzić przewód spadkowy, dała głośny wyraz swojemu oburzeniu.

— Ach, tak!... Za naszymi plecami!... Nas nie raczono zawiadomić, że pan rejent przyjechał. Dlaczego?

— Dopadła Ludwika. — Dlaczego, pytam!

— Dlatego, że tobie się tutaj nic nie należy!

— Zobaczymy, czy nie! Panie rejencie, nazywam się Julia Dorazil. Jestem bliską krewną zmarłego. Bardzo bliską!

— Masz tobie!

Notariusz zamierzał już wybuchnąć gniewem, że się go tu ustawicznie w błąd wprowadza, lecz Ludwik szybko zlikwidował „konkurencję”.

— Julia Dorazil jest daleką kuzynką Jana Boltona — wyjaśnił.

— Ha, wobec tego pani nie może sobie rościć żadnych praw do spadku. Według ustawy krewni bliżsi wyłączają dalszych.

— Słyszałaś, Julio? Zechciej więc przyjąć to do wiadomości i wyciągnąć z tego konsekwencje.

— To znaczy?

— To znaczy: **wyjechać!**

— Wyjadę, kiedy zechcę! Ty nie masz tu nic do rozkazywania!

— Owszem, mam. — Ludwik powstał, wzdartliwym spojrzeniem omiół twarze wszystkich krewniaków. — Jako dziedzic większej części majątku jestem zarazem zarządcą masy spadkowej. Przeczytaj ten protokół, to stwierdzisz, czy mówię prawdę... A jako zarządca nakazuję wam, abyście natychmiast po pogrzebie stryja opuścili Jeleniów... To się odnosi do wszystkich!

Nietrudno sobie wyobrazić huczek, jaki się zrobił po tym kategoriycznym oświadczeniu. Gdyby spojrzenia mogły kląć w fizycznym znaczeniu tego słowa, Ludwik runąłby na podłogę podziurawiony jak sito.

Notariusz zgorszony kłótnią rodzinną i ogłuszony

wrzawą, postanowił ulotnić się stąd jak najprędzej, a całą robotę zwalić na barki swojego substytutu, doktora Helmana.

— Proszę o spokój! — krzyknął wreszcie. — Będziecie państwo mieli dosyć czasu na spory, gdy odjadę. Ale zanim odjadę, muszę uzupełnić mój protokół... A zatem zacznijmy od genealogicznego drzewa: Jan Bolton miał jednego brata rodzonego, to jest pańskiego ojca — zwrócił się do Ludwika — oraz dwie siostry przyrodnie, czyli całe rodzeństwo składało się z czterech osób, tak?

— Tak, z czterech — odparł Ludwik skwapliwie i jakby z lękiem spojrzął na Julię. Z równym niepokojem patrzyła na nią Magdalena i Elżbieta.

Julia Dorazilowa pojęła w lot, o co im chodzi.

— Z czterech?! — zdziwiła się.

Lidia pociągnęła ją za rękaw, Magdalena zakasłała głośno, wzrok Elżbiety stał się błagalny, Ludwik od razu spokorniał; jego spojrzenia niemal całowały „najdroższą kuzyneczkę” i przyrzekały jej solennie kilka tysięcy gotówki za łaskawą **dyskrecję** w *wiadomej sprawie*. Lecz Julia pozostała nieczuła na wszelkie umizgi. Oburzona na Ludwika, dyszała żądzą odwetu i czuła, że chwila jej zemsty nadeszła właśnie teraz.

— Z czterech? Ależ z pięciu, panie rejencie. Jan Bolton miał również rodzoną siostrę, Aniele, o której tu panu widać nie wspomniano!

— Ona podobno umarła, więc myślałem, że tym samym...

— Co znaczy *podobno*?! Gdzie akt zejścia?!

— Panie rejencie, ona uciekła z domu mojego dziadka coś czterdzieści lat temu, a cała rodzina z nią zerwała stosunki. Skądże więc możemy wiedzieć, gdzie ta

szalona Aniela przebywa?

— W Chicago — wybąkał Marski. — Ostatnio wysyłało się jej pieniądze w lutym, jeżeli pomnę.

Nieoczekiwana wiadomość wywołała prawdziwą konsternację u większości obecnych. Ludwik zmierzył nienawistnym wzrokiem Marskiego i przysiągł sobie w duchu że wydali go natychmiast... A tymczasem notariusz, zirytowany do ostateczności, pakował z nerwowym pośpiechem swoją teczkę. Nagle wstał:

— Moi państwo! — zaczął tonem bardzo oficjalnym. — Chciałem wam iść na rękę, chciałem sprawę załatwić po obywatelsku, bez biurokratycznych formalności. Przekonałem się jednak, że chciano mnie tutaj wprowadzić w błąd! I to nie raz, nie dwa razy! Wobec tego muszę zachować jak najdalej idącą ostrożność. Protokół spisujemy w mojej kancelarii. Osoby mające uzasadnione prawa do spadku po Janie Boltonie zechcą zjawić się u mnie, ale z wszelkimi niezbędnymi dokumentami! Nic na gębę od dzisiaj!... A teraz, żegnam.

Magdalena Dorn zabiegła mu drogę.

— Panie rejencie, tylko jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy jeżeli ta Aniela żyje i może dziedziczyć po Janku, czy moja część spadku przez to się zwiększy?

— Wprost przeciwnie, łaskawa pani... Czy Aniela Bolton była rodzoną siostrą Jana, czy przyrodnią?

— Rodzoną siostrą.

— W takim razie otrzyma trzy ósme części spadku, pani jedną ósmą, pani Reyowa także jedną ósmą, a pan Ludwik resztę, czyli znów trzy ósme.

— Tym samym — wnioskujeła mściwa Julia — Ludwik, nie mając już większości, nie powinien być

zarządcą masy spadkowej. Nie może nim być!

— Mogę!

— Nie! Ja się na to nie zgadzam!

— Ty nie masz tu nic do gadania!

— Ale ja mam! — Magdalena poparła Julię. — I ja się również nie zgadzam. Ani moja siostra. Ani moje dzieci...

Dobrze wytresowane dzieci, z których najmłodsze liczyło dwadzieścia siedem wiosenek, zrobiły Ludwikowi kocią muzykę pierwszej klasy. Michał szczerze ubawiony tą awanturą, gwizdnął przeraźliwie na palcu, potem jął wydawać „sportowe” okrzyki, jak *Sędzia kalosz!* itp., słowem, starał się, jak mógł najlepiej, o powiększenie i tak już piekielnej wrzawy...

— Proszę o spokój! — Rejent ochrypl w końcu i piał nader zabawnie. — Kto ma objąć zarząd masy spadkowej, o tym zadecyduje sąd. Aż do tej chwili zarząd siłą rzeczy musi pozostać w rękach pana Marskiego jako wieloletniego plenipotentą spadkodawcy i najlepiej w jego interesach zorientowanego człowieka... I na tym kończę, uff!...

Kiedy bryczka odwożąca notariusza skręciła za wysoki żywopłot zasłaniający stąd widok na pałac, Mateusz ściągnął lejce, przystanął.

— Dlaczego? Co się stało?

Notariusz wychylił się w lewo, tymczasem z prawej strony wskoczyła na bryczkę Irena Bolton. Mateusz ruszył dalej, ale stępa.

— Mam pilny list polecony; czy pan rejent nie zechciałby mi go nadać na pocztę? I... i wyłożyć za mnie na porto? Tak się fatalnie złożyło, że nie mam obecnie ani grosza przy duszy. Zwrócę panu ten dług pojutrze.

— Ależ nie ma o czym mówić!

— Tylko jeszcze jedna prośba. Prośba gorąca, serdeczna! — mówiła coraz cichszym szeptem, niemal przyciskając usta do ucha zdumionego rejenta. — Żeby pan o tym liście nic nigdy nie wspomniał mojemu mężowi. Błagam pana o to!

Przyrzekł dyskrecję, pożegnał się chłodno. Irena zeskoczyła na drogę, położyła palec na ustach, ale tym razem prośba o dyskrecję była skierowana do stangreta! Mateusz zmrużył oko filuternie.

— To się wi! Jak sekret, to sekret! — huknął na całe gardło i śmignął konie batem. Przy ich ostrym kłusie bryczka zaczęła podskakiwać na wyboistej drodze, co do reszty zepsuło humor notariuszowi.

— Nie zobaczycie mnie tu więcej, zarzekał się. Zanim wsunął list do kieszeni, spojrzął machinalnie na adres. Adresatem był jakiś **Józef Moll**.

— Acha, pan Moll! I mężowi nic nie mówić! I stangret także należy do spisku — zrzędził rejent. — Więc już tak zszedłem na psy, że muszę wiarołomnej żonie nadawać listy do kochanka?!

ROZDZIAŁ VIII

Ludwik pozostał w hallu sam.

— Ta zgraja będzie mnie teraz bojkotowała, szykanowała na każdym kroku — przeczuwał.

Przedsmak tego, co nastąpi, miał przed chwilą, kiedy notariusz odjeżdżał do miasta. Gdy Ludwik do kogo przemówił, ów odwracał się do niego tyłem, albo mierzył go wzgardliwym spojrzeniem, nie racząc odpowiedzieć. Wreszcie udało mu się wciągnąć do rozmowy Tytusa Dorna. Zaledwie jednak zamienili kilka słów, podeszła do nich Magdalena i obsypała syna gorzkimi wymówkami za to, że zadaje się z *osobnikiem*, który chciał ich wszystkich wygnać z pałacu i skrzywdzić. — Tego ci tu nikt nie zapomni! — zawołała, wygrażając Ludwikowi i odeszła, a za nią inni.

— Wstrętna ropucha!

Ale najwięcej był rozgoryczony na żonę. Ani prośbą, ani groźbą nie zdołał wymóc wyznania, od kogo otrzymała wczoraj ów telegram, który czym prędzej cisnęła w ogień. Od kochanka?

— Nonsens! Irka miałaby mnie zdradzać? **Mnie?!**

Każdy mąż ma zbyt wygórowane pojęcie o sobie.

Ludwik nie mógł być wyjątkiem. Odrzucił więc bez wahania myśl, że tajemnicza depesza pochodziła od kochanka lub choćby od jakiegoś platonicznego wielbiciela Ireny. Czy jednak *ta zgraja*, czyli szanowna rodzina nie pomyślała sobie najgorszych rzeczy po scenie z telegramem? O, na pewno!

— A przecież Irka mogła zniszczyć depeszę później i powiedzieć do mnie: — Pokażę ci ją w pokoju. — Tak, mogła skłamać. Dla ratowania pozorów powinna to była uczynić. Tymczasem, co? Ośmieszyła mnie w oczach tej bandy! — myślał z goryczą.

Lecz historia z wczorajszym telegramem była drobnostką wobec innej sprawy, stokroć ważniejszej i brzemienniejszej w następstwie. A w tej sprawie Irena wobec męża zajęła stanowisko niemal wrogie!

— Taki brak zrozumienia! — zżymał się. — Taka niewdzięczność!

W pewnej chwili po schodach zeszła do hallu Lidia Torelli. Piękna rozwódka była w jeszcze gorszym humorze niż Ludwik. Po zawodzie w nadziei na sporą część spadku spotkał ją inny zawód, może boleśniejszy, bo zadający cios jej dumie, jej sławie *wampa*.

Już onegdaj stwierdziła, że jedynym mężczyzną godnym jej podboju tutaj jest Witold Rey. Gra zapowiadała się zrazu przyjemnie i łatwo. Przystojny kuzyn nie pozostał obojętny na atak przypuszczony doń przy gasnącym kominku, a wczoraj podczas śniadania był już najwyraźniej zakochany. Potem sam zaproponował eskapadę do Warszawy. Umówili się, że on wyjedzie tam natychmiast, ona zaś na drugi dzień, rzekomo wezwana przez swojego adwokata. Tymczasem jakieś лихо pokrzyżowało te piękne plany. Witold nie wyjechał, nie mógł, podobno z winy

inspektora Hubera.

Lidia nie zmartwiła się tym zbyttnio. Wychodząc z założenia, że im dłuższy post, tym większy apetyt i przyjemniejsza konsumpcja deseru, uznała odroczenie spotkania w stolicy za pożądane. Na razie zamierzała dalej pielęgnować swój flirt dla *zaostżenia apetytu* i właśnie dzisiejszy poranek zgotował jej przykrą niespodziankę. Witold nie tylko, że nie szukał jej towarzystwa, ale sam go unikał. Uciekał przed nią!

Pragnąc wyjaśnić sytuację, udała się przed chwilą do jego pokoju. Nacisnęła klamkę, drzwi były zamknięte na klucz. Zapukała, przemówiła, lecz... jej nie wpuszczono! Witold odpowiedział przez drzwi, że ma migrenę i leży w łóżku rozebrany... Cóż to szkodzi? Lidia czuła, iż roli samarytanki pielęgnującej kuzyna w tych okolicznościach sprostałaby doskonale. Z nadwyżką. Że usunęłaby od razu migrenę, itd., itp., itd... Ale cała wymowa nie zdała się na nic i Lidia odeszła z kwitkiem. Ona! Notoryczny wamp!

Cóż dziwnego, że, schodząc do hallu, miała taką minę, jak owa pani domu, którą jeden z gości po proszonej kolacji wziął za kucharkę i wsunął jej w dłoń napiwek, a kucharkę z czcią pocałował w rękę.

Ujrzawszy zasepionego Ludwika, odczuła coś w rodzaju ulgi, że nie tylko ona ma ciężkie zmartwienie.

— Czemu kuzyn taki kwaśny? — spytała i usiadła obok, zapominając o propagowanym przez matkę bojkocie *tego osobnika*.

Spojrzał na nią z niekłamaną wdzięcznością.

— Czy cię to dziwi? Liczyłem na cztery szóste części spadku, a...

— ...a dostaniesz trzy ósme. A moja matka tylko jedną ósmą, czyli na mnie, na Wawrzyńca i Tytusa

wypadnie zaledwie po jednej dwudziestej czwartej części. Dużo, co? rzekła z goryczą. — Na ile cenisz majątek wuja?

— W przybliżeniu na... na jakieś pięć milionów.

— Pięć milionów! — westchnęła nabożnie. Przez dłuższą chwilę milczała, a potem z jej ust padło zniecka pytanie: — Jak wygląda testament?

Spojrzał na nią spode łba.

— Skąd ja to mogę wiedzieć. Przecież zaginał.

— Ależ mnie nie chodzi o ten, co zaginał, tylko o testament jako taki: czy to musi być bardzo obszerny dokument?

— To zależy. Może być długi na kilka arkuszy, a równie dobrze może się składać z kilkudziesięciu wyrazów.

— I też będzie ważny?

— Oczywiście; musi tylko być spisany własnoręcznie przez spadkodawcę, musi mieć jego podpis, datę i sakramentalną formułkę na początku.

— Jak brzmi ta formułka?

— Jak brzmi? Hm, o ile pomnę z okresu moich studiów, to mniej więcej tak: Najpierw nagłówek: *Moja ostatnia wola*. Poniżej: *Czując się w pełni swoich władz umysłowych, dobrowolnie i bez żadnego przymusu rozporządzam moim majątkiem na wypadek śmierci w sposób następujący...* Potem wymienia się spadkobierców i legatariuszy.

— Hm, pięć milionów... Gdyby na przykład było nas do podziału tylko dwoje, to każde otrzymałoby po dwa i pół miliona.

Ludwik Bolton spoglądał na Lidę z wzrastającym zdumieniem. Nie mógł jeszcze zrozumieć do czego ona zmierza, niemniej ogarniało go szybko dziwne podniecenie.

— Czy wyznajesz zasadę *cel uświęca środki*?

— Hm... to zależy... niekiedy... zapewne... ale...

— Czy nie możesz odpowiedzieć po męsku: *tak* lub *nie*?

— Na ogół... tak... Uznaję tę zasadę.

— To dobrze, Ludwiku. Chcę ci się zwierzyć z czegoś, co mi przyszło do głowy już wczoraj. Posłuchaj...

— Tylko nie tutaj! — rzekł zniżonym głosem, zerkając podejrzliwie ku galeryjce. — Idź do altany, ja tam przyjdę za chwilę.

— Czemu nie mamy iść razem. — Ogarnęła ją już atmosfera konspiracji, więc mówiła szeptem, przysuwając twarz do jego twarzy jak najbliżej.

— Bo gdyby nas ktoś razem zobaczył, to... odwrócił głowę ku Lidii i mimo woli jego wargi spotkały jej usta...

W godzinę później Irena po wróciła z przechadzki. Przy przeprawie przez jakiś strumyk zamoczyła nogi, co przy jej delikatnym zdrowiu groziło co najmniej katarem. Pobiegła do swojego pokoju, ale drzwi zastała zamknięte. Klucza nie było, Ludwik zabrał go z sobą, jak zwykle.

— Dlaczego? — dziwił się Michał. — Czy mąż pani sądzi, że go ktoś tutaj okradnie?

Nikt nie umiał Ireny objaśnić, gdzie jej mąż przebywa w tej chwili. Pytała o to niemal wszystkich, aż przyszła kolej na Macieja. Staruszek kiwnął głową, odmaszerował do stołu, przyniósł stamtąd gazetę i ołówek.

— Co to znaczy?... Ach, prawda, on jest głuchoniemy.

Domyśliła się w końcu, że ma napisać na marginesie gazety, o co jej chodzi. Napisała. Maciej znów skinął głową, a potem zaczął coś bardzo długo gryzmolić. Z trudem odczytała te hieroglify i ogarnęło ją zdumienie, graniczące z przestrawieniem. Bo odpowiedź sędziwego sługi

brzmiała następująco:

A CZY PANI NIE ZDRADZI, ŻE TO JA PANIĄ
TAM ZAPROWADZIŁEM?

Zaprowadził ją do altany, ale przedtem musiała mu na migi przyrzec *uroczyście*, że go *nie zdradzi*. Zrazu zaintrygowana, potem rozbawiona, szła obok zgarbionego staruszka, który robił miny niesłychanie tajemnicze i raz po raz kładł palec na ustach.

Wreszcie dotarli do celu. Altana wznosiła się na szczycie pagórka, którego północny stok opadał łagodnie ku pałacowi. Lecz po drugiej stronie pagórek był jakby nożem ścięty pionowo tak, że południowa część altany niemal wisiała nad „przepaścią”. Na dnie tej niegroźnej, bo zaledwie na kilkanaście metrów głębokiej przepaści rosła bujna trawa. Tam właśnie pół godziny temu Maciej ujrzał Ludwika Boltona w towarzystwie jego pięknej kuzynki...

Irena wkroczyła do altany, odwróciła się i zdziwiony wzrok skierowała na leciwego cicerona, który ją tutaj przyprowadził.

— No, i gdzie jest? — spytała, zapominając znów o jego głuchocie.

Niemal w tej samej chwili zabrzmiał gdzieś w pobliżu głos Ludwika:

— Och, czemu... czemu TY nie jesteś moją żoną?!

Równocześnie stary Maciej, domyśliwszy się snadź, o co go pytają, podszedł do balustrady altany, przechylił się przez nią i ręką wskazał w dół. Irena zelektryzowana okrzykiem, jaki tu usłyszała parę sekund temu, przyskoczyła do owej balustrady, spojrzała za kierunkiem

dłoni sędziwego sługi i nagle chwyciła się za serce. Zanim Maciej zdążył ją podtrzymać, runęła do jego stóp bez czucia...

ROZDZIAŁ IX

Elżbieta Reyowa w towarzystwie syna schodziła właśnie z tarasu przed pałacem do ogrodu, gdy nadbiegł Maciej. Starzec był tak wyczerpany swoim brawurowym *biegiem na przelaj*, że osunął się na kamienne schody i przez chwilę łapał dech z trudnością. Ale jego przerażona mina świadczyła, iż wydarzyło się coś złego, jego wzrok błagał o ratunek dla kogoś.

Witold Rey podał swój notes i ołówek. Drżącą dłonią głuchoniemy zaczął gryzmolić to, co zamierzał zakomunikować domownikom:

W ALTANIE LEŻY...

Witold nie czekał na resztę, jak strzała popędził do altany...

— Irena?!

Wstrząśnięty do głębi, padł na kolana obok zemdlonej, podniósł ją, powstał z tym ciężarem i zawrócił w stronę pałacu. W połowie drogi spotkał matkę, idącą mu naprzeciw z Maciejem. Elżbieta załamała ręce.

— Nie żyje?!

— Na Boga, niechże mama nie mówi takich rzeczy!
— wzdrygnął się.

Pokój Ludwika wciąż jeszcze był zamknięty na klucz, więc przeniesiono zemdloną do sypialni Elżbiety.

W pewnej chwili Irena odzyskała przytomność. Ze zdziwieniem stwierdziła, że leży w nieswoim pokoju, że wszyscy stoją dokoła łóżka i patrzą na nią współczująco lub nawet z lękiem. Tak. Na przykład Witold był błądy, wyglądał wręcz na przerażonego.

— Co się stało? — spytała szeptem.

— Nic, kochanie — odparła Magdalena. — Po prostu zemdlałaś, to każdemu może się przytrafić, gdy jest taki upał jak dzisiaj.

— Zemdlałam?... Dlaczego?

— Właśnie mówię, z gorąca...

— Z gorąca?

Irena potrząsnęła głową poziomo; była bardzo wytrzymała na upały, a dzisiaj termometr wskazywał zaledwie dwadzieścia sześć stopni... Znowu prześlizgiwała się wzrokiem z jednej twarzy na drugą, aż zatrzymała się na Lidii Torelli... Nareszcie! Nareszcie przypomniała sobie wszystko i nagle uczuła, że łzy napływają jej do oczu niepowstrzymaną falą. Odwróciła głowę co prędzej, nie chciała dawać z siebie widowiska.

— Chcę zostać sama — rzekła błagalnie.
— Wyjdźcie stąd...

Wyszli do hallu, rozmawiając o tej najświeższej sensacji lokalnej.

— Irena ma bardzo słabowite zdrowie — rzekł Ludwik. — Kto z was zauważył pierwszy jej omdlenie?

— Maciej — odparła Elżbieta — a Wit pobiegł tam

zaraz i...

— Tam? Gdzieś ją znalazł, kuzynie?

— Przychodzę po pieniądze — zabrzmiał w tej chwili głos Kazimierza Marskiego.

Nie wiadomo, czy samo jego przybycie to sprawiło, czy wzmianka o pieniądzech, dość że Ludwik Bolton pospieszył naprzeciw wchodzącemu, nie czekając odpowiedzi na swoje pytanie. Dzięki temu nie dowiedział się na razie gdzie znaleziono Irenę, nie domyślił się, że ona widziała go z Lidią tam, w tym malowniczym ustroniu, że widziała **wszystko!**

— Pan przychodzi po pieniądze do nas? A któż był plenipotentem nieboszczyka stryja, jak nie pan!

— Tak, ja, ale większych sum pan Jan Bolton nie pozwalał mi trzymać w podręcznej kasie. Mój, że tak powiem, fundusz dyspozycyjny wynosił zaledwie sto złotych, a całą nadwyżkę musiałem zawsze odnosić chlebodawcy.

— Z tego wynikałoby, że pieniądze są tutaj, w pałacu!

— Oczywiście. Dlatego właśnie przychodzę.

— A na co pan potrzebuje gotówki?

Marski wymienił całą litanie najpilniejszych wydatków; wśród nich pierwszeństwo należało się kosztom jutrzejszego pogrzebu Jana Boltona, którego zwłoki miały być dzisiaj popołudniu przewiezione z prosektorium w miasteczku do kaplicy cmentarnej w Jeleniowie.

— Jaki wynik dała sekcja? Czy widział się pan z Huberem?

— Owszem, rozmawiałem z nim rano. Jego odpowiedzi były, co się zowie, wymijające. W końcu oświadczył, że w tych dniach znowu tu przyjdzie.

— Czyli — wnioskowa! Michał — ani sekcja zwłok, ani badania daktyloskopijne nie wyjaśniły zagadki. W przeciwnym razie inspektor Huber byłby tu przyjechał dzisiaj, aby natychmiast sprawcę aresztować.

Ludwik Bolton, *pies na gotówkę*, wołał powrócić do poprzedniego tematu rozmowy.

— Czy stryj trzymał pieniądze w bankach?

— Wątpię. Stryj pański był śmiesznie uprzedzony do wszelkich banków. O ile mi wiadomo, wszystko przechowywał w domu.

— Jakaż lekkomyślność! — zawołała Magdalena Dorn.

Ludwik spojrział z politowaniem na *kochaną ciocię*.

— Dzięki tej „lekkomyślności” nie będziemy musieli płacić podatku spadkowego od pozostawionej przez niego gotówki — odparł szeptem przez wzgląd na Marskiego i Julię Dorazilową.

Tak rozmawiając, dotarli na drugie piętro i zatrzymali się przed drzwiami pokoju, w którym onegdaj rozegrał się tajemniczy dramat. Klucz tkwił w zamku i na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, że w gabinecie zmarłego spadkodawcy ktoś przebywał po wyjeździe inspektora Hubera. A jednak bystre oczy Michała Boltona odkryły ślad czyjejś nocnej wizyty.

— Tego tu wczoraj nie było! — orzekł, wskazując dwa niedopałki papierosów leżące pod piecem. Podniósł niedopałki przez chusteczkę i umieścił je w pustym pudełeczku od zapalek, które potem wsunął do kieszeni.

— Gdzie stryj przechowywał pieniądze? — spytał Ludwik.

— Bo ja wiem. — Marski wzruszył ramionami. — Może w biurku.

Wyciągnęli z biurka wszystkie szuflady, wypełnione niemal po brzegi różnymi kwitami, rachunkami i tym podobnymi dokumentami, przetrząsnęli wszystko do ostatniego świstka, aż wreszcie znaleźli kopertę, w której znajdowały się dwa banknoty po pięćset złotych.

— Na pogrzeb to od biedy wystarczy — mruknął Marski — ale pojutrze mamy do zapłacenia ratę podatku dochodowego... Gdzież u licha tkwi reszta pieniędzy?

— Reszta? Jaka reszta?

— Ano choćby z tych pięciu tysięcy, jakie oddałem szefowi w przeddzień jego zgonu.

— Pięć tysięcy! To znaczy tu gdzieś musi leżeć jeszcze osiem sztuk takich przyjemnych banknocików. Osiem sztuk!

— Nie, młody człowieku. Ostatnim razem oddałem panu Janowi samo srebro i bilon. Te dwie pięćsetki pochodzą zapewne jeszcze z kwietnia. Wtedy, pamiętam, przyniosłem takich papierków coś dwadzieścia.

— O rrrraju! Dziesięć tysięcy złotych! Plus cztery... Trzymajcie mnie, bo nogi mam jak z galarety — błaznował Michał, widząc błyski chciwości w oczach wszystkich spadkobierców.

Ludwik Bolton poczęstował Marskiego papierosem.

— Kochany panie Kazimierzu — zaczął słodziutko — czy świętej pamięci stryjaszek miał też jakie obce waluty?

— Rozumie się! Plus minus połowę z tego, co mu przynosiłem, kazał mi zmieniać na dolary. A potem...

— Na dolary? — Magdalena skrzywiła się. — No to stracił!... To straciliśmy chciałam powiedzieć. Jak mógł nas na to narażać!

— E, co to, to nie. Nieboszczyk był ostrożny. Gdy

tylko dolary zaczęły spadać, zmienił je na franki szwajcarskie. Wiem, bo sam to załatwiałem.

— Aha, aha... Dużo tego było?

— Dokładnej kwoty już dzisiaj wymienić nie mogę, ale w każdym razie przyniosłem wtedy z banku szwajcarskich franków...

— No? No? Choć w przybliżeniu!

— Ponad sześćdziesiąt tysięcy.

Efekt był piorunujący. Wysokość sumy wymienionej przez Marskiego przeszła najśmielsze oczekiwania spadkobierców Jana Boltona. Wymowne milczenie przerwał w końcu okrzyk młodego sportsmena.

— I tak sympatycznego burzują zamordowali!... przed moim przyjazdem... Ale gdzie on zadekował tyle forsy?

To samo pytanie dręczyło wszystkich. Na nowo zaczęły się poszukiwania prowadzone w gorączkowym tempie. Ludwik, żeby sobie uprościć robotę, wysypał zawartość wszystkich szuflad na dywan i wraz z obydwoma ciotkami zanurzył się w stercie papierów. Wawrzyniec i Tytus obmacywali dokładnie każdy fotelik, obracając go na wszystkie strony. Doraziłowie zaopiekowali się biblioteką; wyjmowali z niej jedną książkę po drugiej i przerzucali kartki w nadziei, że natrafią na jakąś kopertę z banknotami. Lidia, Witold i Marski zajęli się opukiwaniem ścian, w poszukiwaniu zamaskowanej skrytki w murze. A Michał... Michał usiadł na biurku i myślał: myślał, gdzie on sam ukryłby dużą sumę pieniędzy, gdyby był Janem Boltonem, z jego uprzedzeniami do banków, z jego sknerstwem i różnymi dziwactwami...

Wtem rozległ się dźwięk tłukącego się szkła. W

drzwiach stał Maciej. W dłoniach trzymał ukośnie tackę, z której karafka zsunęła się właśnie i spadła do jego stóp, rozbijając się na drobne kawałki. Wzrok sędziwego lokaja ślizgał się po porozrzucanych papierach, po sylwetkach obecnych tutaj ludzi, zachowujących się jak Wandale. W jego oczach zgroza i zgorszenie walczyły o lepsze ze świętym gniewem, który wreszcie objawił się w odrażającym bełkocie.

— Panie i panowie — zawołał Michał — niemowa protestuje przeciwko spustoszeniu, jakie wyczyniacie w ulubionym pokoju jego pana.

Nikt się oczywiście nie zamierzał przejmować tym protestem. Ten i ów wzruszył ramionami, po czym wrócił do przerwanej zajęcia. Lecz z drugiej strony staruszek ani myślał poprzestać na tak łagodnej demonstracji swojego niezadowolenia. Podeszedł do Ludwika, który znajdował się najbliżej drzwi i bez ceremonii pociągnął go za kołnierz marynarki.

— Co to znaczy?! — huknął Ludwik oburzony. — Jak śmiesz!... Panie Marski, proszę tego starego piernika natychmiast wyrzucić za drzwi!

— Mogę to uczynić — odparł administrator — ale czy nie byłoby rozsądniej staruszka udobruchać? On wie na pewno więcej, niż my wszyscy.

— Tak pan sądzi?

— A tak. Nieboszczyk Jan Bolton tylko jego darzył jakimś zaufaniem; toć Maciej ongiś na rękach go nosił...

To przekonało Ludwika. Poklepał starca przyjaźnie po barkach, potem ze sterty papierów wziął jakiś rachunek i na odwrotnej stronie napisał:

CZY KOCHANY MACIEJEK NIE WIE, GDZIE

MÓJ STRYJ PRZECHOWYWAŁ PIENIĄDZE?

Odpowiedź *kochanego Maciejka* zelektryzowała wszystkich, ale i zaniepokoiła zarazem, bowiem brzmiała:

WIEM, ALE NIE POWIEM!

Ludwik Bolton rozpoczął pertraktacje.
Zaproponował:

PODWYŻSZYMY CI PENSJĘ.

Magdalena Dorn była hojniejsza:

DOSTANIESZ DWIE MORGI GRUNTU.

Michał Bolton dopisał co prędzej:

I MOTOCYKL.

Zwymyślano go, że psuje całą robotę, po czym Elżbieta Reyowa, przekreśliwszy *motocykl*, napisała poniżej:

I MUROWANY DOMEK!

Licytując się kolejno w takich przyrzeczeniach, doszli do dwudziestu morgów gruntu, lecz głuchoniemy lokaj pozostał nieczuły na wszelkie łapówki. Wreszcie Lidia wpadła na pomysł, by zagrać na strunie wzruszającego przywiązania wiernego sługi do jego zmarłego pana. Napisała więc:

DROGI MACIUSIU, NIE MAMY ZA CO
POGRZEBĄĆ TWOJEGO PANA, A PRZECIEŻ JEGO
POGRZEB JUŻ JUTRO!

To wywarło wrażenie. Otarłszy łzy rękawem, Maciej ujął w dłoń ołówek i powolutku zaczął gryzmolić literę po literze. Cierpliwość spadkobierców Jana Boltona została wystawiona na ciężką próbę, ale w końcu „nota dyplomatyczna” powędrowała z rąk Macieja do Marskiego. Była krótka:

CZY MOGĘ IM POKAZAĆ KASĘ?

Marski skinął głową potwierdzająco. Aby rozprosić wszelkie skrupuły zacnego sługi, wytłumaczył mu pisemnie, że ci państwo to przecież krewni i spadkobiercy zmarłego, więc mają prawo do jego pieniędzy.

Nareszcie Maciej dał się przekonać. Zawrócił ku drzwiom, wyszedł na korytarz, a za nim cała „procesja”. Tak doszli do schodów. W nagłej troskliwości o cenne zdrowie lokaja, Ludwik objął go wpół i podtrzymywał z czułością na każdym stopniu. Och, byłby go niósł na rękach, gdyby to było konieczne.

Przybyli do hallu. Zszedłszy na parter, Maciej skierował się wprost do kominka. Ponad nim na marmurowej płycie stały dwa ciężkie kandelabry, a w środku pomiędzy nimi antyczny zegar okazałych rozmiarów. Maciej pokazał na migi, że zegar ten należy zdjąć lub odsunąć. Kiedy to skuteczniono, oczom obecnych ukazała się klamka drzwiczek żelaznej kasy,

wmurowanej w ścianę i pokrytych taką samą tapetą.

— Więc to tutaj?! Psiakrew, że też człowiek tego nie przeczuł!

Wszyscy pomyśleli sobie to samo, co Tytus Dorn głośno wypowiedział. A Ludwik Bolton wprost wściekał się na siebie, że nie wszedł w porozumienie z Maciejem wcześniej. Za plecami krewnych!

— Kasę już mamy, ale gdzie klucze od niej?

— Zostały przy biurku. Przypuszczam, że to tamte klucze.

Michał Bolton popędził na drugie piętro do gabinetu zmarłego i po chwili powrócił z pękiem kluczy. Były wśród nich cztery płaskie kluczyki, jakich się używa do kas pancernych starszej daty, bez trudu więc dobrano trzy właściwe, bowiem kasa wmurowana w ścianę nad kominkiem, posiadała trzy zamki.

Nadeszła upragniona chwila. Oczyma duszy każdy z tych ludzi widział już owe sześćdziesiąt tysięcy franków szwajcarskich i sterty banknotów innych walut, i piramidę z rulonów srebra.

— Ja! Ja otworzę.

Ludwik odsunął Michała, drżącą dłonią nacisnął żelazną klamkę, przekreślił ją i szarpnął. Nie na próżno. Grube, opancerzone drzwiczki poddały się, ustąpiły. Wszystkie spojrzenia wdarły się natrętnie do wnętrza otworzonej skrytki i z ust wszystkich wydarł się zgodny okrzyk... zgrozy.

Kasa była pusta!

ROZDZIAŁ X

Marski wcześniej ochłonął z wrażenia, niż krewni Jana Boltona.

— Ano, stało się — mruknął — ktoś nas tu uprzedził.

— Kto?! — wybuchnął Ludwik, zezując wyraźnie w stronę leciwego lokaja. — A któż spośród nas wszystkich wiedział, gdzie jest kasa?!

— Racja! Tylko on mógł skraść te pieniądze.

— Złodziej!

— Kanalia!

— Oddać go policji!

— Zrewidować mu rzeczy!

Sędziwy sługa spoglądał ze zdumieniem na tych ludzi, przed chwilą tak uprzejmych dla niego, tyle mu obiecujących, a teraz spoglądających nań z nieukrywaną nienawiścią. Wreszcie napisał coś i podał papier Marskiemu, któremu Ludwik natychmiast wyrwał go z ręki. Przeczytał. Zaklął.

— *Co się stało?* nagryzmolił szubrawiec! Głupiego udaje!

Jedynie Witold Rey ujął się za starcem, dowodząc,

że przecież Maciej nie miał dostępu do kluczy, że nie byłby im wskazał miejsca, gdzie znajdowała się kasa, gdyby on ją był wypróżnił itd., itp.

— Kuzynek naturalnie znowu w opozycji, kuzynek woli trzymać stronę lokaja niż rodziny! — pienił się Ludwik. — Na szczęście jednak nikt z nas twojego zdania nie podziela i policja łatwo...

— Ja podzielałam zdanie Witolda — wtrącił Michał Bolton, który nie brał udziału w ogólnej nagonce na ogłupiałego Macieja, lecz skrupulatnie badał wnętrze głębokiej kasy. — Maciej nie mógł zabrać stąd pieniędzy, gdyż nigdy ich tutaj nie było!

Powiedziawszy to, wręczył Ludwikowi znalezione w kasie bilet Jana Boltona. Na drugiej stronie tej karty wizytowej było napisane:

PANIE ZŁODZIEJU!

PRZYKRO MI BARDZO, ŻE FATYGOWAŁ SIĘ PAN NA PRÓŻNO. PIENIĄDZE SĄ, ALE CHOWAM JE W BEZPIECZNIEJSZEJ SKRYTCE.

— Nigdy tu pieniędzy nie było — powtórzył Michał Bolton — jeżeli to pisał naprawdę świętej pamięci burżuj.

Marski najbardziej kompetentny w tej sprawie oświadczył, że tak, że poznaje pismo swojego zmarłego chlebodawcy.

— W takim razie nieboszczyk bazgrał jak sztabak.

Wizytówka wędrowała z rąk do rąk, wywołując różne komentarze, aż powróciła do Ludwika i dyskretnie utonęła w jego kieszeni. Większość oburzała się na zmarłego spadkodawcę.

— Miła rodzinko, de mortuis aut nihil, aut bene¹ —

przypomniał Michał Bolton, znudzony tym narzekaniem.
— Czy wiecie, czego ten bilet dowodzi.

— Że stryj był skończonym dziwakiem!

— Trudno przeczyć, ale czego więcej?... No?... Ha, więc ja wam sam powiem... Dowodzi, że najniesłuszniej w świecie podejrzewaliście biednego Macieja... Powinniście go za to przeprosić.

Nikt się do tego nie kwapił. Każdy wolał sobie łamać głowę nad rozwiązaniem zagadki, gdzie są ukryte pieniądze, wolał ich szukać. Te poszukiwania trwały z małymi przerwami aż do późnego wieczoru.

Elżbieta Reyowa oświadczyła przy kolacji Ludwikowi, że Irena jest ogromnie osłabiona, że wprost nie mogłaby się zwlec z łóżka, że wobec tego pragnie pozostać w jej pokoju przez noc, a może i dłużej.

— Czy nie masz nic przeciwko temu?

— Nie, droga ciociu; przeciwnie, jestem ci serdecznie wdzięczny, że opiekujesz się moją żoną... Ach, nie macie pojęcia, jak mnie jej dzisiejsze omdlenie niepokoi, jak mnie martwi...

Wyglądał rzeczywiście na zmartwionego. Westchnął, posmutniał, przestał rozmawiać z Lidią, ale w chwilę później mrugnął na nią wesoło i otrzymał nawzajem porozumiewawcze spojrzenie. Było to zrobione tak dyskretnie, że tych *optycznych depesz* nie powinien był zauważyć nikt. A jednak...

Po kolacji Michał ofiarował się odprowadzić do domu Marskiego, bowiem chciał z nim pomówić o owej *amerykańskiej* siostrze Jana Boltona, Anieli, o której zarówno Ludwik jak i Dornowie czy Dorazilowie, a nawet poczciwa Elżbieta wyrażali się z przekąsem, powtarzając aż do znudzenia, że cała rodzina wyparła się jej i nigdy z

nią nie utrzymywała stosunków.

— Niewiele będę mógł panu powiedzieć — zaczął administrator jeleniowskiego klucza. Wiem tylko tyle, że pani Aniela mieszka w Chicago i że mój chlebobawca ją utrzymywał od niepamiętnych lat.

— Bardzo to pięknie świadczy o moim wujaszku — (Michał zdążył już uwierzyć w to, iż jest krewnym Jana Boltona) — że, gdy cała rodzina uparcie bojkotowała tę Anielę, on nie tylko nie zerwał z nią stosunków, ale jeszcze pomagał jej finansowo.

— Lecz w końcu również z nią zerwał.

— Co pan mówi! Dlaczego? Jakże to było?

— Tak było, że regularnie co miesiąc posyłało się jej pięćset złotych i nieboszczyk Jan Bolton sam zawsze pamiętał o terminie. Ostatnio przekazywałem pieniądze pierwszego lutego, więc na pierwszego marca patrzyła się jej następna rata. Nadszedł pierwszy, a wuj pański nic, ani słowa. *Zapomniał*, pomyślałem sobie, *nareszcie raz zapomniał*. Napomknąłem więc w rozmowie o marcowej racie, a ten jak nie huknie na mnie!

— Zwymyślał pana?

— Pytanie!... On się ze słowami nie liczył nigdy, więc początkowo nie byłem zaskoczony jego wybuchem. Lecz po chwili zmiarkowałem, że musiało zajść coś poważniejszego, że ta siostrunia weszła mu za skórę bardzo głęboko. Przez dobre pół godziny kłął i...

— Na nią?

— Czy na nią? Hm, tego dziś nie pamiętam; przecież z górą dwa miesiące upłynęły od tej chwili... Ale utknęło mi w pamięci jedno zdanie.

— Mianowicie?

— Mianowicie: *dość długo mnie oszukiwano*.

— **Oszukiwano?!** Czy na pewno tak powiedział?

— Na pewno. Nawet kilka razy powtórzył te słowa, jak również swoją groźbę, że zwolni mnie natychmiast z posady, jeżeli ośmielę się kiedykolwiek wspomnieć mu o przekazach do Chicago, o tych, jak się wyraził, *haniebnie wyłudzonych pieniądzach*.

— *Haniebnie wyłudzonych pieniądzach!*... Ciekawe... bardzo ciekawe!... A jakże pani Aniela zareagowała na to nagłe wstrzymanie wypłaty jej „apanaży”? Czy pisała? Depeszowała?

— Nie. Od tej chwili przestała pisać.

— Skąd pan wie o tym? Może pisała.

— Nie, młody człowieku. Poczty z miasta przywozi zawsze Mateusz i mnie ją doręcza, gdyż ja zawsze załatwiam całą korespondencję...

— Prócz prywatnej.

— Oczywiście. Listy prywatne adresowane do Jana Boltona odsyłałem mu do pałacu, niemniej każdy taki kawałek musiał przejść przez moje ręce. I, o ile dawniej co kilka tygodni był list z Chicago, o tyle, powtarzam, od lutego nie przyszło stamtąd nic więcej. Na pewno!

— Jednym słowem — rzekł Michał żartobliwie — w lutym bieżącego roku nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych.

— Tak, ale dlaczego?

— Dlatego, że Jan Bolton stwierdził, iż *oszukiwano go*.

— To znaczy?

— Ba, żeby wiedzieć co to znaczy, trzeba by wpieryw przejrzeć ostatnie listy Anieli Bolton z Chicago.

— Jak to, Bolton? Pani Aniela po mężu nazywa się Pawley.

— Ach, więc ona nie jest starą panną... Dlaczego jednak mąż nie łoży na jej utrzymanie, tylko... Czy on ją może porzucił?

— Na zawsze; umarł jeszcze przed wojną światową.

— Uhum... Czy Aniela Pawley ma dzieci?

— Jedno, o ile mi wiadomo...

Tak rozmawiając szli żwawo, bo z góry i po czterdziestominutowym marszu dotarli do leśniczówki.

— Oto moja rezydencja — rzekł Marski, odmykając kluczem furtkę małego ogródka, okalającego drewniany domek. — Czy nie napije się pan ze mną herbaty? A może woli pan koniak.

— Panie Marski, zaczynam nabierać respektu dla pańskiej intuicji. Ale, ale... która to godzina?

— Trzy na dziesiątą.

— No, to mamy czasu huk; chcę być w pałacu z powrotem o północy.

* * *

Magdalena Dorn obudziła się w siódmych potach. Od samego wieczora trapiły ją męczące sny, a najgorszy z nich był ostatni. Śniło się jej, że jakiś zamaskowany drab zepchnął Lidię z wysokiej skały. Widziała tę scenę z denerwującą wyrazistością, widziała wykrzywioną z przerażenia twarz córki spadającej w przepaść, słyszała jej przeraźliwy krzyk.

— Idiotyczny sen — zżymała się. — Zbyt dużo zjadłam na kolację, to z tego — przypuszczała.

Poprawiła sobie poduszki, ale nie mogła zasnąć; niewytłumaczony lęk ścisnął jej serce. Leżąc w ciemnościach zaczęła nadśłuchiwać. Pragnęła posłyszeć

oddech córki, śpiącej na sąsiednim łóżku, lecz czekała na to na próżno. Wysunęła rękę w tę stronę. Czuła, że jeśli dotknie włosów Lidii i upewni się przez to, iż nie jest sama w tej dużej komnacie, to uspokoi się natychmiast. Ale dłoń jej nie znalazła tego, czego szukała.

— Lidio!

W tej chwili stary zegar w hallu zaczął wybijać godzinę— Naliczyła uderzeń dwanaście. Była północ, *godzina duchów*.

— Lidio! — powtórzyła głośniej.

Nie było odpowiedzi. Magdalena usiadła na łóżku, drżącą dłonią zaczęła szukać zapalek na stoliczku. Znalazła je, zapaliła świecę i omal nie wypuściła jej z dłoni. Drugie łóżko było puste.

— Lidio!!

Wtem przyszło jej na myśl, że Lidia wyszła do sąsiedniego pokoju, w którym spali jej bracia, Wawrzyniec i Tytus. Młodzi Dornowie nie lubili chodzić spać z *kurami*, jak ich matka i na przykład wczoraj rozmawiali we trójkę do późnej nocy, snując przeróżne domysły w związku z tajemniczym telegramem, jaki otrzymała Irena Bolton. Magdalena musiała ich nawet upomnieć, by mówili ciszej, gdyż ona nie może zasnąć.

— Może więc i dzisiaj Lidia jest z nimi?

Było to przypuszczenie wcale uzasadnione na pozór, a jednak Magdalena postanowiła się upewnić. Wyszła z łóżka, podeszła do drzwi przyległego pokoju, otworzyła je. W sypialni jej synów było ciemno. Wawrzyniec i Tytus spali snem sprawiedliwych, lecz córki nie było tu również. Wówczas Magdalenę ogarnęła fala najgorszych przeczuc, z jej ust wydarł się okrzyk zgrozy.

Bracia obudzili się natychmiast.

— Mama?

— Co się stało?!

Magdalena Dorn osunęła się na najbliższy fotel.

— Lidię — wykrztusiła z trudem. — Lidię ktoś
porwał!

¹ *de mortuis aut nihil, aut bene* (łac.) – o zmarłych [należy mówić]
albo nic, albo dobrze.

ROZDZIAŁ XI

W pałacu jeleniowskim Dornowie i Dorazilowie mieszkali na drugim piętrze, Ludwik Bolton na pierwszym, a Reyowie od wczoraj na parterze. Jeśli zaś chodzi o Michała Boltona, to ten z niewiadomych powodów zmieniał sobie kwatery co noc. Nie zdziwiło więc na razie Dornów, kiedy go spotkali na swoim piętrze.

— Co się znowu stało? — spytał.

— Porwano moją córkę!

— Porwano?... Nieprawdopodobne! Może sama wyszła.

— Dokąd?

— Po co by miała wychodzić z pokoju o północy?

— Na Boga, nie traćmy czasu na bezpłodną gadaninę. — Magdalena Dorn była tak wzburzona, że głos jej się zmienił! zupełnie. — Niech nam pan pomoże ścigać tego zbrodniarza!

— Z największą przyjemnością.

Michał Bolton uśmiechnął się szelmowsko, zawrócił w stronę głównych schodów w hallu, zszedł na pierwsze piętro, skierował się wprost ku drzwiom pokoju Ludwika i tu przystanął. Zaintrygowani Dorazilowie i przerażeni

zniknięciem Lidii Dornowie szli za nim krok w krok, nie pytając o nic; byli nawet radzi, że ktoś myśli za nich, że kieruje całą „akcją ratunkową”...

— Świeci się — mruknął Michał, a w duchu dodał: — tak, jak przeczuwałem! — Zapukał, po czym zaraz nacisnął klamkę, pchnął, ale drzwi nie ustąpiły, były zamknięte na klucz od wewnątrz. — Dziwiłbym się, gdyby było inaczej...

— Kto tam? — W pytaniu Ludwika każdy mógł łatwo wyczuć przestрах. — Kto puka?

— Tu ja, Michał... Niech pan otworzy natychmiast!

— Dlaczego? Co to znaczy?! — Tonacja przestrchu przeszła od razu w tonację gniewu. — Jakiem prawem pan mnie nachodzi o...

— ... o tej porze, co? Bardzo mi przykro, ale stało się nowe nieszczęście i potrzebujemy pańskiej pomocy.

Rzekłszy to, Michał położył dłoń na ustach pani Magdaleny, która właśnie zamierzała coś powiedzieć.

— Tssss! — ostrzegł szeptem.

Przyłożywszy ucho do drzwi, zaczął nadśłuchiwać. W pokoju Ludwika przez chwilę szeleściły papiery, stuknęła zasunięta szuflada biurka, klapnęła metalowa pokrywka na kałamarzu, potem krzesło szurgnęło i wreszcie zadudniły szybkie kroki... Michał odskoczył od drzwi.

— Co się stało?

Magdalena Dorn opowiedziała mu pokrótce, co zaszło.

— Lidia zniknęła?! — Ludwik oparł się o futrynę drzwi, był wyraźnie zaskoczony i przerażony tą wieścią. — Ale dlaczego przychodzicie z tym do mnie?!... Stój pan! Co to znaczy!

Michał zignorował ten okrzyk oburzenia. Prześlizgnąwszy się pod wyciągniętym ramieniem Ludwika, wpadł jak bomba do jego pokoju i popędził w stronę biurka. A Ludwik za nim.

— Jak pan śmie!

Michał przyskoczył do lampy i przykręcił ją z lekka

— Czemu się pan denerwuje? — spytał z rozbrajająco niewinną miną. — Lampa filowała, więc chciałem trochę zmniejszyć jej płomień.

W trakcie tej króciutkiej scenki Dorazilowie i Dornowie weszli również do pokoju, ku nietajonej wściekłości Ludwika.

— Może wyjdziemy do hallu — zaproponował gospodarz. — Chcecie podobno szukać zaginionej Lidii. Przecież tutaj jej nie ma!

Tak, tutaj jej nie było. Dyskretne, ale diabelnie przenikliwe spojrzenie Michała przeszukały każdy kąt tego pokoju, jednakże bez skutku. Lidii tu naprawdę nie było **obecnie**. Lecz przedtem?

W powrotnej drodze ku drzwiom Michał skręcił w stronę łóżka. Na jego metalowej gałce zamigotało coś tak, jak brylanty. Była to bransoletka wysadzana diamencikami.

— Śliczne cacko — pochwalił Michał, „nie widząc” morderczego wzroku Ludwika. Podał bransoletkę Magdalenie. — Śliczna, prawda?

Magdalena Dorn oniemiała na chwilę.

— Ludwiku, skąd się to wzięło tutaj?!
— wykrztusiła wreszcie.

— Lidia mnie prosiła wczoraj, abym jej to naprawił.

— Zepsuło się? No, proszę! Nie wygląda na zeps...

— Bo właśnie naprawiłem! — huknął Ludwik, nie panując dłużej nad sobą. — Proszę, niech ciocia odda to

Lidii... I proszę wszystkich, by nareszcie zechcieli opuścić mój pokój, do stu tysięcy diabłów!

— Ha, wobec tak uprzejmej prośby... — Michał obrzucił jeszcze domyślnym spojrzeniem zmiętą pościel łóżka i pierwszy wyszedł z pokoju.

Zawrócili w stronę hallu i po chwili znaleźli się na jego niższej galeryjce, czyli na galeryjce pierwszego piętra.

— Cicho!

— Co? Co?

— Cicho, u licha! Nie gadać, słuchać!

Nadśłuchiwali w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż w końcu posłyszeli dobiegający skądś z dołu słaby, stłumiony jęk. Michał wysunął świecę jak najdalej mógł poza balustradę galerii, aby z góry oświecić dół hallu, wychylił się, omiótł wzrokiem całą przestrzeń od schodów po kominek, lecz nic nie dostrzegł. A jednak jęk powtórzył się znowu.

— Musimy zejść na dół.

Ostatnie stopnie schodów nie posiadały poręczy; pomiędzy nimi a ścianą znajdował się wąski, ciemny kąt i właśnie tam znaleźli Lidię, skuloną, podrapaną, przerażoną bezgranicznie. Co prędzej wyciągnęli ją stamtąd i przenieśli na kanapę.

— Mój sen, mój straszny sen proroczy, rozpaczała Magdalena.

— Jaki sen, mamó? — spytał Tytus.

Popłakując, opowiedziała im swój dzisiejszy sen.

— ...i zepchnął ją ten zbrodniarz, zepchnął, kończyła.

— Wybacz, ciocia, ale ja w to nic wierzę. Ludwik mówił to dobitnie, głośno, patrząc przy tym Lidii prosto w oczy tak, jak gdyby chciał jej coś zasugerować. — W

ciemnościach Lidia musiała się poślizgnąć i skulnęła się ze schodów... Tak było, prawda, kuzyneczko?

Zapytana poruszyła głową poziomo.

— Nie?!

— Nie Ludwiku... On... mnie uderzył... w piersi...

i...

— Kto?!

— Nie wiem...

— Jak to, nie wiesz? Nie rozumiem.

— Było... tak ciemno...

— Czemu nie zabrałaś świecy, siostrzyczko?

— I po co w ogóle wychodziłaś z pokoju?

Na pytanie matki Lidia nie dała żadnej odpowiedzi, czym prędzej zaczęła znów narzekać, że kości nie czuje, taka jest cała potłuczona, ale przy tym zdążyła posłać Ludwikowi spojrzenie porozumiewawcze i pełne najtkliwszej czułości.

Tymczasem Waclaw Dorazil poszedł obudzić Reyów. Było to właściwie całkiem zbyteczne, skoro Lidia się odnalazła, lecz małomówny Czech rozumował w ten sposób: *Dlaczego inni mają smacznie spać, jeżeli mnie niepotrzebnie wyciągnięto z łóżka?...*

Magdalena Dorn nie mogła się uspokoić. Pytanie, dlaczego Lidia wymknęła się z sypialni i po ciemku brnęła przez hall, zeszło na drugi plan wobec zagadki napadu na nią.

— Zepchnął ją z takiej wysokości, czyli chciał ją zabić — wnioskowała. — Czemu? Czemu dybie na jej życie? **Dlaczego?!**

Julia Dorazilowa wzruszyła ramionami.

— Kiedy dowiemy się nareszcie *кто* — wtrąciła — zrozumiemy również *dlaczego*.

— Więc kto? Kto usiłował zamordować moją córkę?!

Ludwik Bolton prześlizgnął się wzrokiem po sylwetach wszystkich osób obecnych tutaj, aż „utknął” na Michale.

— Wszyscy spali, gdy Lidię napadnięto. Wszyscy, tu jesteśmy w piżamach czy szlafrokach — myślał głośno — prócz jednej osoby!

— Prócz mnie! — Michał Bolton uśmiechnął się ironicznie.

— Tak. Pan jeden wśród nas jest jeszcze kompletnie ubrany. O tej porze! Zatem tylko pan nie położył się do łóżka wieczorem, ale...

— Pan również! Gdy zapukaliśmy do pana, świeciło się w pokoju!

— Bo czytałem w łóżku książkę.

I z tego czytania ma pan palce tak usmarowane atramentem? A czemu, idąc nam drzwi otworzyć, zatrzasnął pan szufladę w biurku?! — Michał zachichotał krótko, urągliwie, po czym zwrócił się do Lidii. — Gdzie pani zgubiła swoją bransoletkę?

— Bransoletkę?

— Lidio — wtrącił Ludwik pospiesznie — pan ma na myśli...

— Pan teraz nie ma głosu — huknął Michał energicznie; szybko wyciągnął Magdalenie z ręki bransoletkę z diamentikami i podsunął ją Lidii niemal pod sam nos. — Gdzie pani to zgubiła, zapytuje.

— Wwww... zdaje mi się, że... że w ogrodzie. Tak, na pewno!

— A jest tu ktoś, kto twierdził, że pani mu tę bransoletkę oddała do naprawy! Kto tedy z państwa

kłamie? Czy nie oboje?!

Ludwik Bolton zmełł w zębach soczyste przekleństwo, zacisnął pięści i cały sprężył się tak, jak gdyby chciał skoczyć Michałowi do gardła.

— Co pan chce przez to powiedzieć?! — ryknął fortissimo.

— To, że w naszych warunkach nietrudno rzucić podejrzenie na kogokolwiek — brzmiała ostrożna odpowiedź. — Kto napadł w ciemnościach na panią Lidie, nie wiemy... na razie. Mógł to uczynić każdy z nas... Pan sądzi, że ja. Ale ja mam murowane alibi, gdyż byłem w leśniczówce u pana Marskiego.

— Naprawdę?

— Jutro go państwo sami o to zapytacie.

— Więc jeśli nie pan, to kto, u licha, napadł na Lidie?!

— Witold! — zabrzmiał w tej chwili niewieści głos; w drugim końcu hallu pojawiła się Elżbieta Reyowa, wsparta na ramieniu Wacława. Była wzburzona do głębi. Przez chwilę poruszała ustami bezdźwięcznie, zanim wreszcie zdołała wykrztusić: — **Witold zniknął!!**

ROZDZIAŁ XII

Dornowie pozostali w hallu przy Lidii, reszta osób udała się do tego pokoju na parterze, który od wczoraj zajmował Witold Rey. Jego trzewiki wystawione do czyszczenia stały za drzwiami, jego ubranie wisiało na krześle w zupełnym porządku, pościel na jego łóżku była trochę zmięta, a w popielniczce na nocnym stoliku leżało kilka niedopałków.

— Wszystko jest na swoim miejscu — mruknął Ludwik Bolton — brakuje tylko piżamy i pantofli.

— Oraz ich właściciela.

— Ano, ano — potakiwał Waclaw Dorazil — a kde je Witoldek?

— Zniknął — jęknęła Elżbieta. — Mój syn zniknął, oooo...

— Nie jest duchem, żeby zniknął. Po prostu wyszedł.

— Ale dokąd? Dokąd, Ludwiku?

— Może tam — wtrącił Michał wesoło — gdzie nawet dyktator musi iść osobiście, bo nikt go w tym nie zdoła wyręczyć.

— Hm, to bardzo prawdopodobne... Kto pójdzie... sprawdzić?

Wacław podjął się tej „delikatnej” misji i długo, długo nie wracał, ku ogólnej wesołości. Nawet Elżbieta przestała się niepokoić o syna, rozbawiona żartobliwymi uwagami Michała na temat pedantyczności *czeskiego wujaszka*.

Ale ta wesołość była krótkotrwała. Wacław Dorazil powrócił i oświadczył, że nie znalazł Witolda ani „tam”, ani w łazience, ani w żadnym pokoju tego skrzydła pałacu.

Z kolei przeszukano resztę parteru i całe pierwsze piętro, również bez rezultatu. Witolda nie było nigdzie.

— Pozostało nam jeszcze drugie piętro i strych.

— Strych? W jakim celu miałyby chodzić na strych?

— Po co w ogóle wychodził z pokoju! — zawołała Elżbieta.

Julia Dorazilowa uśmiechnęła się złośliwie.

— To samo pytanie zadawaliśmy Lidii — rzekła — i nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Oboje wymknęli się cichcem z swoich pokojów, oboje źle wyszli na tej romantycznej schadzce, ale...

— Schadzka?!

— Nie rób tak zgorszonej miny, Elżbietko; twój synalek stał się pełnoletni... i to siedem lat temu, a Lidia jeszcze dawniej, wolno im zatem robić, co im się żywnie podoba. Ale jeśli ktoś sądzi, że dlatego ja będę do białego dnia błądziła po labiryncie tej rudery i szukała niefortunnego amanta, to jest w grubym błędzie!... Żegnam.

Dorazilowie odeszli do swojej sypialni, potem Elżbieta udała się do pokoju Lidii, aby ją zapytać o Witolda i sprawdzić, czy domysły Julii istotnie nie są bezpodstawne, aż w końcu z całej „ekspedycji ratunkowej” pozostały tylko trzy osoby: Ludwik, Michał i Wawrzyniec Dorn. Ten ostatni miał niekłamaną ochotę pójść w ślady

swego brata.

— Już i tak pół nocy straciliśmy — narzekał, ziewając.

— Tym bardziej więc możemy poświęcić jeszcze pół godziny.

— A jeśli Witolda tutaj nie znajdziemy również?

— To odetchnę z ulgą.

— Jak to, Ludwiku? Nie rozumiem.

— Ani ja — dorzucił Michał, odmykając drzwi następnego pokoju.

Ludwik Bolton wzruszył ramionami.

— Czyż nie domyślacie się sami, jaki przede wszystkim mógł być powód jego nocnej eskapady?

— Ciotka Julia twierdziła, że randka z moją siostrą.

— A ja myślę, że chęć znalezienia skrytki, w której nieboszczyk stryj przechowywał swoją forszę...

— I tu go nie ma — mruknął Michał, zamykając drzwi pokoju, do którego zajrzał przed chwilą. — Pozostało nam jeszcze... Tsss! — zniżył głos i ścisnął dłoń Wawrzyńca, otwierającego właśnie usta, by coś powiedzieć. — Widzicie? Światło! W gabinecie!!

Na palcach podeszli do drzwi, na których progę majaczyła żółtawa kresa bardzo mdłego światła. Michał Bolton miał rację. W narożnym pokoju, w którym zginął Jan Bolton, paliła się świeca!

— Znowu ktoś tam był — wyszeptał Wawrzyniec Dorn.

— Nie tylko **był**, ale i **jest!**... Słyszycie?

To co usłyszeli było odgłosem bardzo prozaicznej czynności, mianowicie siąkania nosa.

— A zatem tam jest człowiek!

— Pan myślał, że krokodyl?

Michał Bolton spojrział z politowaniem na Wawrzyńca, nacisnął klamkę, pchnął drzwi z całej siły, wpadł do narożnego pokoju z impetem, a za nim Ludwik i Wawrzyniec.

— O! Jaka niespodzianka!

W fotelu stojącym najbliżej drzwi siedział rzekomo zaginiony Witold.

— Czy drogi kuzynek jest bardzo zaskoczony naszą nieoczekiwaną wizytą? — spytał kpiąco Ludwik, choć w rzeczywistości on sam był znacznie więcej zaskoczony tym spotkaniem, niż Witold Rey.

Michał wolał zadać pytanie bardziej rzeczowe:

— W jakim celu przyszedł pan do tego pokoju?

— Po książkę.

— Ach, po książkę! — Ludwik parsknął szyderczym śmiechem. — W tę noc, w którą zamordowano stryja, wyszedłeś ze swojego pokoju podobno po karafkę z wodą, a dzisiaj znów po książkę. Kapitalne!... Ale tym razem nie udało ci się, bratku; Lidia **żyje!**

— Lidia? — Gniew ustąpił miejsca szczeremu zdziwieniu i Witold przeniósł pytający wzrok na Michała. — Co to znaczy, *Lidia żyje*? Czyżby ją również napadnięto, tak jak mnie?!

— Nie! Tego dłużej słuchać nie mogę! Jego bezczelny cynizm przekracza wszelkie granice!

— Spokojnie, panie Ludwiku, spokojnie: w taki sposób nie posuniemy sprawy naprzód ani o krok — perswadował Michał. — Zamiast tracić czas na docinki i gubienie się w domysłach, pozwólmy panu Witoldowi wyjaśnić powody jego eskapady do tego pokoju.

Udało mu się wreszcie uspokoić Ludwika, po czym Witold Rey przystąpił do odmalowania im swojej

dzisiejszej przygody.

— Położyłem się do łóżka po dziesiątej — zaczął — i zabrałem się do czytania. Jestem dzieckiem wielkiego miasta, nie zasypiam nigdy przed godziną drugą, toteż zmartwiło mnie, gdy dzisiaj już przed północą ukończyłem swoją lekturę. W dodatku powieść była zajmująca i...

— Przepraszam, że przerywam; jaka to była powieść?

— *PRZYGODA W BIARRITZ* — brzmiała odpowiedź. — O, tam leży. Leży w tym samym miejscu, gdzie ja runąłem napadnięty zniecka... W dodatku, powtarzam, powieść była interesująca, a przy końcu jej znalazłem dopisek, że posiada tak zwany ciąg dalszy...

Michał Bolton schylił się, podniósł książkę leżącą na dywanie tuż obok drzwi, przerzucił szybko jej kartki; na przedostatniej znajdował się dopisek wydawcy następującej treści:

Dalsze losy bohaterów

PRZYGODY W BIARRITZ

opisał autor w powieści pt.

ULUBIENIEC SENIORIT.

— Jak dotychczas, wszystko się zgadza — stwierdził. — Proszę mówić dalej.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo chciało mi się wstawać i maszerować po dalszy ciąg powieści aż na drugie piętro, lecz z dwojga złego było to mniejsze zło, niż

przewracać się w łóżku z boku na bok przez pełne dwie godziny. Bo, żeby tam nie wiem co, nie zasnę nigdy przed drugą, jak wam już powiedziałem... Po krótkim wahaniu opuściłem swój pokój i...

— Przepraszam, po ciemku?

— Także pomysł! Ze świecą. Dlaczego bym miał iść po ciemku?

— A która to była wtedy godzina?

— Mniej więcej dwunasta.

— Północccc! — syknął Wawrzyniec Dorn, patrząc z uznaniem na kuzyna. — Nie bałeś się wchodzić do tego pokoju sam o północy?!

Witold Rey spojrział na mówiącego ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem, czego miałbym się lękać.

— No, choćby spotkania z... z... z duchem! Z duchem Jana!

— Pomijając już absurdalność takiej sytuacji, muszę ci powiedzieć, że nie zląkłbym się tego spotkania; mam czyste sumienie.

— U-hum, — chrząknął Ludwik sceptycznie.

— I co dalej?

— Niewiele już... Odemknąwszy te drzwi, wszedłem tutaj. W tej samej chwili ktoś zdmuchnął mi świecę i palnął mnie czymś w głowę tak, że straciłem przytomność... Ocknąłem się dopiero przed chwilą. Zapaliłem świecę, bo dziwnym zbiegiem okoliczności nie wypuściłem z rąk lichtarzyka, podniosłem się, ale dobrnąłem tylko do najbliższego fotela z powodu silnego zawrotu głowy... To już wszystko, co mogę wam powiedzieć o moim wypadku.

— Nie wszystko, panie Witoldzie. Jeszcze musi mi pan łaskawie odpowiedzieć na kilka pytań... A więc, primo,

czy te drzwi były zamknięte na klucz, czy otwarte?

— Otwarte, jeśli pomnę... Tak, otwarte, na pewno.

— Czy... to bardzo ważne... czy szedł pan tutaj **po cichu**?

— Nie. W jakim celu miałbym się skradać? Szedłem sobie całkiem normalnie, a raz nawet, gdy mnie stearyna oparzyła, zakląłem głośno.

— Aha! Wtedy właśnie napastnik pana usłyszał, wtedy zrozumiał, że ktoś tutaj idzie, ukrył się więc za drzwiami i ogłuszył pana. A potem, uciekając panicznie, wpadł w ciemnościach na panią Lidię i... może nawet niechcący... zepchnął ją ze schodów. Teraz wiemy wszystko.

— Nie bardzo — mruknął Wawrzyniec. — Nie wiemy jeszcze, czego ten drab tutaj szukał.

— Czego szukał ten drab?! — wrzasnął Ludwik, patrząc wyzywająco na Witolda. — Oczywiście pieniędzy! Naszych wspólnych pieniędzy, które łotr chciałby zagrabić wyłącznie dla siebie! Ale to mu się nie uda, dopóki ja żyję, słyszysz jeden z drugim?! Zastrzelę jak psa?

— Słyszemy i wobec takich pogroźek, forsę nie zagrabimy — wtrącił Michał żartobliwie, nie chcąc dopuścić do awantury pomiędzy Ludwikiem a Witoldem. — Warto by teraz sprawdzić, czy ów tajemniczy wizytator tego pokoju nie zostawił tu znowu jakiej pamiętki.

— **Znowu?!**

— Ano, ano, jak mawia wuj Wacław. Bo na przykład wczoraj znalazłem tutaj dwa niedopałki papierosów... Zobaczymy, co dzisiaj będzie.

— Co? Nie chcę być trywialnym, więc powiem krócej: *nic* — odburknął Ludwik Bolton.

Zająwszy tak pesymistyczne stanowisko w tej

sprawie, Ludwik nie zamierzał oczywiście fatygować się daremnymi poszukiwaniami. Wawrzymec był za leniwy, Witold nazbyt osłabiony po otrzymanym tu ciosie w głowę, toteż Michał Bolton musiał sam szukać „pamiątek” pobytu zagadkowego osobnika w narożnym pokoju. Było mu to poniekąd na rękę. Postawiwszy lichtarz na podłodze, uklęknął, pochylił się i na czworakach rozpoczął serię mozolnych wędrówek od ściany do ściany...

Wawrzyniec zasnął od razu, a Witold w kilka minut później. Ludwika senność ogarnęła również i korciło go, by powrócić do swojego pokoju, ale wrodzona podejrzliwość zrazu przewyciężyła te pokusy; nie chciał pozostawić tutaj *kochanych kuzynków* bez swojej opieki, wolał znosić niewygody wraz z nimi. Dotrzymywał im więc towarzystwa, siedząc w fotelu naprzeciw Witolda, aż w końcu zdrzemnął się także.

— Dzień dobry panom! — wrzasnął ktoś na całe gardło.

Ocknęli się ze snu natychmiast i zaczęli się rozglądać dokoła ze zdziwieniem, bowiem gabinet był zalany słońcem; na parapecie otwartego na oścież okna siedział Michał Bolton i patrzył na nich z uśmiechem.

— Dzień dobry panom — powtórzył. — Czy dobrze się spało?

Szybko przypomnieli sobie, wśród jakich okoliczności przybyli do tego pokoju i co zaszło tej nocy... co zaszło, zanim usnęli.

— Doskonale — odparł Ludwik. — Za to pan wygląda dziś tak, jak po morskiej chorobie. Czy znalazł pan to, czego...

— Niestety, nie znalazłem — wtrącił szybko. — Jeszcze nie wiem, kto zabił Jana Boltona, ale wiem, gdzie

są ukryte pieniądze!

Ludwik zelektryzowany tym oświadczeniem, zerwał się na równe nogi, lecz Wawrzyniec pierwszy dobiegł do młodego sportsmena i objął go za szyję.

— Nareszcie, drogi kuzyneczku, nareszcie! — cieszył się. — Gratuluję ci serdecznie. I sobie! I sobie!... A gdzie ta forsa?

— Pieniądze — odparł Michał — znajdują się **tutaj!!**

ROZDZIAŁ XIII

Ludwik usunął na bok kwiczącego z uciechy Wawrzyńca.

— Powiedział pan — zwrócił się do Michała — że pieniądze znajdują się tutaj. To znaczy gdzie?

— W tym pokoju.

— Czy pan je **już** znalazł?

— **Jeszcze** nie, panie Ludwiku. Nie wiem nawet, w którym miejscu znajduje się skrytka, choć i tego domyślam się po trochu...

Wawrzyńcowi i Ludwikowi wydłużyły się oblicza. Byli rozczarowani.

— Więc co pan właściwie wie? — spytał ten drugi.

— Wiem, że skrytka jest tutaj. Że tajemniczy łobuz, który napadł na pana Witolda, wie o tym również. Że przychodzi tutaj noc w noc i szuka jej intensywnie, czego ślady możecie znaleźć na wszystkich ścianach. Ze pomimo to nie odnalazł jeszcze tego schowka... No, czy to mało?

— Hm, ani mało, ani dużo... Więc on opukuje ściany, powiada pan?

— Każdy z was może to stwierdzić naocznie. Ślady tej roboty są wprawdzie dosyć dyskretne, niemniej są.

— Zatem — wnioskował Ludwik — opukując systematycznie jeden decymetr kwadratowy ściany po drugim, ten drapichrust kiedyś odnajdzie skrytkę i wypróżni ją sumiennie... jeżeli do tego dopuścimy.

— Oczywiście... Dlatego też radziłbym, abyście panowie nic nikomu nie wspominali o naszych spostrzeżeniach, abyśmy udawali, że absolutnie niczego nie domyślamy się i abyśmy urządzili tutaj pułapkę.

— Czy nie byłoby prościej, wezwać murarzy i z ich pomocą odszukać skrytkę. Gdy to nastąpi, ów drab zaniecha dalszych wizyt tutaj...

Ludwikowi, który żywił inne nadzieje, żaden z tych planów nie przypadł do gustu.

— Nie mamy prawa szukać, ani dzielić między siebie tych pieniędzy, dopóki postępowanie spadkowe nie będzie ukończone, — oświadczył. — Aż do tej chwili gabinet musi pozostać zamknięty i to w taki sposób, by nawet rutynowany złodziej nie zdołał się wedrzeć do niego... Już JA się tym zajmę!

Zajął się tym gorliwie. Przywołany z folwarku kowal dworski przybił do drzwi z zewnątrz dwa potężne skoble, przy których Ludwik zawiesił kłódki, największe, jakie tylko można było znaleźć w całym jeleniowskim kluczu; jedna z nich dotychczas broniła wstępu do spichlerza, a druga do magazynu spirytusu przy gorzelni, były to więc kłódki zasłużone i „z przeszłością”. Klucze od nich Ludwik ostentacyjnie wręczył Marskiemu.

Tegoż dnia po południu odbył się pogrzeb Jana Boltona. Wzięli w nim udział wszyscy oprócz Ireny oraz żony stangreta, która ofiarowała się czuwać przy chorej.

Po pogrzebie Ludwik, uważający się za głowę rodu Boltonów, jął zapraszać przybyłego lekarza, aptekarza,

adwokata i tym podobne małomiasteczkowe osobistości z burmistrzem na czele do pałacu na *maleńką stypę*, ale tylko inspektor Huber skorzystał z zaproszenia. Poza nim nikt więcej. Nie wiadomo, czy tajemnicze zabójstwo rzuciło taki cień na pałac jeleniowski, czy wieści o gorszących waśniach pomiędzy przyszłymi spadkobiercami, dość że każdy wyłgiwał się jak mógł i liczne bryczki dworskie zmobilizowane na pogrzeb wracały puste z cmentarza. Nawet notariusz wykręcił się od stypy twierdząc, że ma dziś w kancelarii pracę niecierpiącą zwłoki.

— A kiedy przyśle nam pan rejent swojego substytuta?

— Ach, dobrze, że mi pan przypomniał; doktor Helman zachorował i dopiero za jakiś tydzień będzie mógł przyjechać do Jeleniowa, to właśnie chciałem państwu dziś powiedzieć... Mogę jednak wydelegować kogoś innego z mojej kancelarii, jeżeli państwu zależy na pośpiechu.

— Mnie bynajmniej!... To jest, chciałem powiedzieć — Ludwik poprawił się szybko — mnie to jest zupełnie obojętne.

Notariusz, udając, że w to wierzy, potakiwał uprzejmie, a równocześnie jego spojrzenia prześlizgiwały się po twarzach członków rodziny zmarłego, rodziny *pogrążonej w nieutulonym smutku*, jak głośiły nekrologi zamieszczone w dziennikach. Większość siłała się na to, by zademonstrować ów „nieutulony” żal i smutek. Magdalena Dorn wprost nie odejmowała chusteczki od oczu, z których łzy nie chciały ani rusz popłynąć, lecz inni, jak na przykład Ludwik, Witold i Michał nawet nie próbowali udawać; serdecznie znudzeni wyczekiwali niecierpliwie końca żałobnej ceremonii.

Głośniejszy spazm płaczu zaciekał notariusza,

zmusił go do odwrócenia głowy. Po drugiej stronie grobowca stał sędziwy Maciej i ukrywając pomarszczoną twarz w dłoniach, łkał rozdzierająco. On jeden oplakiwał rzewnymi łzami Jana Boltona, którego śmierć pośród wszystkich tych Boltonów, Dornów, Reyów, czy Dorazilów wywołała tylko zaostrzony apetyt na olbrzymi spadek, lecz ani cienia szczerzego żalu.

Notariusz podszedł do starego sługi, ujął jego dłoń, uściśnął ją mocno, serdecznie, potem skłonił się sztywno „nieutulonej w smutku rodzinie” i zawrócił do powoziku burmistrza, z którym przyjechał na pogrzeb; prócz Macieja, nie podał tu ręki nikomu!

Po przybyciu do pałacu jeleniowskiego inspektor Huber wyraził chęć ponownego „obejrzenia sobie” sypialni Jana Boltona.

— Wolałbym tutaj pozostać sam, jeśli to państwu nie sprawia różnicy — oświadczył, kiedy go tam zaprowadzono.

Pozostał tam, aż do kolacji, co wywołało przeróżne domysły domowników a kiedy wkroczył do jadalni, na jego grubych wargach igrał niepokojąco uśmiezek.

— Zgaduję — rzekł Michał Bolton — że pan zrobił jakieś niezmiernie interesujące odkrycie.

— Owszem, owszem. — Huber zaplótł dłonie na wydatnym brzuszku i puścił w ruch obrotowy swoje kciuki, łudząco podobne do serdelków. — Coś niecoś znalazłem, trudno przeczyć.

— Czy to, czego pan szukał?

— Nie. **Tego** nie szukałem bynajmniej, szczerze mówiąc.

— Ale co to jest, kochany panie inspektorze? — Magdalena Dorn już „umierała z ciekawości” i pociesznie

wdzięczyła się do Hubera. — Czy pan nie może powiedzieć? Czy... czy to tajemnica urzędowa?

— O, nie. To, co znalazłem pokażę... nie tylko pokażę, ale oddam państwu, lecz dopiero wówczas, gdy będziemy wstawali od stołu.

— Czemu nie teraz?

— Bo wielu z obecnych na pewno straciłoby apetyt! A może... może wszyscy państwo, jak tu jesteście...

Nietrudno się domyślić, że po takim oświadczeniu niemal wszyscy siedzieli, jak na szpilkach; gdyby nie Huber, oraz Michał, któremu apetyt dopisywał zawsze, półmiski byłyby wróciły do kuchni nietknięte.

— Drogi panie inspektorze — Magdalena starała się zmienić swój skrzeczący głos na rozkoszny szczebiot podlotka, co wypadło nader zabawnie — wystawił nas pan na ciężką próbę, ale przetrzymaliśmy ją zwycięsko i prosimy o nagrodę.

— O jaką nagrodę?

— Nie, pan jest niezrównany! Prawda, Lidio?

Lidia, jak przystało posłusznej córce, potwierdziła skwapliwie, że pan Huber jest niezrównany... — i ogromnie sympatyczny — dodała od siebie.

— I cóż pan tam znalazł?

— Gdzie, pani dobrodziejko?

— No, w sypialni mojego brata — krzyknęła Magdalena, straciwszy resztki „anielskiej” cierpliwości.

Inspektor Huber znowu udał Greka, aż w końcu, ubawiwszy się do syta kosztem zdenerwowanego audytorium — oświadczył głośno:

— Znalazłem... **testament!!**

ROZDZIAŁ XIV

Przez kilkanaście sekund w jadalni pałacu jeleniowskiego panowała grobowa cisza, grom z jasnego nieba nie wywołałby tu był silniejszego wrażenia niż ta wiadomość.

— Tak, proszę państwa — powtórzył inspektor Huber niezmiernie zadowolony z efektu swoich słów — znalazłem testament Jana Boltona!

Z zewnętrznej kieszeni marynarki wyjął średniej wielkości kopertę, na której było napisane:

MOJA OSTATNIA WOLA

Inspektor zwrócił się do administratora dóbr jeleniowskich:

— Czy to jest pismo nieboszczyka Jana Boltona? — spytał.

Marski bez wahania dał odpowiedź twierdzącą. Od niego koperta przeszła do rąk Magdaleny Dorn, potem do Lidii i tak dalej, aż w końcu, objechawszy cały stół dookoła, powróciła do inspektora.

Obecni ochłonęli tymczasem z pierwszego wrażenia

i od razu wywiązała się dyskusja na temat, czy zapoznać się z treścią testamentu już teraz, czy też należy zapieczętowaną kopertę wręczyć notariuszowi i jemu oddać ten dokument do dalszego procedowania. Większość głosowała za pierwszą koncepcją, lecz nie zdołała jej przeforsować, dzięki nieubłaganemu uporowi Ludwika oraz Marskiego, który okazał się wielkim formalistą.

— Nikt z nas nie zna paragrafów prawa spadkowego — dowodził — zatem nikt z nas nie wie, czy takie samowolne zdjęcie pieczęci nie unieważniłoby aktu ostatniej woli Jana Boltona. Może nie unieważniłoby go, może tak, a w tym drugim wypadku szkoda byłaby nie do naprawienia!

— Ale co to **pana** obchodzi! — wtrąciła Julia Dorazilowa. — Pan na pewno nie został zamianowany spadkobiercą, pan nie należy do rodziny!

— Za to należałem do szczupłego grona przyjaciół zmarłego i byłem jego plenipotentem, jego, nie chwając się, prawą ręką.

— Tak, to prawda. — Ludwik skinął głową poważnie. Jestem też głęboko przekonany, że mój świętej pamięci stryj pamiętał o panu w testamencie i zapisał panu jakiś ładny legacik.

— A wobec tego — reasumował Marski — jako osobiście zainteresowany, nie zgadzam się na przedsięwzięcie jakichkolwiek czynności, mogących chociażby tylko ze względów ściśle formalnych... spowodować zakwestionowanie ważności testamentu... Jutro rano udamy się wszyscy do notariusza, który go otworzy i nam odczyta.

— Należałoby się jednak zastanowić — wybąkał Ludwik — biorąc pod uwagę „cuda”, jakie się tu wydarzają

w każdą noc, u kogo, to jest w czyich rękach powinien ten dokument pozostać **do jutra!**

— W moich.

— O, nie, panie Marski — zaprotestowała Julia — pan jest przecież także *osobiście zainteresowany*, jak to pan sam przyznał przed chwilą.

— Wszyscy jesteśmy zainteresowani.

— Prócz mnie. Ja tam na pewno nie zostałem mianowany spadkobiercą ani legatariuszem, niestety — westchnął żartobliwie Huber.

— Proponuję zatem, aby testament zdeponować u pana inspektora.

Wniosek Michała przeszedł jednogłośnie, po czym jowialny Huber wygłosił „okolicznościowe przemówienie”, które zakończył słowami:

— ...żebyście więc państwo mogli dzisiaj spać spokojnie, żebyście się nie lękali, iż z tym cennym dokumentem zwieję, postanowiłem spędzić noc tutaj, a jutro pod waszą eskortą pojedę do rejenta...

Wyjazd do rejenta okazał się niepotrzebny, gdyż nazajutrz rano, gdy domownicy zaczęli się schodzić na śniadanie, zjawił się w pałacu jeleniowskim wysłannik notariusza, magister praw Henryk Peschel.

— Przychodzę tu w zastępstwie doktora Helmana, który, jak państwu zapewne wiadomo, zachorował — rzekł przybyły, a potem ruszył żwawo na przeciw wkraczającemu właśnie do jadalni inspektorowi policji. — O, pan inspektor Huber! — zawołał z radością. — Nareszcie będzie mi dane uścisnąć dłoń naszego Sherlocka Holmesa! Pozwoli pan, że mu się przedstawię: jestem Peschel, kandydat notarialny.

— Bardzo mi miło... Żałuję, iż dotychczas nie

miałem przyjemności poznać pana.

— Nic dziwnego czcigodny panie inspektorze; ludzie sławni nie mogą sobie zapamiętać wszystkich swoich wielbicieli, widzą tylko ich zbity tłum i jego zbiorowe oblicze... Za to my, szare pionki, patrzemy na was jak w tęczę i znamy was doskonale!

Henryk Peschel nie szczędził nikomu komplementów, dzięki czemu pozyskał sobie sympatię wszystkich w *rekordowym czasie*, mówiąc stylem Michała Boltona. Zwłaszcza trzy starsze damy, Magdalena, Elżbieta i Julia były oczarowane młodym magistrem praw od pierwszego wejrzenia.

Po śniadaniu Peschel zapytał obecnych, czy nie mają nic przeciwko temu, że on zaraz zabierze się do roboty; przypuszcza bowiem, iż sporządzenie inwentarza spadkowego przy tak ogromnym obiekcie, jak klucz jeleniowski zajmie mu sporo czasu.

— A czy nie zechciałby pan przedtem odczytać nam testamentu?

— Testamentu? — Peschel spojrzał ze zdziwieniem na Julię. — Mój szef, pan rejent powiedział mi wyraźnie, że testamentu nie było.

— Znalazł się wczoraj, a właściwie ja go znalazłem. — Tu inspektor Huber wyjął z kieszeni zalakowaną kopertę i położył ją na stole przed kandydatem notarialnym. — Oto jest ten dokumencik.

— Niech go pan otworzy.

— Ba, ale czy panu to uczynić wolno? — powątpiewał Ludwik. — Może to powinien zrobić sam notariusz?

Henryk Peschel wzruszył ramionami.

— Jestem przecież substytutem notarialnym, zatem

mam prawo zastępować reagenta we wszelkich jego czynnościach urzędowych — odparł — lecz skoro państwo wolicie, aby otwarcia testamentu dokonał osobiście pan...

— Ależ, drogi panie — wtrąciła Magdalena — nam jest to najzupełniej obojętne... Ja osobiście uważam — zwróciła się do Marskiego, który wczoraj był głównym oponentem — że nie ma sensu jeździć do miasta i fatygować pana reagenta... co może być kosztowne — dodała szeptem — skoro jego instytut...

— Substytut, pani dobrodziejko, substytut.

— ...bawi właśnie tutaj... Czy pan jest innego zdania?

Marski nie był innego zdania, ani nikt z obecnych, bo Ludwik dał się w końcu przekonać.

— A zatem — rzekł Peschel, wyjmując z teczki arkusz papieru kancelaryjnego — spisujemy protokół otwarcia testamentu... *Działo się w Polsce, w Jeleniowie, dnia dziesiątego maja itd., itd.* — zaczął sobie dyktować.

Wreszcie ukończył długi wstęp, odłożył pióro, ujął w dłonie kopertę i zaczął ją obracać na wszystkie strony.

— Co to za stempel? — spytał, wskazując lakową pieczęć.

— To herb Boltonów, odcisnięty, jak przypuszczam, sygnetem.

— Aha... *kopertę zastałem zaklejoną, nienaruszoną, zapieczętowaną pięcioma pieczęciami lakowymi z odciskiem sygnetu Boltonów* — podyktował sobie znów i dopisał w swoim protokole, po czym złamał pieczęć.

Nadeszła stanowcza chwila. W jadalni zapanowała cisza niezamącona najłżejszym szelestem; wszyscy wstrzymali oddech, gdy Henryk Peschel wyciągał z koperty złożony we czworo arkusz papieru, wszystkie spojrzenia

przywarły chciwie do cennego dokumentu, który zawierał ostatnią wolę zdziwaczałego milionera... Wreszcie!

Peschel chrząknął i zaczął czytać powoli, wyraźnie, głośno:

— *Moja ostatnia wola... Ja, niżej podpisany Jan Bolton, czując się w pełni moich władz umysłowych, dobrowolnie i bez wszelakiego przymusu, czy wpływu rozporządzam moim majątkiem na wypadek śmierci w sposób następujący: Uniwersalnym spadkobiercą mianuję mojego bratanka, Ludwika Boltona...*

— To skandal! — krzyknęła Magdalena. — On ma być uniwersalnym spadkobiercą?! Protestuję! Jan był umysłowo chory i jako taki nie...

— Proszę nie przerywać, dobrodziejko — upominał ją Marski.

— *Jemu wyłącznie zapisuję — czytał znów Peschel — wszystkie moje nieruchomości i ruchomości, atoli zobowiązuję go równocześnie do wypłacenia następujących, poniżej wymienionych legatów: Po pierwsze, mojej siostrzenicy Lidii Torelli gotówką milion złotych...*

— Poczciwy, zacy Jasieczek — westchnęła Magdalena.

— Podobno był umysłowo chory? Tak pani mówiła przed chwilą.

Magdalena Dorn zmiażdżyła Michała straszliwym spojrzeniem.

— Ja?! Panu, zdaje się, słuch nie dopisuje, mój panie?

— Jeszcze nie skończyłem, proszę państwa — przypomniał im Henryk Peschel. — *Po drugie, mojemu wiernemu słudze Maciejowi Skopcowi gotówką tysiąc*

złotych... Po trzecie, mojemu plenipotentowi, panu Marskiemu Kazimierzowi, gotówką pięćset złotych...

— A co! — wtrącił rozpromieniony Ludwik, zwracając się do Marskiego. — Czy nie mówiłem wczoraj, że panu też coś kapnie?

— O, tak — odparł ów z goryczą, za tyle lat wiernej służby bardzo mi dużo kapnęło. „Aż” pięćset złotych!

W dalszej części dokumentu spadkodawca określił terminy płatności tych trzech legatów i pokrótce wyjaśnił, dlaczego wszystkich innych swoich krewnych od dziedziczenia najzupełniej wyłączył...

— A to łotr! — wybuchnęła Julia Dorazilowa. — To kanalia!

— Niech mu Bóg wybaczy, że nas tak skrzywdził — dorzuciła Elżbieta Reyowa, opuszczając jadalnię; ale zanim dotarła do drzwi, rozplakała się rzewnie.

Oprócz Ludwika i Lidii, nikt oczywiście nie był „ośniony” treścią rozporządzenia ostatniej woli Jana Boltona i niejednen szpetny epitet padł tu pod jego adresem. Najbardziej zagalopowała się krewka Julia, która oświadczyła wręcz, że *cała ta historia* wygląda jej na *ordynarny szwindel*.

— Czy szanowna pani chce przez to powiedzieć, że ten dokument nie jest autentyczny? — spytał Peschel. — Te wątpliwości rozstrzygną rzeczoznawcy sądowi, jeżeli pani ważność testamentu zaczepi w drodze procesu, ale swoją drogą i my możemy zabawić się w grafologów... Czy ktoś z państwa posiada próbkę pisma świętej pamięci Jana Boltona?

Marski miał przy sobie jakieś stare pełnomocnictwo, napisane własnoręcznie przez zmarłego właściciela Jeleniowa. Peschel położył je tuż obok znajdującego

wczoraj testamentu i rozpoczęło się sumienne porównywanie charakteru pisma obydwóch dokumentów oraz podpisów ich autora.

A tymczasem Elżbieta Reyowa, rozżalona na cały świat powróciła do swego pokoju, w którym od dwóch dni gościła chorą żonę Ludwika. Kiedy wczoraj wieczorem przyszła tutaj, Irena już spała; nie miała serca jej budzić i nie zakomunikowała jej dotychczas wiadomości o przypadkowym odnalezieniu aktu ostatniej woli Jana Boltona. Za to teraz... teraz mogła sobie ulżyć nareszcie...

— Pozwól, cioteczko — wtrąciła Irena, oszołomiona rwącym potokiem słów ociekających goryczą i chaotycznych okrzyków — ale nic nie rozumiem...

— Huber znalazł testament, powtarzam.

— Testament Jana Boltona? — Irena rozpromieniła się cała i oczy wzniosła w górę w dziękczynnym spojrzeniu.

— I ty się z tego nie cieszysz?! Właśnie **ty**?!

Elżbieta spojrzała na mówiącą z wyrzutem.

— Czy ty sobie kpisz ze mnie?! — zawołała i znów wybuchnęła płaczem. — Z czego mam się cieszyć — mówiła przez łzy. — Z tego, że mojemu synowi ten mściwy dziwak nawet marnego legatu nie zapisał?

Irena zbladła jak ściana.

— Ty się możesz cieszyć — ciągnęła dalej Elżbieta — skoro cały ten olbrzymi majątek odziedziczył twój mąż...

— Ludwik?! — bezgraniczne zdumienie zabrzmiało w jej okrzyku, lecz natychmiast ustąpiło miejsca tonacji zgrozy. — Więc... to... on?!

— A tak, tak! On i Lidia! Tylko o nich mój szanowny braciszek... niech mu Bóg to odpuści... raczył

pamiętać w testamencie. Zresztą o nikim więcej i... Irenko! Na, Boga, Irko, co tobie?!

W minutę później na przechodzącego przez hall Michała Boltona wpadła Elżbieta z takim impetem, że omal nie runęli oboje.

— Wody! Lekarza! — krzyknęła zdyszczanym głosem. — Irka umiera!

Wyczerpana upadła na fotel, bełkocząc coś niezrozumiale. Michał nie tracił więc czasu na słuchanie dalszego ciągu smutnej relacji, pochwycił stojącą na oknie karafkę i popędził z nią do pokoju Elżbiety.

Nie było tam na razie nikogo oprócz Ireny leżącej w łóżku na wznak z przymkniętymi oczyma i nie dającej znaku życia. Jej prawa ręka zwisała bezwładnie na dywan, jej długie, rasowe palce ścisnęły jakąś kartkę papieru, złożoną kilka razy i pomiętą.

— Ależ to jest telegram! — poznał, przyjrzawszy się uważniej.

Zelektryzowało go to odkrycie, gdyż przypomniał sobie od razu scenkę, która rozegrała się w hallu trzy dni temu; wówczas Irena otrzymała również jakąś depeszę i spaliła ją co prędzej w kominku, kiedy mąż chciał ją przeczytać z prostej ciekawości. W tych warunkach ten drugi telegram musiałby tutaj zaintrygować każdego, a co dopiero Michała!

Schylił się, uchwycił rozek depeszy, pociągnął, ale nic nie wskórał na razie; palce Ireny trzymały ją kurczowo, należało je wprawdzie odgiąć, rozprostować. Zabrał się do tego z zapalem, aż nagle opadły go skrupuły, że chce popełnić wielką niedyskrecję, ba, nietakt najgrubszego kalibru, że powinien przede wszystkim zająć się cuceniem Ireny. Stropił się, lecz nie na długo.

— Tam, gdzie wchodzi w grę życie ludzkie, nie wolno się oglądać na *savoir-vivre* — mruknął, zmarszczywszy brwi... Przyklęknął, postawił na krześle przyniesioną tutaj karafkę i mając teraz drugą rękę do pomocy, zabrał się energiczniej do oswobodzenia tajemniczej depeszy z kurczowego uścisku dłoni Ireny... Wreszcie dokazał tej sztuki. Rozwinął pomięty blankiet i przede wszystkim spojrzął na podpis. — *Józek* — przeczytał półgłosem: — Józek? Któż to zacz?

Potem rzucił okiem na właściwy tekst depeszy. Brzmiał dosłownie tak:

BĄDŹ GOTOWA STOP PRZYJADĘ NOCNYM
POCIĄGIEM I ROZPRAWIĘ SIĘ Z NIM
OSTATECZNIE STOP ALE...

Właśnie tyle zdążył przeczytać, gdy telegram mu z ręki wyrwano!

ROZDZIAŁ XV

Inspektor Huber nie rezygnował nigdy z popołudniowej drzemki, a jej długość była proporcjonalna do ilości skonsumowanych potraw. Nic tedy dziwnego, że dzisiaj trwała przeszło dwie godziny, skoro kucharz „dworu” jeleniowskiego Marcin, snadź dla uczczenia nowego dziedzica, wystąpił z tak „galowym” obiadem.

— I winko było klasa — mruknął Huber, rozpamiętując każdy szczegół dzisiejszej wyzerki z satysfakcją smakosza — za to nowy dziedzic miał kwaśną minę. To musi być kutwa nad kutwami... Teraz pewno nieborak cierpi nieludzko, że tyle butelek węgrzyna „pękło” przy stole...

Rozbawiony tym przypuszczeniem, ryknął salwą hałaśliwego śmiechu. A kiedy umilkł wreszcie, usłyszał ku wielkiemu zdziwieniu jak gdyby echo swojego śmiechu. Nie, to nie echo; ktoś był na balkonie i doskonale przedrzeźniał jego rubaszny śmiech.

— Co, u diabła?! Przecież drzwi od korytarza zamknąłem na klucz, gdy tutaj przyszedłem... Czyżbym o tym zapomniał?

Powstał z otomany, podszedł do drzwi od korytarza

i stwierdził, że są rzeczywiście zamknięte na klucz. Zaintrygowany pospieszył z kolei ku drzwiom balkonowym, które były lekko uchylone, pchnął je i stanął jak wryty.

— A pan, jak się tu dostał? Którędy?! — krzyknął.

Na balkonie siedział Michał Bolton rozparty w fotelu, trzymając wyciągnięte nogi na krześle, sponad gazety uśmiechał się najprzyjaźniej do Hubera.

— Pan inspektor „już” nie śpi? — spytał nie bez ironii.

— Którędy pan tu wszedł, pytam!

— Najprostszą drogą... Mówiąc stylem nieocenionego pana rejenta, wszedłem tutaj z sąsiedniego *balkoniku* po tym oto *gzymysiku*.

Inspektor wychylił się, zmierzył wzrokiem przestrzeń dzielącą balkony drugiego piętra od poziomu dziedzińca pałacowego i zaczął zrzędzić:

— Czy pan sobie w ogóle zdawał sprawę, czym to groziło?! Jedno poślizgnięcie się nogi, a...

— ...a byłyby ze mnie rzadka marmoladka, co? Nie ma strachu; nie ulegam zawrotom głowy.

— To się tak mówi *nie ulegam*. Znałem blacharza, który zakładał rynny na wieżach kościelnych i nic, aż pewnego razu zleciał na łeb z dachu parterowego domku i złamał sobie obie nogi.

— Niestychane! Spadł na łeb, a połamał sobie nogi?!

— Eee, pan zaraz człowieka chwyta za słowo... Chciałem tylko przekonać pana, lekkomyślny młodzieńcze, że zawrót głowy może przyjść całkiem nieoczekiwanie i wtedy...

— Wtedy — wtrącił Michał ze złośliwym

uśmieszkiem — nawet rekordowy skąpiec może komuś ofiarować milion złotych gotówką!

Inspektor spojrział na niego przenikliwie.

— Czy pana to dziwi, że pani Lidia Torelli otrzymała tak znaczny legat od swojego wuja?

— Od wuja? Powiedzmy raczej, od autora tego testamentu!

— Nie zauważyliśmy żadnej różnicy pomiędzy pismem... jak pan powiada... autora testamentu, a pismem świętej pamięci Jana Boltona.

— Ale stwierdziliśmy, że Jan Bolton bazgrał jak sztubak i że te gryzmoły podrobić nietrudno... Stwierdziliśmy dalej, że pismo w znalezionym przez pana testamencie jest wcale świeżutkie, chociaż, jeśli wierzyć zamieszczonej tam dacie, dokument ten miał być spisany dwa miesiące temu... i wreszcie trzecie curiosum... — Tu Michał wyjął z portfela spory wycinek z gazety, zawierający znane ogłoszenie Jana Boltona, które zaczynało się od słów:

NIE MOGĄC SIĘ ZDECYDOWAĆ, KOGO
POWINIENEM USTANOWIĆ SWOIM
UNIWERSALNYM SPADKOBIERCĄ, PROSZĘ
WSZYSTKICH MOICH KREWNYCH, ABY... etc. etc.

— Znam to doskonale — oświadczył Huber, zwracając młodemu sportsmanowi ten inserat. — Ten anons ukazał się w dziennikach pierwszego maja.

— Otóż właśnie! Testament nosi datę siódmego marca, wtedy Jan Bolton mianuje spadkobiercą swego bratanka Ludwika, a w niespełna dwa miesiące później daje do prasy takie ogłoszenie... Czy pana ta sprzeczność nie

uderzyła?

— Owszem — przyznał Huber — ale nie zapominajmy, że Jan Bolton był wielkim dziwakiem. — Wziął do rąk książkę, którą Michał czytał tu przedtem, zaczął ją przeglądać z nieprawdopodobnym zainteresowaniem, aż nagle, nie podnosząc wzroku, zapytał: — Więc kto sfalszował testament?

— Powiadają prawnicy: *Is fecit, cui prodest!*

— Nie rozumiem po grecku.

— Za to świetnie robi pan Greka... To co zacytowałem, po łacinie oznacza mniej więcej: *Ten uczynił, komu to korzyść przyniosło...* A kto odniósł korzyść ze sfalszowania testamentu Jana Boltona?

— Hm. — Huber zaczął starannie ścierać kurz z krzesła, na którym Michał dotychczas trzymał nogi. Usiadł i znowu „dyplomatycznie” chrząknął. — Hm, hm...

— Więc ja sam powiem, skoro pan jest taki ostrożny... Testament podrobił bez wątpienia Ludwik Bolton! I dokonał tego „dzieła” onegdaj wieczorem. Kiedy zapukałem do jego pokoju po północy, jeszcze nie spał. Pisał coś przy biurku, na którym zauważyłem mokre pióro i świeże odciski atramentu na bibule. No, i na jego palcach!... A na poręczy zmiętego łóżka wisiała bransoletka Lidii, która w tę noc wymknęła się ze swego pokoju.

Inspektor Huber słuchał tego z wielką uwagą, chociaż jego dobroduszna twarz pozostała, jak zawsze, dobrotliwie uśmiechnięta.

— Czy sądzi pan, młodzieńcze — rzekł wreszcie — że taki sknera, jak Ludwik Bolton zapłaciłby milion złotych za... za damską wizytę?

— Za wizytę i związane z nią przyjemności oczywiście nie, lecz czy chciał, czy nie chciał, **musiał**

zapłacić każdą cenę **za milczenie!** Tylko w ten sposób mogę sobie wytłumaczyć genezę tak olbrzymiego legatu na korzyść Lidii Torelli.

— Ha, może to i prawda, że pani Lidia **zna** tajemnicę **śmierci** Jana Boltona. Może pan ma rację...

— Niech no mi pan inspektor nie wkłada w usta tego, czego nie powiedziałem — odparł Michał ubawiony naiwną chytrą Hubera. — Ja nie twierdzę, że Ludwik zabił swojego stryja. Wystarczy mi na razie, że on podrobił testament, że Lidia o tym wie, że za to on musiał jej zapłacić milion złotych. Co do tego, nie mam najmniejszych wątpliwości... Natomiast sprawa tragicznej śmierci Jana Boltona należy jeszcze do rzędu niewyjaśnionych zagadek tego pałacu.

— Zagadek?! — Inspektor, nie wypadając ani na chwilę z roli prowincjonalnego naiwniaczka, zrobił przerażoną minę. — Pan użył liczby mnogiej! Zatem pan sądzi, że tu popełniono więcej zbrodni?!

Michał Bolton nie odpowiedział nic. Jak gdyby nie słyszał pytania, zapatrzył się w dal i milczał przez długą chwilę. Nagle drgnął. Powstał, zadarł nos górę i zaczął wciągać w siebie powietrze krótkimi haustami. Powtarzając wciąż tę czynność, zaczął krążyć po balkonie. Węszył! Inspektor policji, obserwujący go ze swoim perfidnie dobrotliwym uśmiechem, był serio zaintrygowany tą dziwną procedurą.

— Zachowuje się pan tak... proszę mi wybaczyć porównanie... jak młody pies myśliwski — zauważył wesoło.

— Słusznie... A pan nic nie czuje?

— Owszem, swoje cygarko.

— Naturalnie. Wy, palacze macie węch zatruty

nikotyńą, ale ja nie palę nigdy. I dlatego ja... o, znowu! Skąd tu wieje?

Wyjął z kieszeni chusteczkę, rozwinął ją i podniósł wysoko nad głowę, chcąc zbadać kierunek wietrzyku. Lecz chusteczka ani nie drgnęła.

— Dziś nie ma wiatru ani na lekarstwo, a pan chce...

— Niechże mi pan nie przeszkadza! — ofuknął go Michał.

Jeszcze przez dobre dwie minuty wyczyniał „różne dziwactwa” na balkonie, aż w końcu powrócił na swój fotel, zawiedziony.

— Nie udało się — przyznał — ale nie tracę nadziei, że wreszcie znajdę miejsce, z którego wydobywa się ten złowrogi odór... Nie, nie, proszę mnie o nic nie pytać na razie — dodał szybko, widząc, że Huber już otwiera usta. — Może się omyliłem, a nie chciałbym się narażać na wasze kpiny. Mówmy o czymś innym... — przysunął się z fotelem do swojego towarzysza i zaczął mówić szeptem. — Powiedziałem panu przed chwilą, że zgon Jana Boltana zaliczam do rzędu niewyjaśnionych zagadek tego gmachu. Użyłem liczby mnogiej, jak pan to sam zauważył. I tak jest, drogi inspektorze. Nie jedna, ale kilka ponurych tajemnic zagnieździło się tutaj, a dzisiejsza noc może być obfita w dramatyczne zdarzenia! Dlatego też cieszę się bardzo, że pan nie odjechał po obiedzie wraz z panem Peschelem, czy jak tam się wabi ów młody zastępca notariusza...

— Zamierzałem wyjechać stąd pod wieczór, ale skoro pan uważa, że powinienem tutaj pozostać dzisiejszej nocy, to chyba zostanę.

— Tylko niech pan znowu nie zaśnie swoim kamiennym snem.

— Ja mam sen bardzo czujny, młodzieńcze.

— O, bardzo! — parsknął Michał. — Odemknąłem drzwi balkonowe, które, nawiasem mówiąc, skrzypią niemiłosiernie, a pan nic. Wyniosłem tu sobie fotel i krzesło, pan znowu nic nie słyszał. Żałuję, że i pana nie wyniosłem!

Niebieskie „dziecięco naiwne” oczy inspektora wpiły się w Michała spojrzeniem przesywającym na wylot.

— Jak to, pan był w moim pokoju, gdy spałem?!

— Oczywiście!

Huber zmełł w zębach przekleństwo; w jego wzroku odmalowała się nagle obudzona podejrzliwość i gniew.

— A jaki był właściwie cel pańskiej nieoczekiwanej wizyty?

— Chciałem sobie z panem pogawędzić o tym, o czym tu, na balkonie rozmawialiśmy przed chwilą... Chciałem panu powiedzieć, że w tym ponurym gmachu...
czuć trupem!!

— Dobry sobie, — zachnął się inspektor. — Powiedzieć mi chciał! Tak, jak gdyby dla kogo śmierć Jana Boltona była jeszcze...

— Mam na myśli — wtrącił Michał, przełaząc zręcznie przez poręcz balkonu na gzyms obiegający cały budynek dokoła — mam na myśli **nie tylko** Jana Boltona!

ROZDZIAŁ XVI

Przy kolacji Huber zaczął się uskarżać na silny ból gardła i łamanie w kościach.

— Typowe objawy grypy — oświadczyła Elżbieta Reyowa, która pasjami lubiła rozmawiać o wszelkich chorobach i natychmiast zaczęła wyliczać przeróżne domowe lekarstwa, jakie zamierzała zaaplikować inspektorowi.

— Przede wszystkim ścisła dieta — zawołał Michał Bolton i porwawszy Huberowi sprzed nosa pełen talerz, odstawił go jak najdalej.

Inspektor Huber jadł zawsze dużo, a przed dzisiejszą nocą chciał się pożywić wydatniej niż zazwyczaj, ze względu na ewentualnie czekające go trudy; łatwo więc wyobrazić sobie, ile wściekłości zawarło się w spojrzeniu, jakie cisnął młodemu sportsmenowi za narzucenie mu tego postu. A Michał, nic sobie nie robiąc z tych objawów bezsilnego gniewu, zabrał sąsiadowi również i kieliszek z winem.

— Alkohol zwiększa temperaturę — rzekł z szelmowskim uśmiechem. Potem pochylił się do Hubera i dodał szeptem: — Muszę dbać o to, aby pan nie był zbyt

ocięwały tej nocy.

Huber zaklął pod nosem, zacisnął pięść, pragnąc złośliwemu młokosowi dać solidnego szturchańca pod stołem, ale Michał miał się na baczności; w samą porę pochwycił w przegubie jego dłoń i podniósł ją nad poziom stołu.

— Puls przyspieszony — stwierdził. — O, niedobrze! Silna gorączka. Już teraz jest co najmniej trzydzieści osiem stopni, a co będzie za godzinę?!

— Ależ w takim razie pan inspektor nie może dziś odjechać!

— Muszę, pani dobrodziejko, muszę, niestety.

— Nigdy się na to nie zgodzimy — odparła Elżbieta, szczerze zatroskana o zdrowie każdego bliźniego. — Z taką gorączką tłuc się sześć kilometrów?! I to na odkrytej bryczce?

— Zamknięty powozik mamy również — wtrącił Ludwik Bolton, po czym jął przekonywać *najdroższą cioteczkę*, że skoro pan inspektor koniecznie musi dziś wrócić do miasta, to nie wypada mu się sprzeciwiać.

— Słyszysz pan? — spytał szeptem Michał. — Pańska obecność tutaj nie wszystkim byłaby na rękę.

Inspektor Huber potakiwał wywodom Ludwika z wielką skwapliwością, aż w końcu oznajmił swoją decyzję:

— Powinienem odjechać dzisiaj, lecz skoro pani dobrodziejka uważa, że to byłoby tak bardzo ryzykowne, to zostanę... Czy szanowny pan dziedzic nie odmówi mi gościny? — zwrócił się do Ludwika.

Szanowny pan dziedzic odesłał go w duchu do wszystkich diabłów, ale głośno wyraził swoją radość, że „kochany” pan inspektor tu zostanie.

Zaraz po kolacji Elżbieta wtargnęła do pokoju

Hubera wraz z Maciejem, niosącym dużą miednicę z bardzo gorącą wodą.

— Zaczniemy od naparzenia nóg, drogi inspektorze.

Nie pomogły żadne wykręty. Tam, gdzie chodziło o pielęgnowanie chorych zazwyczaj łagodna pani Elżbieta stawiała się tyranem, nieznoszącym najmniejszego oporu ze strony pacjenta. Po naparzeniu nóg przyszła kolej na płukanie gardła utlenioną wodą itd., itp., aż wreszcie nieszczęsny inspektor, który w rzeczywistości nie miał ani grypy, ani gorączki, napojony różnymi miksturami, nakryty stertą pierzyn, z grzałką w nogach, z kompresem na szyi i podobnymi dodatkami legł „w łożu boleści”, życząc w duchu zacnej pani Elżbiecie galopującej padaczki i kilku pokrewnych dolegliwości.

— Wypije pan jeszcze jedną herbatę z rumem, którą tu Maciej zaraz przyniesie i na jutro będzie pan zdrow jak ryba w majonezie... to jest w wodzie, chciałam powiedzieć... Dobranoc, kochany inspektorze...

— Brrrranoc — warknął z wściekłością trzeciego stopnia.

Postanowił wytrwać w roli chorego tak długo, dopóki Maciej nie przyniesie mu herbaty, a potem co prędzej wyskoczyć z łóżka, ubrać się na powrót i zająć się dyskretną inwigilacją osoby, która tutaj wydawała mu się najbardziej podejrzana, to jest Ludwika Boltona. Ale nie przewidział jednej rzeczy, mianowicie, że dobra samarytanka, pani Elżbieta dosypała mu nasennego środka do lemoniady, jakiej musiał wypić trzy szklanki. Dzięki tej chytrności niewieściej, gdy sędziwy lokaj przywłókł się tutaj z herbatą, inspektor Huber chrapał już aż miło...

Zbudził się wreszcie. W pokoju było ciemno, lecz nie tak, aby bliżej stojących mebli nie można było dojrzeć.

Noc dobiegała kresu, za oknami szarzało, niebawem miało zacząć świtać.

— Do stu piorunów, więc ja całą noc tu przespałem?!

Inspektor odwrócił się, chcąc wyskoczyć z łóżka, ale nie dokazał tego; był przedziwnie osłabiony i mokry, a jakaś ogromna, ciężka masa przygwoździła go do wilgotnego legowiska.

— Aha, to te przekłete pierzyny — zrozumiał, demolując systematycznie liczne warstwy okazałego kopca pierzyn i koców. — Ta uparta baba dała mi uczucie na poty, trudno zaprzeczyć; jeszcze się nigdy w życiu tak nie spociłem...

Ubrawszy się, wyszedł na korytarz, przystanął i zaczął nadśluchiwać; z wielką ulgą stwierdził, iż w pałacu panuje niczym niezamącona cisza.

— Miejmy nadzieję, że nic się tu nie wydarzyło tej nocy — sądził mylnie, idąc powoli w stronę hallu.

Szedł właściwie bez celu. Zamierzona wczoraj inwigilacja Ludwika nie miała obecnie najmniejszego sensu..

— O tej porze on śpi jak suseł — mruknął.

Było to bardzo prawdopodobne, a jednak kusilo Hubera, by... ot, tak z ciekawości... na chwilę przyłożyć ucho do drzwi pokoju nowego dziedzica Jeleniowa.

— Na pewno śpi — wmawiał w siebie, ale, dotarwszy do hallu, zaczął zstępować po schodach powoluteńku, cichutko, ostrożnie. Rozmiłowany w swojej metodzie, która polegała na udawaniu naiwnego i wprowadzaniu w błąd podejrzanych osobników, z powodzeniem oszukiwał również i siebie; powtarzał więc sobie w duchu, że Ludwik Bolton niewątpliwie śpi od

dawna, lecz równocześnie czuł, iż w to nie uwierzy, dopóki się osobiście nie przekona.

— Jakże się chcesz przekonać, stary cymbale? — dyskutował sam ze sobą. — Czy sprawdzisz to przez dziurkę od klucza?

Wtem przystanął zdziwiony. W pokoju Ludwika świeciło się światło, a drzwi były uchylone na dobre pięć cali.

— Co to znaczy?

Skradając się na palcach, inspektor dotarł do drzwi, ostrożnie powiększył ich szparę i zajrzał do wnętrza. Ludwika tutaj nie było! Za to w fotelu z głową w tył odchyloną siedziała Irena.

— No, proszę! Mówiono mi, że jest ciężko chora, że mieszka na parterze w pokoju tej narwanej specjalistki od grypy, a tymczasem dzisiaj śpi tutaj — myślał Huber. — I nie w łóżku, ale na fotelu... Śpi?

Trochę temu przeczyła nienaturalna poza Ireny, jej przechylenie głowy i niepokojący bezwład jej rąk zwisających ku podłodze. A także fakt, że siedziała prawie naga, choć fotel stał przy **otwartym** oknie!

Korciło go ogromnie, by wejść i rozproszyć swoje wątpliwości, lecz powstrzymywała go obawa przed ewentualnymi następstwami tej inwazji.

— Ludwik gotów sobie pomyśleć, że się dowalam do jego żony, gdyby mnie tam przyłapał... Lepiej dać spokój.

Ujął klamkę, aby drzwi przymknąć na powrót tak, jak były przymknięte, gdy stało się coś bardzo dziwnego; Irena otworzyła usta szeroko, jej biust zafalował, poruszyła głową i nagle zsunęła się na dywan z jękiem... Teraz inspektor przestał się wahać. W kilku skokach znalazł się

przy Irenie i podniósł jej głowę.

— Proszę pani... Co się pani stało?... Pani Ireno!

Nie odpowiedziała nic, nie podniosła powiek. Zemdląła, czy...?

— Pani Ireno, na Boga!

Przeniósł ją na łóżko i zaczął cucić, lecz skutkiem gorączkowego pośpiechu wypuścił z dłoni karafkę; rozbiła się, a cała jej zawartość wylała się na podłogę.

Huber zaklął. Rad nie rad, musiał stąd wybiec po wodę, pozostawiając niedającą znaku życia kobietę bez żadnej opieki. Po krótkim namyśle, postanowił udać się do swojego pokoju; w neseserze posiadał mały flakonik amoniaku, który mógł niewątpliwie więcej tu dopomóc niż woda. Przypomniawszy sobie o tym, wypadł z pokoju Ludwika i popędził na drugie piętro...

Dzięki swojej tuszy, a może dzięki osłabieniu po końskiej kuracji, jaką go całkiem niepotrzebnie uraczyła pani Elżbieta, zasapał się po przebyciu schodów tak, że musiał przystanąć na chwilę, aby złapać oddech. Znajdował się właśnie pod drzwiami gabinetu, w którym kilka dni temu zamordowano Jana Boltona!

Nagle rozległ się łoskot taki, jakby ktoś zeskoczył ze stołu czy z wyższego jeszcze mebla na podłogę. I zwycięski okrzyk:

— Mam cię, łotrze!

Potem zabrzmiał jęk bólu, potem drugi łoskot, trzeci i czwarty. Przewracały się krzesła, fotele, trzeszczały wyschnięte deski podłogi i do uszu zdumionego inspektora dochodziły odgłosy zacieklej walki, która rozgrywała się właśnie tam, w tym przeklętym narożnym pokoju!

Huber zapomniał o Irenie. Nacisnął klamkę, pchnął, lecz drzwi ani nie drgnęły. Obmacując je dłońmi, natrafił

na potężną kłódkę.

— Prawda! — przypomniał sobie. — To przecież **te** drzwi!

Tak. To były te drzwi, które Ludwik Bolton wczoraj, a właściwie onegdaj kazał zaopatrzyć w masywne skoble i które zabezpieczył dwiema ogromnymi kłódkami. To były **jedyne** drzwi tego pokoju!

— Więc którądy, u ciężkiego licha, wleźli tam ci dwaj?!

Ci dwaj walczyli jeszcze wciąż i powoli zbliżali się ku drzwiom, poza którymi inspektor Huber musiał stać beczynnie...

— Puść! Ooooch! Na pomoooooc!

Po głosie Huber poznał Ludwika Boltona. On był jednym z tych dwóch, on słabnął widocznie, skoro wzywał pomocy. Lecz w jaki sposób można mu było pomocy udzielić?

Huber wyrznął pięścią w drzwi z całej siły.

— Co tam się dzieje?! — ryknął, kopiąc obcasem w deski w nadziei, że je wyłamie i nareszcie będzie mógł interweniować skutecznie. Ale na to nie zanosilo się bynajmniej, to były drzwi dębowe! — Hej, panie Ludwiku! Którędy tam można wejść? — wołał, bo cóż innego miał począć w tej arcygłupiej sytuacji. — Kto tam jest z panem?

— To... to... jest...

Huk wystrzału zagłuszył dalsze słowa. Coś ciężkiego wyrznęło w drzwi od strony pokoju.

— Ooooch...

Coś się ocierało o drzwi. Co? Niewątpliwie plecy ranionego człowieka, który powoli osuwał się na podłogę. A inspektor Huber, silny jak tur mężczyzna, uzbrojony w dwa rewolwery musiał się temu przysłuchiwać z bezsilnym

gniewem. Nie mógł ująć zbrodniarza, od którego dzieliło go tylko głupich kilka desek, i który uciekał teraz bezkarnie. Dzisiejszy **strzał o świcie** miał się stać nową zagadką.

ROZDZIAŁ XVII

Wściekłe bombardowanie drzwi przez Hubera wywołało tylko ten skutek, że obudziło niektórych domowników. Najwcześniej zjawili się ci, którzy mieszkali na tym samym piętrze, więc Dornowie i Dorazilowie, a po dłuższej chwili przybiegł już z parteru Witold Rey.

— Gdzie klucze od tych kłódek?! — ryknął inspektor.

— Klucze? A po co? Czego pan tam chce szukać?

Huber nadludzkim wysiłkiem stłumił w sobie chęć trzepnięcia w kark ciekawej Julii Dorazilowej.

— Tam kona człowiek, rozumiecie?! Gdzie klucze, pytam!

— Klucze ma pan Marski.

— Więc dawać go tu, do stu tysięcy żonatych diabłów!

— Ba, kiedy pan Marski mieszka w leśniczówce.

— Ładnych parę kilometrów stąd!

— A kto tam jest, panie inspektorze?

— Niech mi pani nie zwraca głowy, bo się zapomnę!

— Wypraszam sobie. Pan nie ma pr...

— Milczeć!... Panie Rey, proszę przywołać stangreta. Niech przyniesie z sobą siekiere. Musimy te drzwi wyłamać. Musimy!

— Dobrze, ale czy nie byłoby prościej wejść tam przez okno? Widziałem tutaj drabinę tak długą, że...

— Cicho! Słyszeliście?

Oczywiście wszyscy słyszeli ten potężny łoskot, lecz inspektor nie zamyslał tracić czasu na odgadywanie jego powodów.

— Prawda, przez okno! — krzyknął, palnął się w czoło i popędził na dół co tchu, a za nim całe towarzystwo.

Na parterze zastąpiła im drogę Elżbieta Reyowa.

— Co się tu znowu dzieje! — lamentowała. — Co znaczą te hałasy? Gdzie mój syn? Gdzie Irenka?

— Leży zemdlona w pokoju swego męża — odburknął inspektor, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Witold kroczył tuż obok i tylko on dosłyszał tę odpowiedź. Przystanął natychmiast, pozwalając się prześcignąć innym osobom, spieszącym w ślady Hubera, a potem zawrócił ku schodom...

— Gdzież ta drabina?

— Widziałem ją koło wozowni.

— Tak, ona tam wisi zawsze... Tędy, panie inspektorze...

Wawrzyniec Dorn skręcił w prawo, kierując się ku oficynom. Świtało już i ciemne kontury budynków odzynały się dość wyraźnie od szarzejącego nieba, dzięki czemu Wawrzyniec, kroczący na czele całej grupy, dostrzegł z daleka podejrzaną wypukłość na dachu stajni.

— Widzicie?!

— Co? Gdzie?

— Tam, — wskazał ręką. — Tam ktoś leży!

— Pssst!

Za przykładem Hubera zaczęli się skradać ku stajni. Na jej dachu leżał na brzuchu jakiś mężczyzna i półgłosem rozmawiał z kimś, znajdującym się po drugiej stronie budynku.

Wtem Julia Dorazilowa zakasłała. Zgromiona spojrzeniem inspektora, zasłoniła sobie wprawdzie usta, ale już było za późno. Człowiek leżący na dachu odwrócił głowę, spostrzegł nadchodzących, zerwał się.

— Uciekaj! — krzyknął, a sam zaczął się czołgać na czworakach w stronę dachu sąsiedniego budynku.

Huber wyjął z kieszeni rewolwer.

— Stój, lub strzelam! — zagroził. — Stój! Liczę do trzech! Raz! Dwa!!...

— A dyć stoję, stoję.

— Złaz z dachu, a żywo!

Mrucząc coś pod nosem i bez zbytniego pośpiechu tamten zaczął się opuszczać ku rynnie, poczołgał się wzdłuż niej aż do miejsca, gdzie przed oknem stajni stała bryczka i zszedł na dół tą wcale wygodną drogą.

— Ależ to jest nasz Mateusz!

Podeszli bliżej i otoczyli kołem stangreta, który stał obok bryczki z wzrokiem wbitym w ziemię i nerwowym ruchem obracał w dłoniach czapkę.

— Co to znaczy, Mateuszu?

— Niby co, wielmożna pani?

— No, te wasze spacerunki po dachach? O tej porze!

— A czy to nie wolno? Czym co zgrandyził państwu?

Magdalena Dorn chciała kontynuować rozmowę w tym samym stylu, lecz Huber miał już dosyć „babskiego śledztwa”.

— Pani wybaczy, ale pytania będę zadawał ja!... Z kim tu miałaś konszachty, co?! — zwrócił się energicznie do stangreta. — Kto to był?

— Nikogo nie było.

— Łzesz, drabie! Słyszeliśmy wszyscy, jak rozmawiałaś z kimś, a usłyszawszy, że nadchodzimy, zawołałaś *uciekaj!*... No więc?

Nie było odpowiedzi.

— Powiesz, czy nie?!

Mateusz nadal milczał z uporem, choć pani Elżbieta zaczęła się rozwodzić na temat błogosławionych skutków skruchy.

— Dawaj łapy, nałożę ci kajdanki!

Stangret podniósł głowę, zobaczył w dłoni inspektora złowrogie „bransoletki” i zadrżał z przerażenia.

— O, Jezu! Pan mnie chcóm brać do kryminału?!

— Proś Boga, żeby się skończyło na kryminale, a nie szubienicą!

— Szuszubienicooom?! Za takie głupstwo?! Za to, że se człek trochu z dziewuchom... tego?! To nie może być! To... — nie dokończył i rozbeczał się jak dziecko.

Potem zaś wciąż pochlipując żałośnie, zaczął się głośno spowiadać ze swoich grzechów... Na czymś tam weselisku we wsi poznał dziewuchę, która mu od razu wpadła w serce ze wszystkim(?). Jako człek żonaty trzymał swoje żądze w garści(!), aliści nadszedł maj, najzdradliwszy ze wszystkich miesięcy, jak wiadomo. Pod pretekstem, że w okolicy snują się koniokrady, Mateusz wykręcił się od noclegów w małżeńskim łożu i sypiał w stajni, której przypadła rola garsoniery. Tutaj odwiedzała go bogdanka, tutaj z nim gawędziła(?) do świtu, po czym wracała do chaty swoich rodziców. Że zaś na dziedziniec

można się legalnie dostać tylko przez hall pałacu albo przez wjazdową bramę na noc zamykaną na klucz, więc też wioskowy wamp musiał obrać drogę nielegalną przez dach stajni; po tamtej stronie wejście ułatwiał rozłożysty kasztan, a po tej bryczka, której Mateusz umyślnie nie wciągał do wozowni, jeżeli zanosilo się na damską wizytę... Tym trybem wszystko szło pięknie od tygodnia, aż dzisiaj nastąpił *paskudny wpadunek*, dzięki któremu stangret dworski nie będzie mógł wyjeżdżać na spacerzy z *wielmożnem państwem*, ani do miasta z *panem administratorem* Marskim...

— Będziecie mogli — pocieszała go Elżbieta. — Pan inspektor was już teraz nie uwięzi, jestem pewna, i będziecie znów wyjeżdżali z nami...

— Z takim napuchniętom gębom?!

Wawrzyniec Dorn wcisnął w oko monokl i przyjrzał się uważnie fizjonomii wioskowego donżuana.

Wasza twarz nie jest bynajmniej napuchnięta — stwierdził.

— Ale bendzie! — jęknął niefortunny amant. — Bendzie tyło, co dynia!... Ooooo, wielmożne państwo pewnikiem nie znajom mojej baby!

Inspektor spojrział na zegarek i zaklął.

— Przez tego durnia straciliśmy szesnaście minut! — Chwycił Mateusza za kark. — Prowadź mnie, gdzie leży drabina.

Stangret zawiódł ich do wozowni. Do jej bocznej ściany były wbite cztery potężne haki, na nich wisiała **zawsze** długa drabina, przy pomocy której jesienią wymiatano liście z rynien pałacu; lecz **obecnie** drabiny nie było tutaj!

— Gdzież się cholera podziała? — krzyknął

Mateusz; jego zdumienie było równie szczere, jak jego lęk przed zemstą zdradzanej żony.

— Gdzie?! — Inspektor pięścią palnął się w głowę.
— Tumanie! Przecież tamci dwaj nie mogli wejść do gabinetu bez tej drabiny!

— Czyli ona stoi tam, pod tym oknem!

Okna fatalnego pokoju wychodziły na drugą stronę dziedzińca, więc należało cały pałac okrążyć.

— Dwadzieścia minut stracone — sapał Huber, biegnąc tuż za Tytusem i Wawrzyńcem; dotrzymywał im kroku, pomimo swojego wieku i tuszy...

— Jest!

— Co? Kto??

— Drabina.

— Gdzie? Nie widzę.

Tytus Dorn nie widział jej, gdyż gapił się w górę, a tymczasem drabina leżała u stóp ściany pałacu. Leżała **złamana!**

— Aha, to był ten ostatni łoskot, jaki słyszeliśmy na górze...

— I co teraz, panie inspektorze? Czy kazać Mateuszowi naprawić tę drabinę?

— Nie — odparł Huber, zadzierając głowę ku oknom na drugim piętrze; jedno z nich było oczywiście **otwarte**. — I proszę się nie zbliżać do drabiny, jeżeli się nie chcecie narażać na skutki podejrzeń ze strony mojego psa!... Panie Tytusie, niech pan zostanie tutaj i pilnuje, aby nikt z domowników nie dotykał drabiny... A ty — zwrócił się do stangreta — przynieś mi natychmiast siekiere. Musimy wyrąbać drzwi do gabinetu.

— Przedtem mówił pan, że należy tam wejść przez okno.

— Tak, a teraz zmieniłem plan; drzwi były zamknięte i nic mi nie powiedzą, a na oknie spodziewam się znaleźć niejednego ślad!

Pozostawiwszy Tytusa na wyznaczonym posterunku, reszta towarzystwa pod wodzą Hubera zawróciła do pałacu. Za ledwie jednak uszli kilkanaście kroków, stuknęło coś nad ich głowami. Pod wpływem tylu tajemniczych wypadków doszło już do tego, że każdy szelest tu przerażał, każda, nawet najprostsza, czynność któregoś z domowników ściągała nań najgorsze posądzenia.

Tak było i tym razem. Ów niegłośny łoskot spowodowało zamknięcie okna w pokoju Ludwika Boltona. Za szybami spostrzeżono Witolda Reya i natychmiast wybuchnął wulkan insynuacji:

— Dlaczego on właściwie odłączył się od nas?

— I w dodatku tak dyskretnie!

— Ja dotychczas nawet nie zauważyłam, że go nie ma z nami.

— Czego on szuka w pokoju Ludwika?

— Może nie szuka, tylko zaciera ślady?!

— Jego zachowanie się dzisiaj było od początku podejrzane.

— Bardzo podejrzane! Ciekawam, czy pan inspektor zwrócił na to uwagę...

— „Miła rodzinka” — pomyślał sobie Huber, a głośno dodał: — Pan Witold zapewne cuci panią Irenę.

Po tym oświadczeniu lawa obrzydliwych podejrzeń trysnęła jeszcze obficiej, ogarniając prócz Witolda także Irenę. Nieszczęsna Elżbieta Reyowa, zmuszona do wysłuchania tylu kalumnii rzucanych na jej syna, szła z głową spuszczoną, połykając łzy; nie posiadała niestety tak

obrotnego języka jak Magdalena czy Lidia, nie mówiąc już o zgryźliwej Julii, więc nawet nie próbowała bronić Witolda...

W hallu musieli zaczekać na Mateusza. Przybiegł wreszcie z siekierą, a musiał snadź zaalarmować całe oficyny, bo wraz z nim przybiegła jego żona i sędziwy Maciej, i kucharz Marcin z córką, która od kilku dni bawiła u ojca w gościnie.

Huber przeliczył wzrokiem obecnych, dla pewności kilka razy.

— Jesteśmy tu wszyscy — zaczął — oprócz...

— Witolda i cuconej przez niego Irenki! — wtrąciła Julia.

— Tamci dwoje są na pierwszym piętrze, więc mogę ich wliczyć do kompletu obecnych domowników... Za to brakuje nam tutaj...

— Ludwika!

— Pana Ludwika nie biorę pod uwagę z innych względów... niestety. Lecz bardziej dziwne jest to, że dotychczas nie zjawił się wśród nas pan **Michał Bolton!**

— Racja! Kogo, jak kogo, ale tego niepowołanego detektywa nie powinno tu brakować **teraz!**

— Tak, pani dobrodziejko. — W łagodnych oczach inspektora zapaliły się jakieś złe błyski. — Po tym, co on mi sam wczoraj mówił, jego nieobecność w tej chwili jest tym bardziej **podejrzana!** Ha, wyciągniemy z tego konsekwencje, wyciągniemy!

ROZDZIAŁ XVIII

Po oderwaniu skobli, Huber pchnął drzwi, ale natrafił na dość silny opór. Odgadł bez trudu, że powodem tego jest Ludwik Bolton, który po celnym strzale tajemniczego zabójcy runął plecami na drzwi, osunął się po nich i zatarasował je swoim ciałem. I tak było rzeczywiście.

Inspektor nie pozwolił nikomu wejść do gabinetu, a sam bawił tam tylko przez chwilę.

— Nie utrudniajmy zadania psu, którego węch pozwoli nam wytropić zbrodniarza — rzekł, wracając na korytarz.

— Którego węch — poprawiła go Julia Dorazilowa — upewni nas, czy pańskie podejrzenia były słuszne.

— A cóż pani może wiedzieć o moich podejrzeniach?

— Jak to, co mogę wiedzieć! — oburzyła się. — Przecież pan powiedział wyraźnie, że Ludwika zamordował ten młody hokeista!

— Tego wcale nie powiedziałem i w ogóle bardzo żałuję, że tak wiele mówiłem w pani obecności — odparł Huber podniesionym głosem. — Teraz będę już ostrożniejszy!

Własnoręcznie zamknął drzwi narożnego pokoju,

schował klucz do kieszeni i nieprzyjaznym spojrzeniem omiół swoje „audytorium”.

— Państwo jeszcze są tutaj? — „zdziwił się”. — A po co?

— Może znowu będziemy panu inspektorowi w czym pomocni?

— Pomocni? — uśmiechnął się ironicznie. — Bardzo wam serdecznie dziękuję za dotychczasową „pomoc”, a dalszej „pomocy” nie życzę sobie stanowczo. Chcę nareszcie pozostać sam!... Ty jeszcze zaczekaj — chwycił za rękaw Mateusza. — No, proszę się rozejść lub strać cierpliwość!

Julii Dorazilowej, wężącej nowe emocje i sensacje, najtrudniej było się pogodzić z myślą o rozłące z *kochanym inspektorkiem*.

— A gdzie ja się mam podziać, nieboga. — spytała z miną bezradnego dziecka, które nie może się obejść bez opieki.

— Ten, kto nie chce narazić się na podejrzenie, że zamordował Ludwika Boltona, niech siedzi kamieniem w swoim pokoju. Ostrzegam!

Po tym oświadczeniu całe „audytorium” rozproszyło się w mgnieniu oka i Huber nareszcie odzyskał upragnioną swobodę ruchów. Wysławszy Mateusza do miasta z listem, udał się wprost do pokoju Michała Boltona.

— O, młodzieniaszek jeszcze śpi, no, proszę, proszę — mrucał, krocząc w stronę łóżka. — Dzień dobry panu! — huknął mu nad uchem, co jednak nie odniosło zamierzonego skutku. — Niechże pan nie gra lichej komedii? — irytował się. Pochwycił młodego sportsmena za rękę i szarpnął tak, że Michał aż usiadł na łóżku, ale zaraz opadł na powrót na poduszki i odwrócił głowę do

ściany. — Dość tego! — wrzasnął Huber, tarmosząc *lichego komedianta* wcale brutalnie. — Panie! Jeżeli pan natychmiast nie zaniecha tych błazeństw, wyleję panu cały dzbanek wody na łeb!

— Że co?... Co się stało?

— Stało się — Huber ani na chwilę nie przestał potrząsać dziwnie zaspanym młodzieńcem — stało się, że Ludwik odzyskał przytomność!

Było to oczywiście kłamstwem, Ludwik nie żył już od godziny, lecz inspektor w podobnych sytuacjach posługiwał się często tym chwytem i skutek bywał zawsze piorunujący: nawet zatwardziały zbrodniarz załamywał się psychicznie na wieść, że jego ofiara nie skołała, że odzyskuje przytomność i lada chwila zacznie mówić, zacznie oskarżać!

Tego samego efektu Huber oczekiwał i teraz, lecz spotkał go zawód. Michał Bolton kiwnął głową zgodliwie, mruknął: — Bardzo mi miło — i znowu opadł na poduszki, ziewając nader sugestywnie. Niewiele brakowało, by inspektor zaczął ziewać również.

— Dobrzeeee, spróbujemy innej metody.

Huber sięgnął po karafkę, napełnił szklanekę wodą aż po brzegi i chlusnął nią Michałowi prosto w twarz. Ta metoda była lepsza. Sportsmen nareszcie otworzył oczy, spojrzął na swego dręczyciela z nietajoną wściekłością i tym razem o własnych siłach usiadł na łóżku.

— Co za głupie kawały! — krzyknął oburzony. — Po jaką cholere budzi mnie pan tak wcześnie! Po co pan tu włazł w ogóle, co?!

— Przybyłem z rewizytą. Pan mnie odwiedził wczoraj popołudniu w moim pokoju, dzisiaj ja tu przychodzę. **Na pogawędkę!**

— Czy zaszło coś niezwykłego?

— Owszem, owszem. Czy pan nic nie słyszał? — spytał z gryzącą ironią i gniewem, który jeszcze spotęgowała przecząca odpowiedź młodzieńca. — To się nazywa: kamienny sen. Gratuluje... Zatem pan nie słyszał detonacji wystrzału, jaki oddano o trzy pokoje stąd... w gabinecie?!

— W gabinecie? Przecież te drzwi są zamknięte na dwie kłódki!

— Pamięć już funkcjonuje bez zarzutu, jak widzę... Istotnie, drzwi były zamknięte, ale zbrodniarz wszedł tam przez okno! I Ludwik również.

— Ludwik również? Nic nie rozumiem.

— Nie szkodzi, drogi panie, nic nie szkodzi; pan Ludwik Bolton za chwilę wyjaśni nam wszystko! Jak już napomknąłem na wstępie, zbrodniarz chybił tym razem. Jego ofiara odniosła tylko lekką ranę.

— To świetnie! — zawołał Michał z radością. — Nareszcie będę wiedział, czy moje domysły są słuszne, czy nie. Chodźmy do Ludwika...

Inspektor Huber na chwilę zapomniał języka w gębie; nie wiedział, co ma sądzić o tym młokosie, czy uważać go za zupełnie niewinnego, czy raczej za bezprzykładnie cynicznego zbrodniarza.

— Chodźmy zaraz do Ludwika — powtórzył Michał, odrzucając kołdrę. — Szkoda każdej minuty. — Wyskoczył z łóżka, wyciągnął dłoń po koszulę, leżącą na krześle, ale w tej samej chwili zatoczył się jak pijany i ciężko opadł na łóżko.... — Co mi się stało, u licha?! Jakiś wodospad szumi mi we łbie, a w żołądku czuję... oho!... Alarm!

— Co znowu? — Huber upewnił się ponownie, że to

komedia.

— Muszę jechać do Rygi!... Wiaderko, inspektorze, albo...

Klnąc pod nosem, Huber przyniósł wiadro stojące za parawanem obok umywalni i... ledwie zdążył... A potem, patrząc na straszliwe torsje, jakie chwyciły Michała, przyznał w duchu, że na takie „produkcje” nie mógłby się zdobyć nawet najbardziej sprytny komediant.

— Musiał pan się czymś struć przy kolacji — mruknął współczująco.

— Musiał ktoś mnie struć, niech pan raczej powie... Już wiem!

— No?

— Domieszano mi do jedzenia porcję nasennego środka! Tak, na pewno! Dlatego mi tak huczy w głowie, a w brzuchu burczy.

— Czy to się panu często przytrafia?

— Nigdy! Ja mam strusi żołądek, panie!

— Hm, hm, hm...

— Tak, tak, na pewno dano mi czegoś na sen.

— W jakim celu?

— Żebym dzisiejszej nocy spał twardo jak kamień, to jasne!

— Dlaczego jednak nikogo więcej to nie spotkało w tym domu?

— Dlaczego?... Ano, widać zbrodniarz chciał się zabezpieczyć tylko przede mną. Widocznie uważa mnie za najgroźniejszego przeciwnika...

— Ach, pana! Nie mnie, tylko pana! — Inspektor był poważnie zdraśnięty w swej miłości własnej. — Młodzieńcze, zarozumiałość w pańskim wieku jest zawsze niesmaczna, a często także i śmieszna!

Nowy gwałtowny „wyjazd do Rygi” uniemożliwił Michałowi replikę. Ale torsje przesiliły się wreszcie i młody organizm szybko powracał do formy.

— Ulżyło mi wspaniale, czuję się jak po wygranym meczu międzypaństwowym... Teraz ubiorę się raz-dwa i możemy pójść do tego przekłętego pokoju, jestem pewny, że znajdę tam jakieś ślady.

— O, nie mój panie. Nikt tam nie wejdzie, dopóki Mateusz nie przywiezie naszego specja od daktyloskopii i mojego psa.

— Pan ma tresowanego psa? Czemuż go pan nie przyprowadził wtedy, gdy zamordowano Jana Boltona!

— Nie mogłem, niestety, bo wówczas mój Ulisses pracował w Warszawie, tropiąc szajkę bandytów, których specjalnością były napady na kolektury loterii państwowej.

— I z jakim skutkiem?

— Z nadzwyczajnym; czy nie czytuje pan gazet?... Tak, panie Bolton: mój Ulisses to genialny pies! Zresztą sam się pan o tym przekona!

Ostatnie zdanie znowu zabrzmiało jak pogróżka, ale znowu nie wywarło żadnego wrażenia; nie pomógł również cykl opowieści o innych wyczynach czworonożnego detektywa.

Inspektor Huber był już zupełnie zdezorientowany. — Czyżby on naprawdę nie miał nic na sumieniu? — zastanawiał się, komponując na poczekaniu historię jakiegoś niesłychanie skomplikowanego przestępstwa, którego tajemnicę wyjaśnił w końcu cudowny wąż Ulissesa. To zmyślane wydarzenie upodobił wybitnie do historii dzisiejszej śmierci Ludwika Boltona i łącząc jak z nut, nie spuszczał Michała z oka ani na moment. — No, teraz musi choćby drgnąć — pocieszał się, dochodząc do pointy

swego opowiadania. — Musi! — ...Nie doczekał się tego. Gdy skończył, Michał klasnął w dłonie i zawołał ze szczerym zapalem:

— Ależ to fenomenalny pies! Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że go będę widział przy robocie...

Inspektor Huber miał tego dosyć. Kiedy ujrzał na dachu stajni stangreta, był przekonany, że to on jest zabójcą Ludwika. Z kolei zwrócił ostrze swych podejrzeń na Michała, lecz ten drugi kandydat do szubienicy wymykał się również spod stryczka...

— Pan wychodzi? Doskonale, pójdziemy razem.

— Nie! — rzekł twardo inspektor. — Nikomu nie wolno wydalać się ze swojego pokoju, aż do odwołania... To się odnosi do wszystkich!

Obwieściwszy ten srogi zakaz, wyszedł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi z taką pasją, że tynk się posypał.

— U-hum, więc areszt domowy... Ha, niechże się to odnosi do wszystkich, którzy lubią rządy bata — monologował Michał, wsłuchując się w cichnące echa kroków inspektora — ale ja jestem urodzonym anarchistą, wobec czego... — strzelił palcami, zafrapowany pomysłem, który mu nagle strzelił do głowy, i szybko wyslizgnął się na korytarz...

W godzinę później cały pałac zaalarmował przeraźliwy krzyk Julii:

— Pali się! Ratujcie! Pali się!

Paliło się w przeklętym pokoju narożnym, w którym w ciągu niespełna sześciu dni zginęło tragiczną śmiercią dwóch Boltonów. Pokój ten był zamknięty na klucz, klucz spoczywał w kieszeni inspektora, a pomimo to pożar wybuchnął **właśnie tam!!**

ROZDZIAŁ XIX

Pożar ugaszono stosunkowo łatwo, bo wystarczyło kilkanaście wiader wody, niemniej specjalista od daktyloskopii i pono genialny Ulisses nie mieli tutaj już nic do roboty; pierwszemu uniemożliwiły zdjęcia ewentualnych odcisków ogień i woda, drugiemu gryzący dym po spaleniu dywanu zatarł woń potu zabójcy Ludwika Boltona. I właśnie o to musiało chodzić podpalaczowi!

— Na pewno o to! — powtarzał inspektor, miotając się po fatalnym pokoju od ściany do ściany w nadziei, że przecież znajdzie jakiś zgubiony przedmiot, jakiś ślad upragniony.... Lecz szukał na próżno.

— A którądy on wlaź tutaj znowu?

— Oczywiście oknem, panie inspektorze.

— Julio, czyś zapomniała, że drabina jest połamana?

— Zresztą postawiłem tam człowieka na straży — rzekłszy to, Huber wychylił się przez okno. — Gdzież on jest, u licha?

— Kto?

— No, pan Tytus!

— Mój brat śpi od godziny — wyjaśnił Wawrzyniec Dorn. — Chciałem go teraz obudzić, ale mama...

— Co?! On śpi, chociaż ja mu poleciłem, żeby tam stał aż do...

— Przecież pan go sam zwolnił z tego posterunku.

— Ja?! — Inspektor uszczyptał się w rękę, by stwierdzić, że nie śni. — Moi państwo, czy wy chcecie ze mnie robić wariata?!... To wam się nie uda! — wrzasnął. — Proszę mi tu przywołać pana Tytusa.

Tytus Dorn zjawił się po chwili zaspany i oburzony na Hubera, że go znowu kazał obudzić.

— Dlaczego pan opuścił samowolnie wyznaczony posterunek? Czy pan wie, jak za to karzą w wojsku?!

— Na szczęście tu nie wojsko! — zachnęła się Magdalena.

— Pozwól, mamó, ja sam mu odpowiem... Stałem koło połamanej drabiny przez jakiś czas, a potem ktoś skądś zawołał, że mogę iść spać, więc...

— Zaraz, zaraz; co to znaczy *ktoś skądś zawołał*. Kto?

— A bo ja wiem, kto? To był męski głos, lecz czyj, nie zastanawiałem się dotychczas.

— Ale może się pan zechce nad tym zastanowić **teraz!** Czy to był głos pana Michała? Czy pana Witolda? Wacława?

— Nie pamiętam już, jak Bożię Kocham. Ktoś krzyknął: *Huber powiedział, że już możesz iść spać*, no więc wróciłem do domu z przyjemnością...

Inspektor pogodził się wreszcie z tym faktem, że od Tytusa nie dowie się niczego, poza tym był wprost zaskoczony niesłychanym tupetem tajemniczego zbrodniarza. Pomimo zawodowej nienawiści do przestępców czuł nieklamany podziw dla tego przeciwnika, dla jego sprytu, przezorności i odwagi graniczącej z

zuchwalstwem. Czyż nie dowodziło tego podstępne odwołanie z posterunku Tytusa, który miał pilnować okna? Albo to podpalenie zmierzające do zatarcia śladów i uniemożliwienia pościgu z pomocą policyjnego psa?

— Wytłumaczcie mi, moi drodzy — zabrzmiał głos Julii, niezaspokojonej w swojej ciekawości, jak on się mógł tutaj dostać bez drabiny.

— Może opuścił się z dachu?

To powiedział **Michał!** Michał, który wczoraj w obecności Hubera przeszedł po wąskim gzymsie z jednego balkonu na drugi! Inspektor nie mógł teraz od niego oderwać wzroku...

Tymczasem obydwaj Dornowie, wychyliwszy się przez okno, zadarli głowy w górę i zaczęli wzrokiem odmierzać odległość od dachu.

— Nie — orzekł Wawrzyniec — tej sztuki mógłby dokazać tylko jakiś zawodowy akrobata!

— Przesada. Nie jestem cyrkowcem, a zrobię to samo, przypuszczam; czy mam spróbować?

To także mówił **Michał!** I uśmiechając się zagadkowo, patrzył prosto w oczy inspektorowi, któremu znowu przyszedł na myśl bezprzykładny tupet tajemniczego przestępcy...

— Mateusz wraca! — oznajmił Tytus.

Wszyscy przysunęli się do okien. W oddali ponad szarą wstęgą drogi kołysał się olbrzymi wąż kurzu; łeb tego pytona, mknącego szybko w stronę pałacu stanowiła bryczka. Gdy przybliżyła się, spostrzeżono w niej cztery osoby; obok Mateusza siedział policjant, a za nimi dwóch agentów ubranych po cywilnemu. Pomiedzy nimi kręcił się duży pies.

— Nareszcie! — odsapnął Huber. — Nareszcie

dowiemy się czegoś pewnego! Człowieka można w błąd wprowadzić, ale takiego psa nigdy! On przechytry najbardziej podstępnego zbrodniarza!

— W tym wypadku stało się na odwrót — odparł Michał, wytrzymując bez drgnienia powiek wyzywający wzrok inspektora, — bo zbrodniarz sprytnie zatarł ślady i pański Ulisses, choćby był taki chytry jak jego mitologiczny imiennik, nic tutaj nie wskóra.

— Zobaczymy! — krzyknął Huber, wybiegając na korytarz...

Zamieniwszy kilka słów z przybyłymi pomocnikami, wziął swojego psa na linkę i zaprowadził go do miejsca, gdzie leżała złamana drabina. Ulisses obwąchał jej szczeble, pomierdał ogonem jakby na znak, że doskonale pojmuje, o co chodzi, i po chwili puścił się w drogę wzdłuż ściany pałacu. Zrazu szedł powoli, niekiedy przystawał, a nawet zawracał, aż wreszcie zaczął biec, ciągnąc za sobą Hubera. Oczywiście całe towarzystwo, prócz chorej Ireny i czuwającej przy niej Elżbiety Reyowcj, wzięło udział w tym biegu dokoła pałacu.

— Stop! — zawołał Witold i schylił się ku ziemi.

— Co pan znalazł?

— Ustnik wypalonego papierosa.

Michał zelektryzowany przyskoczył do Witolda.

— Czy to camel?! — spytał z wielkim zainteresowaniem.

— Nie, dames.

Inspektor wzruszył ramionami.

— Może i dla zapalki każecie mi przystawać — mruknął, wznawiając wstrzymany na chwilę pochód. — Wszyscy tu palicie, więc cóż dziwnego, że...

— Ale damesów nikt z nas nie pali na pewno!

Ulisses zaprowadził ich do altany w ogrodzie. Tutaj u stóp ławki leżały dalsze trzy ustniki damesów.

— Jaka szkoda, że to nie są niedopałki cameli — żałował Michał.

— Czy na pewno nikt z państwa nie pali damesów?

Stwierdzili, że nie; większość paliła papierosy domowej fabrykacji, pozostali egipskie lub ergo, lecz damesów nikt.

— Ha, skoro tak... — Inspektor schylił się i przez chusteczkę pozbierał znalezione tu ustniki papierosów. — Hm, trzy sztuki wypalił, czyli siedział tutaj co najmniej pół godziny, co?

— Niech pan zapyta o to swego Ulissesa — zachichotał Michał Bolton. — Powiedział pan, że od niego dowiemy się nareszcie całej prawdy...

— Cierpliwości, młodzieńcze, cierpliwości. Nie tracę nadziei, że odjeżdżając stąd dzisiaj, zabiorę z sobą cynicznego zbrodniarza! Skutego!

Pies zawrócił znowu w stronę pałacu, lecz znalazłszy się na dziedzińcu, skręcił tym razem w stronę oficyn.

— Czy on nas prowadzi do stajni?

— Więc jednak Mateusz?!

— A mówiłam — dorzuciła Julia — że stangretowi źle z oczu patrzy!

Tymczasem Ulisses minął spokojnie stajnię i piekarnię, aż zatrzymał się przed wozownią. Tutaj zatoczył kilkanaście skomplikowanych esów-floresów, gzygzaków, potem wspiął się na tylne łapy, a przednimi zaczął drapać w ścianę, warcząc przy tym z cicha, ale groźnie.

— Cóż on tam zwęszył, u licha?

— Może ślady nocnego spaceru Mateusza po

dachach?

Michał wszedł do wozowni i zadarł głowę do góry.

— Myślałem, że to zwyczajna buda — wybąkał — a tu jest także jakiś stryszek.

— Ano juźci — potwierdził Mateusz, który właśnie przybiegł ze stajni, zaciekawiony, czego *wielmożne państwo* szukają w wozowni. — Siano tam trzymamy.

— A gdzież jest wejście na ten stryszek?

Ulisses uprzedził stangreta, pobiegł na drugą stronę wozowni, znowu stanął dęba i zaszczekał.

— Mamy go! — orzekł inspektor.

— Kogo?

— Skąd pan wie, że...

— Jeśli Ulisses zaszczeka, to znak, iż ptaszek jeszcze nie wyfrunął z gniazdeczka.

W górnej części ściany tego drewnianego budynku, mniej więcej na wysokości pierwszego piętra był wycięty prostokątny otwór, zakryty w tej chwili drzwiczkami z takich samych desek i dlatego trudno go było spostrzec z daleka.

— Hm, jakżeby on tam wyszedł?

— Ano, zwyczajnie, po drabince.

— A gdzie ta drabinka?

Okazało się, że drabinka tu stoi zazwyczaj, o ile nie jest potrzebna w stajni, nad którą jest również taki stryszek. Okazało się dalej, że stała tu również dzisiejszej nocy i dopiero przed chwilą Mateusz zabrał ją do stajni.

— Więc przynieście ją natychmiast!

Stangret wykonał to życzenie „migiem”, a pierwszym który usiłował wejść po drabince na stryszek był... dzielny Ulisses. Z niemym wyrzutem spojrzął na swojego pana, który go ściągnął na dół i polecił trzymać

policjantowi. Po Ulissesie spróbował „startować” Michał Bolton, lecz jego również Huber powstrzymał.

— Czy pan inspektor jest zazdrosny o ten zaszczyt?

Przymówili sobie, a gdzie się dwóch pokłóci, tam trzeci... Tym trzecim był Tytus Dorn... Jego brat pierwszy spostrzegł dziś na dachu stajni Mateusza, Julia pierwsza zauważyła, że się pali, Witold znalazł ustniki damesów, Michał robił zdumiewające odkrycia na każdym kroku. tylko on, Tytus, niczym się nie wslawił dotychczas; przeciwnie, skompromitował się, opuszczając ważny posterunek pod oknami fatalnego pokoju. Uznał więc, że teraz nadeszła stosowna chwila do zrehabilitowania się i „zaćmienia” wszystkich. Chodziło przecież o wyczyn tak efektowny, jak ujęcie zbrodniarza!

Przeprowadziwszy w myśli takie rozumowanie, Tytus przyskoczył do drabiny i szybko wspiął się po niej, nie zważając na protesty zazdrosnego inspektora. Odemknął drzwiczki, zajrzał do wnętrza, po czym odwrócił głowę ku czekającym na dole towarzyszom. Minę miał człowieka, którego spotkał wielki zawód. Był też naprawdę rozczarowany. Sądził, że ujrzy jakieś odrażające indywiduum w łachmanach lub brodatego zbója uzbrojonego aż po zęby, a tymczasem...

— No, gadaj pan — zniecierpliwził się inspektor — jest ten łotr?

— Nie — odparł Tytus zniżonym głosem — nie ma go. Ale na sianie śpi jakiś bardzo elegancki gentleman.

ROZDZIAŁ XX

Ów gentleman był rzeczywiście elegantem, a przy tym bardzo przystojnym mężczyzną. Jeśli chodzi o wiek, to mógł równie dobrze liczyć dwadzieścia pięć lat jak i trzydzieści, ale nie więcej.

Obudzony i wezwany do opuszczenia stryżku, przede wszystkim otrzepał raglan z siana bardzo starannie, poprawił sobie krawat, przycesał włosy w lusterku, po czym dopiero zaczął zstępować po drabince, niosąc w dłoni małą walizeczkę.

— Kto pan jest? Pańskie nazwisko? Legitymacja?

Zagadnięty zignorował te i dalsze pytania Hubera. Milczał, a jego niespokojne spojrzenia ślizgały się szybko po twarzach zebranych tu ludzi.

— Osoby, której pan szuka wzrokiem — rzekł Michał Bolton i uśmiechnął się domyślnie — nie ma w tym gronie, co?

Nieznajomy drgnął silnie, słowa te zmieszały go najwyraźniej.

— Tej osoby — zaczął znów Michał, lecz Huber odebrał mu głos tym razem.

— Ja prowadzę śledztwo, nie pan! — oświadczył

kategorycznie.

— Śledztwo?!... Więc pan jest?...

— Jestem inspektorem Policji Państwowej, mój panie! Czy wobec tego zechce pan nareszcie odpowiadać na moje pytania, czy też...

— Ale dlaczego?! Dlaczego chce mnie pan przesłuchiwać? O co w ogóle chodzi?

— O pana Ludwika Boltona!

Nieznajomy zachwiał się na nogach.

— Więc to on?! On kazał mnie aresztować?! Ten... ten... — szukał przez kilka sekund potrzebnego określenia, aż wreszcie z jego ust, skrzywionych w bolesnym grymasie padły epitety... — łotr, kanalia!

— Aha, pan go nie cierpi, co?

— Nienawidzę go śmiertelnie!

— To znaczy życzy mu pan śmierci.

— Och, niechby już raz zdechł ten podlec!

— Słyszeliście, państwo? — Inspektor zwrócił się do członków rodziny Jana Boltona, a potem znowu do owego *śmiertelnego wroga* Ludwika. — Kiedy pan tutaj przybył?

— Przyjechałem nocnym pociągiem pospiesznym.

— Czyli dwadzieścia minut po północy. I wynajął pan dorożkę?

— Tak. Przybyłem do Jeleniowa dorożką, odprawiłem ją, a ponieważ brama była zamknięta na klucz, przeszedłem przez ogrodzenie... Również zamknięte były główne drzwi pałacu...

— A to ciekawe — wtrącił inspektor kpiąco. — Kiedy o świcie wybiegłem z hallu na dziedziniec, główne drzwi były otwarte na oścież!

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Możliwe, ale kiedy ja tam przyszedłem, były zamknięte. Na pewno! Wiem, bo próbowałem kilka razy. Potem obszedłem cały pałac dokoła. We wszystkich oknach było ciemno. Nie chcąc wszczynać hałasu i budzić domowników, postanowiłem zaczekać do rana. Udałem się najpierw do ogrodu...

— Do altany.

— Tak. Skąd pan wie o tym?

Huber wskazał z dumą na swojego Ulissesa.

— Mój piesek mi to powiedział, idąc pańskim śladem — wyjaśnił.

Nieznajomy uśmiechnął się z goryczą.

— Pies policyjny mnie tropił, niby jakiego zbrodniarza — westchnął.

— „Niby”!... No, i co dalej?

— Nic... W altanie było mi zimno i twardo, więc zacząłem szukać lepszego noclegu. Znalazłem ten stryszek. Tu również nie mogłem długo usnąć, aż o świcie sen mnie zmorzył i spałem, dopóki nie zbudziliście mnie...

— To wszystko? Nic więcej łaskawy pan nie pamięta? No? Może jednak? — Zdradliwie dobroduszny uśmieszek na ustach inspektora zgasł nagle. — Radzę mówić prawdę lub skonfrontuję pana z Ludwikiem Boltonem!

— Z nim?! — Nieznajomy zgrzytnął zębami. — Nie lękam się **już** tej konfrontacji!

— **Już!** Słyszeliście, państwo? Powiedział wyraźnie: *nie lękam się już tej konfrontacji*. To bardzo charakterystyczne! — Znowu zwrócił się do nieznajomego. — Młodzieńcze, pański cynizm przechodzi wszelkie granice, to panu mówi stary urzędnik kryminalny! Ale czeka pana straszna niespodzianka! — Huber nabrał tchu w

płuca i odczekawszy chwilę dla spotęgowania wrażenia, oświadczył z naciskiem: — Pan Ludwik żyje!!

— Czy on zwariował?! — wyrwało się Julii Dorazilowej, która nie zorientowała się, że to podstęp. — Przecież Ludwik zginął na miejscu!

Jej odezwanie się wywołało u inspektora szalony wybuch gniewu; tak wiele obiecywał sobie po swoim tricku (który co prawda już raz go dzisiaj zawiódł), tymczasem ta *pyskata baba* zepsuła mu wszystko. Nieznajomy wiedział teraz, że Ludwik Bolton skonał i śmiało mógł się wypierać autorstwa czy choćby udziału w tej zbrodni. Nic dziwnego, że Huber pienił się z wściekłości, aż nareszcie wypadł z roli dobrodusznego poczciwca.

— Tego jegomościa — ryknął na swoich agentów, wskazując amatora noclegów w sianie — odprowadzić do mojego pokoju. Tam go przesłucham. W cztery oczy!... A gdyby tam ktokolwiek obcy chciał wejść pod jakimkolwiek pozorem, to... no, wy już wiecie sami, jak taką osobę spławić!

Było to wypite najwyraźniej do Julii i do Michała, bowiem na nich spoczął wzrok rozsierzonego inspektora. Julia odeszła natychmiast z miną królowej, którą rewolucjoniści wypędzają z jej sypialni, lecz Michał nie lubił się przejmować; przyjaźnie uśmiechnięty podszedł do Hubera.

— Chciałem pana prosić o jedno — zaczął zniżonym głosem.

— Nie mam teraz czasu.

— Zajmę panu tylko pół minuty... Przypuszczam, że poleci pan swoim podwładnym przetrząsnąć cały pałac od piwnic aż po strych, prawda?

— Rozumie się.

— W trakcie tych poszukiwań pańscy ludzie znajdują niewątpliwie moc przedmiotów, które na ogół uważa się za śmiecie, a które...

— O co panu chodzi? — wtrącił Huber popędliwie.

— O niedopałki i ustniki papierosów.

— Ach, pan wciąż liczy na te damesy.

— Broń Boże. Mnie tutaj interesują wyłącznie papierosy camel. Niech pan łaskawie wyda polecenie swoim agentom, aby sobie dobrze zapamiętali, gdzie w których pokojach, koło jakich mebli, drzwi, okien znajdują niedopałki owych cameli... To już wszystko, o co chciałem pana prosić.

Inspektor Huber uśmiechnął się ironicznie.

— Lubię to ogromnie — rzekł — gdy laik bawi się w detektywa.

— Niech pan nie lekceważy laika, bo on niekiedy może wiedzieć więcej, niż pan... Cóż pan na przykład wie o tym elegancie? Nic! A ja wiem, wiem, że mu Józef na imię, że go coś łączy z panią Ireną Bolton, że depeszował i...

Huber nie słuchał dalej. Podbiegł do nieznanego, zażądał od niego legitymacji, spojrzął, przeczytał: — Józef Moll, inżynier chemii — po czym wrócił do Michała Boltona.

— No i co, czy miałem rację? Azali nie jest mu Józef?

— Nie sztuka, wiedzieć, skoro go pan znał od dawna — odburknął Huber.

— Znam go od pół godziny, podobnie jak i pan.

— Powiedzmy, powiedzmy... A cóż z tą depeszą: czy zna pan jej treść?

— Oczywiście. Było w niej jedno zdanie, które *pana*

niewątpliwie zelektryzuje, brzmiało bowiem tak: *Przyjadę nocnym pociągiem i rozprawię się z nim ostatecznie.*

— Co pan mówi! *Rozprawię się z nim ostatecznie?!* Ależ to stanowiłoby miażdżący dowód jego winy!

— Zaraz też sobie pomyślałem, że pan tak sobie pomyśli...

Rozgorączkowany inspektor nie zauważył drwiącego uśmiešku Michała.

— I co jeszcze? Co jeszcze zawierała ta depesza? — dopytywał.

— Tego, niestety, nie wiem, gdyż zaledwie przeczytałem jedno zdanie, pani Irena ocknęła się z omdlenia i wyrwała mi telegram z dłoni. A żeby pan widział, jakim mnie wzrokiem zmierzyła...

— Ach, gdybym mógł odnaleźć tę depeszę!

— Niech pan jej każe szukać w pokoju pani Elżbiety Reyowej, bo tam Irena Bolton do wczoraj mieszkała... A jeśli depeszę zniszczyła, to także nie ma się o co martwić; w urzędzie telegraficznym zrekonstruują ją panu na pewno...

Okazało się to zbędne, gdyż jeden z agentów znalazł telegram w sypialni Elżbiety Reyowej, w torebce Ireny; jego cały tekst brzmiał następująco:

BĄDŹ GOTOWA STOP PRZYJADĘ NOCNYM
POCIĄGIEM I ROZPRAWIĘ SIĘ Z NIM
OSTATECZNIE STOP ALE NA RAZIE NIC NIE MÓW
O MYM PRZYJEŹDZIE STOP JÓZEK

Inspektor Huber bez wahania uznał tę depeszę za niezbity dowód winy Józefa Molla, a zarazem za dowód, że morderstwo było z góry zaplanowane, że nie zachodziło

tutaj zabójstwo w afekcie.

— W imieniu Rzeczypospolitej aresztuję pana... Czy przyznaje się pan do zamordowania świętej pamięci Ludwika Boltona?

— Nie. Ja go nie zabiłem.

— Przyznanie się mogłoby być w procesie okolicznością łagodzącą.

— Możliwe, ale dla mordercy. Ja nim nie jestem, zapewniam pana.

— Przyjmuję to do wiadomości i nie tracę nadziei, że po kilku dniach pobytu w areszcie pan zmięknie; tak zawsze bywa... A teraz jeszcze jedno maleńkie pytanko; czy do popełnienia tej zbrodni namówiła pana żona zabitego, czy ktoś inny?

— Irena?!

— Aha, zatem pan przyznaje, że pani Irena Bolt...

— Jak pan śmie! — oburzył się Moll. Irena to anioł!

— A zatem po raz pierwszy w mojej praktyce — odparł Huber szyderczo — będę musiał aresztować **anioła**.

— Ją?! Jakim prawem?! Dlaczego?!

— Pod zarzutem współdziałania z mordercą, z którym się komunikowała, czego mamy dowody. — Tu potrząsnął znalezioną depeszą. — Chyba, że pan oświadczy wyraźnie, iż dokonał pan zbrodni bez jej udziału...

Punktualnie o godzinie dwunastej w południe zjechała do Jeleniowa komisja sądowo-lekarska. Inspektor Huber powitał ją w hallu pałacu.

— Panie sędzio — rzekł, witając się z sędzią śledczym — mam zaszczyt zakomunikować panu, że sprawcę ująłem.

— O! Tak szybko? Gratuluję!... I któż to jest?

— Niejaki Józef Moll, inżynier chemii.

— Myli się pan! — zawołał ktoś głośno.

Całe *ciało komisyjne* odwróciło głowy; po schodach stępował szybko Michał Bolton, trzymając oburącz małe blaszane pudełko. Gdy je otworzył, oczom przybyłych ukazało się kilka niedopałków grubych, bezustnikowych papierosów.

— Myli się pan inspektor — powtórzył.
— Zbrodniarz pali camele, a Józef Moll damesy.

— Jak pan powiada? Camele? — Sędzia śledczy był zdziwiony. — O takich papierosach nawet nie słyszałem. Czy to może zagraniczne?

— U-hum — mruknął Michał w zamyśleniu.

Huber wskazał dyskretnie na niego, a potem popukał się po czole.

— Panie sędzio — rzekł — czy **przyznanie** się sprawcy czynu jest wystarczającym dowodem?

— Ależ to korona wszelkich dowodów!

— A zatem mam zaszczyt oświadczyć — Huber spojrział zwycięsko na Michała — że Józef Moll **przyznał się** do zarzuconej mu zbrodni!

ROZDZIAŁ XXI

Przez wzgląd na stan zdrowia Ireny tajono przed nią początkowo, co zaszło w pałacu; lecz na dłuższą metę tajemnicy nie dało się utrzymać. Powiedziano jej więc najpierw, że Ludwik został raniony, pod wieczór dodano, że jego stan trochę się pogorszył, aż nazajutrz wyjawiono jej całą prawdę. I ku ogólnemu zdumieniu, wiadomość o śmierci męża mniejszy u niej wstrząs wywołała, niż wiadomość o aresztowaniu domniemanego zabójcy, Józefa Molla.

— To niemożliwe! — krzyknęła. — To fałsz! Józef jest niewinny! On nie byłby zdolny do tego, nie! Ja za to rękę głową!

— Ależ on się sam przyznał, że zabił!

— On się przyznał?!

— A ja, odezwał się Michał Bolton — pomimo to wierzę w jego niewinność!

Za to oświadczenie „zainkasował” doraźnie garść drwiących uśmieszków, tylko Irena spojrzała nań z gorącą wdzięcznością.

— Dziękuję panu — wyszeptała, podając mu dłoń.

Michał z reguły nie całował pań w rękę, wychodząc

ze słusznego założenia, że to niehigienicznie, a także niemądrze, gdyż są części kobiecego ciała nierównie bardziej ponętne i więcej nadające się do całowania niż dłoń. Tym razem jednak, jak gdyby zapominając o swoich niezłomnych zasadach, przywarł ustami do ręki Ireny i przy tym pochylił głowę bardzo nisko, i nawet Witold Rey, śledzący ten przydługi pocałunek z zazdrością, nie zdołał zauważyć maleńkiej kartki, jaką Michał wcisnął w dłoń młodej wdowce. Treść tego liściku, tak dyskretnie doręczonego adresatce była krótka:

Muszę z Panią pomówić bez świadków! Przyjdę, gdy wszyscy będą na kolacji.

Michał dotrzymał słowa. W chwili, gdy całe towarzystwo zasiadło do stołu, wślizgnął się do pokoju Ludwika tak cicho, że Irena przez chwilę nawet nie zauważyła jego obecności. A potem, kiedy nagle ujrzała go już przy łóżku, krzyknęła z przestraszu przeraźliwie.

— Ależ pani jest nerwowa, no! — mruknął niezadowolony, lękając się, czy tego okrzyku nic słyszano w jadalni znajdującej się przecież na tym samym piętrze, tylko po drugiej stronie hallu. Jego obawy nie były nieuzasadnione. Był ktoś, kogo natychmiast zaintrygowała nieobecność przy stole młodego sportowca, który odznaczał się stale wspaniałym apetytem i zawsze pierwszy wkraczał do jadalni, a okrzyk Ireny jeszcze zaostrzył podejrzliwość tej osoby...

Michał od razu przystąpił do rzeczy:

— Ja osobiście wierzę w niewinność pana Molla — zaczął — ale sęk w tym, aby w to uwierzyły władze. Jeżeli tedy zależy pani naprawdę na uniewinnieniu pana Molla,

to...

— Jak pan może w to wątpić! — wtrąciła żywo.

— I pomoże mi pani w zdemaskowaniu prawdziwego zbrodniarza?

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy.

— Doskonale... Proszę więc wziąć mocno w karby swoją pamięć i opowiedzieć mi dokładnie wypadki ostatniej nocy.

— Ostatniej nocy?

— Przedostatniej, chciałem powiedzieć. Dziś mamy dwunasty maja, a mnie chodzi o wydarzenia fatalnej nocy z dziesiątego na jedenasty... Tę noc miała pani spędzić jeszcze w pokoju pani Elżbiety Reyowej, prawda?

— Tak... Pozostałam u ciotki, która zasnęła wówczas dość późno. Dopiero po północy mogłam się wymknąć! z pokoju i...

— Po co?

— Bo wiedziałam, że Józef przyjedzie nocnym pociągiem i chciałam się z nim rozmówić bez świadków, zanim dojdzie do stanowczej rozprawy pomiędzy nami a Ludwikiem... Usiadłam sobie w hallu i tutaj znalazł mnie mąż...

— A cóż tam porabiał o tak późnej porze?

— Nie wiem, nie mam pojęcia, dość że nagle zjawił się tuż obok mnie i wyraził swoje zdziwienie, iż nie leżę w łóżku. *Widocznie nie jesteś taka chora, za jaką pragniesz uchodzić*, rzekł ironicznie; *świetnie się składa, bo właśnie mam z tobą do pomówienia w bardzo ważnej sprawie...* Musiałam pójść z nim, aby nie wzbudzić w nim jakich podejrzeń... Przyszliśmy tutaj i tu nastąpiło starcie, które uważałam od dawna za nieuniknione, ale które pragnęłam odwlec do dnia wczorajszego, to jest do przyjazdu Józia...

Niestety, stało się inaczej. Stała się rzecz dla mnie wprost straszna! Mój mąż... ach, Boże, o zmarłym nie wolno mówić źle... Pominę więc te wypadki, a przejdę...

— Przepraszam, że przerywam, lecz muszę panią prosić stanowczo o niepominanie żadnych szczegółów.

— Nie, nie, to niemożliwe!

— To możliwe i **konieczne!**

— Czy dlatego — zachnęła się — że pan chce zaspokoić ciekawość?

— Dlatego, że chcę uchronić pana Józefa Molla od szubienicy!

Ta odpowiedź wstrząsnęła nią do głębi. Przeprosiwszy Michała za *niecne posądzenie*, zaczęła cichym głosem opowiadać przebieg swojej ostatniej rozmowy z mężem. Gdy Ludwik obsypał ją wymówkami, że się tak nagle zmieniła, że go unika i mierzy wzrokiem wręcz nienawistnym, odpowiedziała mu, iż wie o jego romansie z Lidią i zażądała jego zgody na rozwód.

— Powoli, powoli — upominał ją Michał. — Skąd pani wie, że męża łączyły bliższe stosunki z panią Lidią?

— Jakże! Przecież na własne oczy widziałam, jak... — urwała wpół zdania i odwróciła głowę zawstydzona.

— U-hum... Czy mąż pani wyraził swą zgodę na rozwód, czy też...

— Tak... I żeby pan widział, z jaką skwapliwością!

— To panią zabolalo, rozumiem... Ale skoro pani sama chciała rozwodu, a on się nie sprzeciwiał, to co właściwie spowodowało starcie, o którym pani wspomniała na początku naszej rozmowy?

— Konflikt wywołało inne moje kategoryczne żądanie... Och, Boże, Boże, czy ja naprawdę muszę panu wszystko powiedzieć?

— A czy ja muszę wciąż powtarzać, że od pani szczerości zależy, być może, życie pana Józefa Molla?

— Prawda, prawda... Więc powiem wszystko... Ażeby jednak pan mógł zrozumieć powody tego starcia, muszę się cofnąć w opowiadaniu do wypadków tej nocy, kiedy to zamordowano Jana Boltona...

— Noc z szóstego na siódmy maja — bąknął Michał pod nosem.

— Tak... Kiedy znalazłam się z mężem tutaj, w tym pokoju, Ludwik niesłuchanie wzburzony oznajmił mi, że stryj wydziedziczył go zupełnie, a cały majątek zapisał... zapisał innemu członkowi rodziny.

— Aha! Czyli pan Ludwik, tak, jak to zresztą przeczuwałem od razu, porwał prawdziwy testament Jana Boltona i ukrył go jako niekorzystny dla siebie. Potem zaś, gdy się okazało, że dziedzicząc z ustawy otrzyma tylko trzy ósme części spadku, doszedł do przekonania, iż ta koncepcja jest również mało olśniewająca, wobec czego sfabrykował własnoręcznie drugi testament, w którym siebie zamianował uniwersalnym spadkobiercą, a swojej kochance oraz, jak przypuszczam, współniczce, pani Lidii, ofiarował wspaniałomyślnie milion złotych, w formie legatu...

Irena, potakując aprobowująco, patrzyła na Michała z uznaniem.

— Gdy tego słucham — rzekła z głębokim przekonaniem — nabieram absolutnej pewności, że pan dowiedzie niewinności biednego Józia.

— Droga pani Ireno, absolutnie pewne jest tylko to, że pani wygląda wprost ślicznie w tej piżamie. I nic więcej... Lecz wróćmy do przerwane go opowiadania. Domyślam się, że konflikt pomiędzy panią a panem

Ludwikiem wywołało pani żądanie, by mąż wręczył prawdziwy testament rejentowi... Czy to żądanie nie miało być ze strony pani pewnego rodzaju rewanzem za małżeńską niewierność?

— Przykro mi bardzo, że pan mnie tak źle sądzi.

— Broń Boże, ja tylko pytam... A jeśli pani wyrzuciłam przykrość tym pytaniem, to bardzo przepraszam. — Ujął spoczywającą na kółdrze dłoń Ireny i ucałował ją gorąco.

— Byłam pewna — rzekła młoda wdowa z uśmiechem nie pozbawionym odcienia ironii, że pan chce znowu wręczyć mi jakąś karteczkę.

— Dlaczego?

— Bo kiedyś w jadalni wygłosił pan ognistą filipikę przeciwko zwyczajowi całowania kobiet w rękę. A tymczasem teraz?...

— Odbiegamy od tematu naszej rozmowy — stwierdził kwaśno. — Zatem pani zażądała od męża, aby oddał we właściwe ręce skradziony testament...

— Tak. Zażądałam tego już w tę noc, w którą zginął Jan Bolton. Oczywiście mąż wyśmiał mnie i nazwał skończoną idiotką. *Przecież to, czego się domagasz, jest sprzeczne z naszymi interesami*, perorował z oburzeniem, *przecież stryj mnie wydziedziczył, więc muszę zniszczyć ten testament, a wtedy stanę się jego spadkobiercą na mocy ustawy...* Odpowiedziałam mu na to, że ja stanowczo nie chcę korzystać z majątku zdobytego z pomocą nędznego oszustwa i z cudzą krzywdą... Na skutek tej sprzeczki, tegoż dnia rano zatelegrafowałam do Józefa, aby natychmiast przyjechał...

— To było siódmego maja rano, a tegoż dnia wieczorem otrzymała pani jakąś depezę, którą pani

wrzuciła do kominka.

— Pan ma doskonałą pamięć — pochwaliła go. — Istotnie, tegoż dnia otrzymałam odpowiedź od Józefa, że przyjechać nie może, gdyż... gdyż chwilowo nie ma pieniędzy na podróż. Posłałam mu nazajutrz pięćdziesiąt złotych w poleconym liście, który notariusz zabrał z sobą do miasta i nadał na pocztę...

— No, dobrze, dobrze, ale dziwi mnie cośkolwiek, że pan Moll bez protestu przyjął... powiedzmy, że to była nawet pożyczka... przyjął pieniądze od kobiety. Pani daruje szczerść, lecz...

— Nie rozumiem — wtrąciła zdziwiona, dlaczego by się miał krępować; takie pożyczki między rodzeństwem są...

— Rodzeństwem?! Pani jest jego...

— ...jego siostrą, pan o tym nie wiedział?

— Nikt tu o tym nie wie dotychczas, przez co snuliśmy przeróżne domysły i...

— Oczywiście — przerwała mu z goryczą — większość ludzi znajduje szczególne upodobanie w przypisywaniu bliźnim najgorszych brudów... Więc wy tu przypuszczaliście, że Józef jest moim kochankiem, co? Pan również?

— Byłbym kłamcą, gdybym temu przeczył... Ale to pani wina! Bo i po co ta konspiracja? Te depesze? Ten jego przyjazd nocną porą?!

— Były po temu ważne powody. Widzi pan, mój brat i Ludwik nienawidzili się od dawna; Józef był zawziętym przeciwnikiem mojego małżeństwa z Ludwikiem i zawsze mówił mi o nim najgorsze rzeczy. Nie wierzyłam temu, niestety. Poniewczasie przekonałam się, że miał rację... Pewnego razu, a było to jeszcze za moich

narzeczeńskich czasów, Józef, który zawsze miał żyłkę do kart, zgrał się do nitki. Za namową Ludwika zrobił wielkie łajdactwo, sfalszował podpis na wekslu. Ten weksel Ludwik skwapliwie wykupił i od tej pory miał mojego brata niejako w ręku... Teraz pojmuje pan, dlaczego Józef trochę obawiał się mojego męża...

— Tak — przyznał Michał — teraz jestem już nieźle zorientowany w sytuacji. — Umilkł na chwilę, gdyż wydało mu się, że z zewnątrz coś się otarło o drzwi... — Ale wróćmy do wypadków przedwczorajszej nocy; odnoszę wrażenie, że pani celowo unika opisu właściwego zajścia z mężem...

— A pan celowo do niego wciąż wraca — odparła niechętnie.

— Czy panią to dziwi? Wasza rozmowa musiała trwać z godzinę i...

— O, dłużej! Pamiętam, jak zegar w hallu jął wybijać trzecią.

— No, proszę! A o godzinie czwartej pani mąż już nie żył; czy nie zdaje sobie pani sprawy z tego, jak ważne jest dla mnie ustalenie, co się działo w tej ostatniej godzinie jego życia?!

— Działy się — odrzekła z westchnieniem — rzeczy nad wyraz przykre... przesmutne... i wstrętne! — Ostatnie słowo wypowiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem, po czym odwróciła głowę... — Od samego początku naszej rozmowy Ludwik pił... Pił wciąż, choć błagałam go, by... Och, przecież wiedziałam z doświadczenia, że on po pijanemu... Nie omyliło mnie przecucie, chociaż łudziłam się, iż po tym, co zaszło z Lidią... I nagle...

— Dlaczego pani mówi teraz tak chaotycznie?

— I nagle — powtórzyła głośniejszym głosem, pragnąc snadź uniknąć odpowiedzi na to uzasadnione pytanie Michała... — nagle zaczął mnie dusić... Gdy spostrzegł, że słabnę, przeraził się. Przeniósł mnie na fotel stojący tuż koło okna i szybko okno otworzył, licząc widać na to, iż świeże ranné powietrze mnie ocuci. Otworzył okno, wyjrzał na zewnątrz i stanął jak wryty. Potem zaklął ordynarnie. Warknął: *Oknem włączysz?! Czekaj, lotrze!...* Zawrócił na pięcie i wybiegł jak szalony z pokoju, nie zamykając nawet drzwi za sobą. Pomimo całego swojego przygnębienia, byłam mocno zaintrygowana zachowaniem Ludwika. Walcząc z szalonym osłabieniem, dźwignęłam się, wyjrzałam przez okno i po chwili dostrzegłam mojego męża. Szedł szybko, niosąc jakąś bardzo długą drabinę... Wtem zamroczyło mnie. Osunęłam się na fotel, a potem... potem to już naprawdę nie wiem, co było dalej. Prawdopodobnie zemdlalam...

— Tak, zemdlala pani — potwierdził Michał, zacierając dłonie; minę miał bardzo zadowoloną. — Pani informacje wyjaśniły mi wiele, niemniej w łańcuchu wydarzeń tej tragicznej godziny o świecie znajduję jeszcze jedną lukę... Powiedziała pani, że mąż zaczął panią dusić. Dlaczego? Tak ni stąd, ni zowąd? Musiała pani w jakiś sposób sprowokować ten wybuch.

Błysk gniewu strzelił z oczu Ireny.

— Pan nazywa prowokacją rozpaczliwy obronę kobiety gwałc... Och, nic, nie! Te sprawy do rzeczy nie należą i nic więcej nie powiem!

— Nie żądam już nic więcej — odparł miękko, łagodnie.

Mówił szczerze. Wiedział teraz naprawdę wszystko, co zaszło tutaj na godzinę przed tym, gdy padł fatalny

strzał o świecie; w wyobraźni odtwarzał sobie tragiczną scenę beznadziejnej walki pomiędzy słabą kobietą a pijanym brutalem, który wprawdzie znalazł sobie kochankę i godził się na rozwód, ale pod wpływem alkoholu zapragnął jeszcze raz skorzystać z praw małżonka... Poznawszy prawy charakter Ireny, która wolała zrezygnować z milionów Jana Boltona, niż maczać ręce w oszustwie, poznawszy jej odrazę do wszelkiego kłamstwa, Michał starał się uzmysłwić sobie bezmiar jej depresji psychicznej w momencie, gdy Ludwik dopiął swego... *Całe szczęście, sądził, że ona nie przeczuwa, iż Lidia oddawała mu się także i tu, na tym samym łóżku!* I zaledwie ta myśl przemknęła mu się przez głowę, Irena, ukrywszy twarz w dłoniach, spytała cichuteńko:

— W tę noc, w którą ja po raz pierwszy spałam w pokoju ciotki, pan znalazł bransoletkę Lidii... tutaj, prawda?

Nic nie odpowiedział na to, zzymając się w duchu na gadulstwo kobiet w ogólności, a pani Elżbiety Reyowej w szczególności; nikt inny bowiem, tylko ona musiała o tym donieść Irenie.

— Wiedziałam o tym — ciągnęła dalej chora — a świadomość tego... w tej przeklętej chwili... była... była... — wybuch płaczu zakończył te zwierzenia...

— Pani Ireno!... Droga pani Irenko, proszę się uspokoić...

Zerwał się z krzesła, przyskoczył do łóżka i delikatnie zaczął gładzić jej włosy, powtarzając w kółko swą prośbę, aby się opanowała i przestała ronić łzy, których sprawcy jej cierpienia nie byli wdarcami. Pochyliwszy się, całował jej dłonie przyciśnięte kurczowo do twarzy, a potem, w nagłym odruchu czułości, przywarł ustami do

czoła Ireny...

— Przepraszam! — zabrzmiał tuż za nim głos męski, nabrzmiął wściekłością. — Nie wiedziałem, że państwu, aż tak przeszkodzę!

Michał zaskoczony mocno odwrócił się na pięcie. Przed nim stał Witold Rey. Jego dłoń zaciśnięta w twardy kułak i wzniesiona przed chwilą jakby dla zadania ciosu, opadła powoli. W jego oczach tliła się nienawiść i coś... co Michał określił w myśli żądzą mordu!

ROZDZIAŁ XXII

Nazajutrz, czyli dnia 13 maja przyjechał znowu Henryk Peschel.

— Mieliśmy tyle roboty w kancelarii, że doprawdy nie mogłem przybyć wcześniej — usprawiedliwił się — za to teraz wezmę się do pracy ostro. Przede wszystkim muszę skończyć inwentarz spadku.

— Przede wszystkim musi pan zaspokoić naszą uzasadnioną ciekawość — rzekła Lidia Torelli.

— To znaczy?

— To znaczy wyjaśnić nam, jakie skutki prawne wywołała śmierć mojego kuzyna Ludwika.

— Siostra ma na myśli sprawy spadkowe.

— Moim zdaniem — dorzuciła ze swej strony Magdalena Dorn — uniwersalną spadkobierczynią całego majątku jest teraz moja córka.

— Na jakiej podstawie?

— Na tej, że według testamentu miała dziedziczyć ona i Ludwik; a skoro Ludwik nie żyje, to jego część przypada Lidii.

— Łaskawa pani jest w błędzie. Przede wszystkim pani Lidia nie była mianowana spadkobierczynią, tylko

otrzymała legat! Po drugie pan Ludwik był żonaty, zatem jego część otrzyma pani Irena.

— Cooo?! Ona?! Ona, która nie należy do naszej rodziny?!

— Ta przybędą ma zgarnąć cztery piąte części majątku?!

— Ależ to skandal!

— Nigdy na to nie pozwolę! Ja będę skarżyć! Apelować!

— Rekurować! Kasować! Egzekwować! — dorzucił z humorem Michał, po czym cofnął się przezornie za plecy Peschela, gdyż mina pani Magdaleny Dorn świadczyła, że snadnie tu może dojść do rękoczynów...

Henryk Peschel odznaczył się anielską cierpliwością; przez dobre pół godziny słuchał w milczeniu narzekań Lidii, Magdaleny i Julii, oburzonych tą nową „krzywdą” i „niesprawiedliwością” ustawy, po czym zapytał najuprzejmiej, czy może uważać *niezmiernie interesującą dyskusję* za skończoną.

— Ach, pan chce już zabrać się do swojej pracy?

— To także, łaskawa pani. Przedtem jednak pragnąłbym złożyć kondolencje wdowie po panu Ludwiku... Nie wiem tylko, czy mógłbym być teraz przez nią przyjęty.

— Pójdę zapytać...

Michał Bolton ruszył w stronę schodów, lecz zaledwie uszedł trzy kroki, ktoś chwycił go za ramię, ścisnął mu je brutalnie. Kto? Oczywiście zazdrosny Witold Rey!

— Pan daruje, ale ja to załatwię — rzekł z lodowatą uprzejmością.

— Proszę bardzo, ze mną, jak z dzieckiem...

Witold wrócił po chwili, przynosząc wiadomość, że Irena zejdzie tutaj za chwilę, gdyż czuje się dzisiaj nadspodziewanie dobrze.

— Wyzdrowiała — wtrąciła Julia zjadliwie — na wieść o przyjeździe zastępcy notariusza, wyzdrowiała błyskawicznie!

— Czyż należy się dziwić? Dla czterech milionów złotych warto zmartwychwstać, a co dopiero wyzdrowieć!

— Zmartwychwstać?! — mruknął Michał zelektryzowany; bezmyślne gadulstwo Magdaleny Dorn mimo woli nasunęło mu na myśl koncepcję wręcz fantastyczną, żeby nie rzec: wariacką. Pogwizdując sobie jakiegoś ognistego marsza, wybiegł co prędzej do ogrodu...

Wyszli za nim oboje Dorazilowie, nie chcąc się spotkać z Ireną i z tego samego powodu cały „garnitur” Dornów. Tylko Witold Rey z matką pozostał w hallu, jeśli nie liczyć Henryka Peschela.

— A może wolałby pan pomówić z Irenką bez świadków? — domyśliła się Elżbieta Reyowa.

— Niewątpliwie tak, jeżeli mam być szczerzy — odparł Peschel. — Proszę mi tego nie brać za złe.

— Ale skądże!

— Łaskawa pani rozumie, że chodzi tu o sprawy majątkowe i...

— Niechże się pan nie tłumaczy, drogi panie, przecież sama zaproponowałam... A zatem, dowidzenia... Witoldzie proszę cię ze mną...

Wyszli i niebawem Henryk Peschel pozostał w hallu sam, jak tego pragnął, lecz jego cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę; Irena zjawiła się dopiero w pół godziny po odejściu stąd Reyów.

— Bardzo przepraszam, że kazałam panu tak czekać

na siebie, ale wszystkiemu winien nasz długi pobyt w Jeleniowie. Sądząc, że zabawimy tutaj najwyżej dwa dni, zabrałam z sobą tylko jedną zmianę bielizny i teraz muszę co drugi dzień prać, bo...

— Pani sama pierze?! Tymi ślicznymi rączkami?!

— Nic im się nie stanie, lecz swoją drogą chciałabym już stąd odjechać jak najprędzej!

— Jak to! Pani nie chce tutaj pozostać na stałe?!

— Boże uchwaj!

— Ależ, pani Ireno! Przecież po śmierci pana Ludwika pani jest uniwersalną spadkobierczynią Jeleniowa! I pani...

— Jestem spadkobierczynią — wtrąciła — ale na zasadzie sfałszowanego testamentu.

— Coo?! Nie rozumiem...

— Zaraz panu wszystko wyjaśnię.

Nie wszystko mu wyjaśniła co prawda i była mu szczerze wdzięczna, że nie zadręczał jej niedyskretnymi pytaniami, jak wczoraj Michał, lecz powtórzyła to, co istotne, co dotyczyło obydwóch testamentów...

Henryk Peschel słuchał z natężoną uwagą, niekiedy chwiejąc głową na znak ogromnego zdziwienia.

— To co mi pani powiedziała — oświadczył w końcu — jest wprost niesłychaną rewelacją!

— Tak... Teraz pan wie, że ja w rzeczywistości nie mam żadnych praw do spadku po świętej pamięci Janie Boltonie.

— Ja wiem i pani również, lecz chyba nikt więcej?!

Poruszyła głową poziomo. Przeczyła, bo przecież Michał wiedział także, od wczoraj. Ale Henryk Peschel zrozumiał ten gest opacznie.

— Zatem nic straconego, droga pani Ireno — rzekł,

zniżając głos instynktownie. — Teraz poproszę o trochę cierpliwości, o wysłuchanie z uwagą tego, co zaraz powiem... Jako zastępca notariusza prowadzącego postępowanie spadkowe powinienem natychmiast zaprotokołować pani zeznania. Jako **człowiek** chcę postąpić inaczej! Chcę przyjść pani z pomocą... Proszę mi nie przerywać, droga pani!... Czy pani ma majątek?

— Nie. Posiadam skromne meble w trzypokojowym mieszkanku, to wszystko.

— Czy pani ma zapewnioną jaką emeryturę na wypadek śmierci męża?

— Nie, mój mąż nie był urzędnikiem.

— Czyli nie posiada pani nic, grozi pani nędza!

— Mogę pracować, nie wstydzę się żadnej pracy.

— Bardzo to pięknie, ale gdzie pani znajdzie zajęcie dzisiaj, gdzie tyle tysięcy wykwalifikowanych pracowników szuka na próżno jakiegokolwiek posady?!... To jedna strona medalu, a druga nie przedstawia się lepiej. Mam na myśli Jeleniów... Gdyby ten olbrzymi majątek miał przypaść jakiej instytucji dobroczynności, gdyby miał zapewnić byt setkom sierot czy starców, pani skrupuły byłyby na miejscu, a pani zrzeczenie się praw do tego spadku byłoby wspaniałym, szlachetnym gestem, godnym takiego anioła jak pani... Lecz do tego nie dojdzie nigdy! Jan Bolton miał rodzinę. Ta olbrzymia scheda, jeśli pani z niej zrezygnuje, wpadnie w łapy Dornów, Reyów, Dorazilów, całej tej hołoty, która panią obgaduje, oczernia, nienawidzi!

Bardzo długo i przekonywująco mówił Henryk Peschel na temat ewentualnych następstw *nierozsądnego kroku* Ireny, ale... bez skutku.

— Jestem panu serdecznie wdzięczna za tyle

dowodów życzliwości i troskliwości o mój los — rzekła, podając mu rękę — lecz z pańskich rad skorzystać nie mogę. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to byłoby z mej strony nieuczciwością. Przystępstwem! A bogini Nemezys...

— Cieszę się, że pani wpada w ton żartobliwy.

— Bynajmniej! Jestem bardzo przesądna, a tragiczny zgon mojego męża utwierdza mnie w tej pasji do zabobonów. Wydaje mi się, że Ludwika nie byłoby spotkało to, co go spotkało, gdyby nie był sfalszował testamentu i...

— A skąd pani wie, że sfalszował? — wtrącił Peschel żywo. — Może obydwa testamenty napisał własnoręcznie Jan Bolton?

— Jak to, jedna osoba może pozostawić dwa testamenty?

— Nawet sto! Są maniacy, którzy regularnie co jakiś czas układają nowy testament, wydziedziczając raz tych, drugim razem innych krewnych. O, znam takich bardzo dobrze z mojej praktyki notarialnej.

— To mi pan powiedział nowość... No, a który z tych testamentów jest ważny w razie śmierci spadkodawcy?

— Zawsze ten, który nosi datę **najpóźniejszą!**... I jestem pewny, że coś podobnego wydarzyło się tutaj... Dlatego też, droga pani Ireno, dopóki pani nie ma absolutnej pewności, że mąż sfalszował testament, nie powinna pani kłaść jego pamięci tym podejrzeniem... A co gorsza, mówić o swoich przypuszczeniach do osób trzecich!

Po takim dictum Irena zaczerwieniła się aż po uszy i od razu straciła ochotę do dalszej rozmowy. Myśl, że jeśli

Peschel ma rację, to ona skrzywdziła zmarłego męża, wstrząsnęła nią do głębi. *Przebac mi Ludwiku*, powtarzała sobie w duchu, a potem zaczęła się modlić za spokój jego duszy...

— Pani chce teraz pozostać sama, zgaduję.

— Tak.

— Więc odchodzę.

— Nie! To ja stąd odejdę... Ja! No, proszę się nie upierać. Mam tu w ogrodzie swoją „świątynię dumania” i tam sobie pójdę...

Skierowała się ku drzwiom, wiodącym na taras, lecz za nim do nich dotarła, do hallu wpadł Michał.

— Nie widzieliście państwo Macieja? — krzyknął.

— Szukam tego starego grzyba po całym Jeleniowie, ale na próżno. Jakby się zapadł pod ziemię!... To mi zaczyna wyglądać wręcz podejrzenie!

Irena wzruszyła ramionami.

— Panu jest tutaj wszystko podejrane — zauważyła z przekąsem i wyszła z hallu.

— Tak, a szczególnie ten przekłety zapaszek trupiarni — odburknął.

— *Trupiarnia*... Przykry to epitet dla jeleniowskiego pałacu, ale, zasłużony, niestety — przyznał Peschel. — Jan Bolton zginął w nocy z szóstego na siódmy maja, a pan Ludwik onegdaj, czyli jedenastego; w ciągu pięciu dni dwa tragiczne zgony.

— A ja czuję jeszcze trzeciego trupa!

— Niechże pan nie wywołuje wilka z lasu! — Peschel podszedł szybko do stolika i zgiętym palcem odpukał trzy razy w spód blatu. Pan sądzi, że jeszcze kogoś trzeciego ma tutaj spotkać nieszczęście?

— Już spotkało!

— Kogo, na Boga?!

— Ba, tego właśnie nie wiem, nikogo mi z domowników nie brakuje.

— Wspominał pan coś o jakimś Macieju, jeśli się nie mylę... Kto to jest właściwie?

— Stary lokaj... Tak, jego nie mogę odszukać teraz, zapewne poszedł na folwark, albo zasnął gdzieś w ogrodzie... Ale wczoraj był i przedwczoraj, a pomimo to czułem ten obrzydliwy smród gnijącego ciała... Wie pan co?

— *Wiem, że nic nie wiem*, jak mawiał Sokrates.

— I to racja. Ja także nic nie wiem, ale mam dziwny instynkt. Ten instynkt pozwolił mi zwietrzyć tutaj trzeciego nieboszczyka, zanim go poczuły moje nozdrza — odparł Michał, patrząc w zamyśleniu na antyczny zegar osłaniający skrytkę nad kominkiem.

— Hm, ja tu nie czuję absolutnie nic.

— Niech pan wyjdzie na który balkon drugiego piętra, to pan poczuje... Ale wracając do mojego instynktu, muszę panu powiedzieć jeszcze jedno.

— Słucham ze szczerym zaciekawieniem.

— Otóż, panie Peschel, mój instynkt mówi mi wciąż, że skoro znajdę te ukryte zwłoki, to wreszcie będę miał w ręku klucz całej tajemnicy!

ROZDZIAŁ XXIII

Przy obiedzie usługiwał kucharz Marcin, mocno niezadowolony, że musi w tej robocie wyręczać nieobecnego lokaja.

— Dawniej Maciej nigdy nie wydał się z pałacu — mruknął — a teraz ma urlop co drugi dzień bez mała.

— To prawda. Pan administrator powinien wziąć pod uwagę, że obecnie, gdy tyle osób tu mieszka, należałoby urlopy służby ograniczyć do minimum.

Kazimierz Marski spojrzał na Julię Doraziłową ze zdziwieniem.

— Ja? Ależ on się bynajmniej do mnie nie zwracał. Sądziłem, że to ktoś z państwa go zwolnił.

— Ja nie.

— Ani ja.

— Ani my.

— Ja również nie.

— Więc kto?

— On sam, sobie udzielił urlopu, jak z tego widać.

— To niepodobne do Macieja — twierdził Marski.

— A jednak — wtrącił kucharz — nasz Maciej zmienił się bardzo od jakiegoś czasu.

— Od śmierci mego świętej pamięci brata — westchnęła Elżbieta.

— Wcześniej, pani dziedziczko, wcześniej.

— O! — zainteresował się Michał Bolton. — To ciekawe!... A na czym polega ta zmiana?

Marcin pozwolił się chętnie pociągnąć za język, dziwna zmiana w postępowaniu starszego *kolegi* już od dawna *leżała mu na sercu*, i nie tylko jemu, ale również stangretowi Mateuszowi oraz jego żonie. Bowiem dawniej po skończonej robocie grywali razem w karty lub czytali książki, które Maciej przynosił im z biblioteki pana dziedzica, i wypełniali sobie wieczory tą rozrywką. A od mniej więcej dwóch tygodni stary lokaj zupełnie zerwał *stosunki towarzyskie* ze swoimi sąsiadami, zdziwaczał, stał się odludkiem; nawet kolację jadał osobno, po czym zamykał się na klucz w swojej izbie, czego nigdy przedtem nie czynił.

— On pewnikiem niedługo zemrze — wnioskował strapiiony Marcin.

— Ale zanim to zrobi — mruknął Michał Bolton w zamyśleniu — muszę wyjaśnić, jaki jest powód jego samowolnych eskapad z pałacu...

Wyjaśnił to sam Maciej, który powrócił do domu pod wieczór. Kiedy całe towarzystwo zebrało się w jadalni, sędziwy lokaj położył na stole przed Ireną kartkę papieru, na której było nagryzmołone:

POSZŁEM RANO NA GRUB MEGO PANA NO I
TAM ZASNOŁEM ZA CO WIELMORZNE PAŃSTWO
POKORNIE PSZEPRASZAM, MACIEJ.

Kartka ta obiegła cały stół dokoła, wywołując różne uwagi; Wawrzyniec pokpiwał z błędów ortograficznych, Elżbietę rozczuliło przywiązanie wiernego sługi do jej

zmarłego brata, itp., itp., lecz Julię uderzyło coś innego:

— Dlaczego on złożył tę kartkę właśnie przed Ireną?!

— Ha, widać zna się na prawie spadkowym — rzekł Michał z uśmiechem.

— Widocznie ktoś ze służby poinformował go już, że po śmierci pana Ludwika Jeleniów przechodzi na własność pani Ireny — sądził Marski.

To oświadczenie ponownie wzburzyło Dornów i Dorazilów nie mogących się ani rusz pogodzić z myślą, że olbrzymi spadek po Janie Boltonie przypadnie w udziale żonie Ludwika, „przybłędzie” nie należącej właściwie do rodziny... Posypały się znowu złośliwe uwagi i nader przejrzyste aluzje pod adresem Ireny, która znosiła to w milczeniu przez dłuższy czas, aż w końcu wybuchnęła:

— Czego wy chcecie ode mnie?! Czy myślicie, że ja pragnę zatrzymać ten majątek dla siebie? Że mnie na nim zależy?

— Skądże znowu — odparła Julia szyderczo. — Komu by tam zależało na paru milionach! Jestem głęboko przekonana, że wszystko rozdasz ubogim.

— Tak właściwie powinna bym postąpić, bo wy najmniej zasługujecie na to, by odziedziczyć choćby maleńką część spadku po Janie Boltonie. I nie doprowadzajcie mnie do tego, abym to uczyniła, abym zmieniła swój pierwotny zamiar!... Nie wytrącajcie mnie z równowagi, ostrzegam!

— Kpię sobie z twoich ostrzeżeń — krzyknęła Julia, lecz Magdalenę Dorn trochę zaintrygowało przedostatnie zdanie Ireny.

— Czy wolno wiedzieć, jaki był twój *pierwotny zamiar*? — spytała.

— Wyjechać stąd natychmiast po pogrzebie mojego męża...

— A Jeleniów sprzedać?

— Nie. Do tego nie mam prawa, jak w ogóle nie mam żadnych praw do spadku po Janie Boltonie!

Na chwilę zapanowało milczenie, które przerwał okrzyk Julii:

— Słyszeliście? Przyznała, że nie ma żadnych praw. Sama przyznała!

— Tego jednakże nie rozumiem — mruknął Marski.
— Uniwersalnym spadkobiercą został pan Ludwik Bolton, a ponieważ zmarł również, więc po nim dziedziczy pani... Tak nam przynajmniej mówił pan Peschel.

— Zaraz wam to wyjaśnię... Jan Bolton pozostawił dwa testamenty...

— Dwa testamenty?!

— Pierwsze słyszę!

— Skąd ty wiesz o tym, że dwa?!

— Gdzie ten drugi?!

— Pozwólcie mi skończyć, to się dowiecie wszystkiego... W pierwszym testamencie z dnia siódmego marca uniwersalnym spadkobiercą zamianował Jan Bolton mojego męża...

— Powiedzmy, że Jan Bolton — wybąkał Michał, co wywołało gwałtowny protest Ireny:

— Dopóki pan nie potrafi udowodnić, że nie on, nie wolno panu rzucać krzywdzących podejrzeń na nikogo, a zwłaszcza na tych, którzy już nie mogą się bronić! — zawołała, mierząc młodego sportsmena karcącym wzrokiem.

— Wczoraj pani podziwiała moją domyślność, a dziś...

— A dzisiaj tego bardzo żałuję!

— O! Więc ten młodzieniec już wczoraj o tym wiedział?! Właśnie jego wybrałaś sobie na powiernika?

— Czyż nie zasłużyłem na to? — odparł Michał, patrząc wyzywająco na Julię. — W przeciwieństwie do większości osób tu obecnych, umiem trzymać język za zębami, nie lecę na pieniądze Jana Boltona i nie silę się na kiepskie złośliwości, którymi głupcy próbują pokryć swoje ubóstwo umysłowe, czyli posiadam dostateczne kwalifikacje na powiernika pięknych kobiet.

— Drodzy moi, odbiegliśmy od tematu.

— Słusznie, Magdaleno, ale nie moja w tym wina... O pierwszym testamencie nie chcę się dłużej rozwodzić, znacie go wszyscy, bo pan Peschel odczytał go wam jeszcze wówczas, gdy leżałam chora... Lecz Jan Bolton napisał także drugi testament.

— Kiedy?

— Właśnie krytycznej nocy z dnia szóstego na siódmy maja, mniej więcej na godzinę przed swoją śmiercią.

Wiadomość ta wywołała znowu liczne okrzyki zdziwienia, aż wreszcie praktyczna ciotka Magdalena zaczęła się zastanawiać, który z tych dwóch testamentów będzie ważny i obowiązujący.

— Oczywiście ten drugi... Tak mnie zapewnił pan Henryk Peschel, którego dzisiaj zainterpelowałam w tej sprawie.

— A gdzież jest ten drugi testament?

— U mnie.

— U ciebie?! Czy wolno wiedzieć, jakim cudem dostał się w twoje ręce?

— Takim, że mój mąż go znalazł.

— I nic nikomu o tym nie wspomniał?!

— Dlaczego?!

— Dlatego, że wołał utrzymać w mocy testament dawniejszy, który jego czynił spadkobiercą, podczas gdy drugi testament...

Irena nie mogła dokończyć zdania, jej szczere wyznanie wywołało strasliwą wrzawę; nawet zrównoważony Marski nie umiał się powstrzymać od głośnego potępienia Ludwika Boltona, a cóż dopiero mówić o Dornach, o rekordowo pyskatej Julii Dorazilowej...

Irena zerwała się z krzesła.

— Dość tego! — krzyknęła. — Jeżeli nie zamilkniecie natychmiast, nie oddam wam tego testamentu!

Ta pogroźka wywołała natychmiast pożądany efekt, cała rozkrzyczana zgraja chciwców umilkła, jak na komendę.

— Mój mąż uczynił źle — ciągnęła dalej Irena — lecz nie macie prawa go potępiać, skoro ja zdecydowałam się jego błąd naprawić?

— Irenko! — Magdalena Dorn podeszła do niej i zaczęła ją ścisnąć gorąco. — Wybacz starej ciotce, kochanie.

Julia Dorazilowa nie pozwoliła się zdystansować.

— Nie poznali się tutaj na tobie, słodka Irucho — zawołała, rzucając się jej na szyję — tylko ja jedna nie wątpiłam nigdy w twoją szlachetność i bezinteresowność, maleństwo moje. Ja zawsze mówiłam, że...

— Nie trzeba powtarzać — wtrącił Michał, oburzony tą perfidią — doskonale pamiętamy, co pani tutaj zawsze mówiła o pani Irenie!

— Irko droga, a gdzie ten testamencik?

— W naszym pokoju, w biurku; oddam go wam po kolacji.

— Kolacja już właściwie skończona...

Wszyscy powstali żwawo od stołu i z mniejszą lub większą natrętnością zaczęli nalegać na Irenę, aby jak najprędzej pokazała im ów drugi testament. Tylko Marski doradzał cierpliwość, uważając, że powinno się zaczekać do jutra, do ponownego przyjazdu Henryka Peschela, ale wysmiano jego „formalistyczne” skrupuły.

— Przecież świętej pamięci Ludwik już sam odpieczętował ten dokument — przypomniała mu Magdalena. — Przecież Irka go też czytała i...

— Cześćciowo, ciociu, tylko początek czytałam.

Tak rozmawiając, okrążyli hall i z obiegającego go ganku weszli do pokoju, który do dnia swojego zgonu zajmował tu Ludwik Bolton.

— Testament jest w środkowej szufladzie — oznajmiła Irena i dodała, że kluczyk leży obok kałamarna.

— Jest! — huknął Wawrzyniec, który pierwszy dobiegł do biurka. Pochwycił kluczyk w drżącą dłoń, odemknął środkową szufladę, wyciągnął ją na całą długość i nagle mina mu zrzedła. — Ależ tu nic nie ma! Pusta!

— Niemożliwe! Sama go tam dzisiaj rano włożyłam, bo przedtem był w walizce.

— Może włożyłaś go do innej szuflady, nie do środkowej?

Nie czekając odpowiedzi, Magdalena na wyścigi z Lidią zaczęły wyciągać jedną szufladę po drugiej, ale z tym samym skutkiem; wszystkie były puste. Potem przeszukano skrupulatnie wszystkie walizki oraz wszystkie zakamarki pokoju i znowu nic. Prawdziwy testament Jana Boltona, skradziony niegdyś przez Ludwika, dzisiaj ponownie

zniknął!

— Skradziono go!

— Lecz kto, kto go ukradł?!

— Kto?! — Julia Dorazilowa spojrzała zezem na pobladłą Irenę, która pochwyciła to spojrzenie i wzburzona do głębi odparła:

— Mnie znów posądzasz?! Czy myślisz, że pisnęłabym choć słowem o tym dokumencie, gdybym go chciała ukryć przed wami?!

Tym razem wszyscy stanęli po stronie Ireny, nawet Julia, zastanowiwszy się, zrozumiała całą bezsensowność swojego podejrzenia.

— Więc kto, kto skradł testament?

— Ten, który o nim wiedział o dzień wcześniej, niż my — warknął Witold Rey, szukając kogoś wzrokiem. — Gdzież on się podział?

— Kto?

— No, ten szczeniak!!... Pardon, pan Michał Bolton.

— Rzeczywiście!... Przed chwilą stał obok mnie

— Przy oknie stał, jeśli chodzi o ścisłość.

— I stoi za portierą nadal... Panie Michale!

— Nie, to przeciąg nią porusza.

Witold Rey podbiegł do okna, które było otwarte na oścież, ale zasłonięte od strony pokoju portierą i odgarnął ją na bok energicznym ruchem.

— Co, u licha?! — krzyknął. — Czy ten wariat wyskoczył przez okno? Z pierwszego piętra?!

Nie zdołali rozwiązać tej zagadki i musieli poprzestać na stwierdzeniu, że młody sportsmen ulotnił się stąd niewiadomo jak, ani kiedy, ani...

— ...dlaczego?! Dlaczego zniknął właśnie **teraz**?!

ROZDZIAŁ XXIV

Mniej więcej o tej samej porze stangret Mateusz wymknął się ze stajni, gdzie nadal spędzał noce z powodu rzekomej obawy przed koniokradami, wszedł na dach wozowni i tą drogą wydostał się poza obręb zabudowań. Po niemiłej przygodzie, jaka go tu spotkała onegdaj o świcie, postanowił wyszukać sobie bardziej zaciszną „garsonierę” i pragnąc się naradzić w tej materii ze swoją dulcyneą, wyruszył do wsi. Wieś Jeleniów dzieli od jeleniowskiego pałacu z górą dwa kilometry, w dodatku noc była diabelnie ciemna, ale czyż namiętny kochanek dba o takie drobnostki? Przenigdy! Nie dbał więc o nie Mateusz i nie bardzo kłął, kiedy w egipskich ciemnościach stoczył się na łeb po stromym zboczu pagórka. Za to przystanął, nad słuchując przez dłuższą chwilę, gdy pochwycił odgłos czyichś kroków; nie po raz pierwszy wydało mu się w czasie dzisiejszej eskapady, że jakiś człowiek idzie za nim krok w krok od samego pałacu.

— O rety! Może to moja stara?! — przeraził się.

Odczekał w swojej kryjówce kilka minut, a potem ruszył w dalszą drogę pędem, wiedząc, że jego korpulentna żona (jeśli to ją licho przyniosło) nie zdoła dotrzymać mu

kroku. Heroiczny bieg na przełaj w mrokach skończył się fatalnym finiszem w stawku za plebanią, a ten przykry wypadek zapoczątkował serię podobnych przygód tej pechowej dla Mateusza nocy. Zaledwie okrążył plebanie i wszedł pomiędzy pierwsze stodoły, opadła go sfera psów, z których najzaciętszy zabrał sobie na pamiątkę okazały strzep jego spodni. Mateusz pochwycił kamień, cisnął nim na oślep w kierunku napastliwego kundla, ale zamiast w niego trafił w okno jakiejś chałupy, gdzie dźwięk tłukącego się szkła poderwał wszystkich na nogi i Mateusz musiał znowu umykać co tchu. Raz „wylądował” w pokrzywach, drugi raz w pustym na szczęście dole do gaszenia wapna, aż w końcu po długich tarapatach przybył pod okienka chałupy, w której mieszkała jego bogdanka.

I tutaj dopełniła się miara jego dzisiejszych nieszczęść. Wioskowy wamp, nie przeczuwając snadź wizyty stangreta z pałacu, przyjmował tej nocy innego fatyganta, rosłego parobczaka, największego awanturnika w całym powiecie. Nietrudno sobie wyobrazić, jak „gorącego” przyjęcia doznał Mateusz, gdy wślizgnął się do izby i z jakim pośpiechem ją opuszczał przez to samo okno. A za nim wypadł na dwór zwycięski rywal.

Byłby niewątpliwie zmasakrował nieszczęsnego stangreta, gdyby nie nagła interwencja trzeciej osoby. Tej właśnie, która szła za Mateuszem, jak nieodstępny cień, od pałacu jeleniowskiego. Co się tam właściwie stało, tego Mateusz zrozumieć nie mógł, dość, że jego prześladowca runął nagle na ziemię, a potem zaczął zmykać, pojękując z bólu.

— Zawadził o coś giczołem i stłukł se pysk na kamieniach — przypuszczał pechowy amant; zwolnił kroku, czując, że pościg już mu nie zagraża, a potem nawet przystanął, aby się namyślić, dokąd ma pójść teraz. —

Dokąd? Ano jużci, że do karczmy...

Do karczmy Mateusz zaglądał niezmiernie rzadko, toteż jego wejście wywołało tu pewnego rodzaju sensację. No, i jego wygląd!

— A kto cie, brachu tak oporządził, baba czy psy, he?

Wyższy ponad te i gorsze podejrzenia, pan stangret przemaszerował przez całą długość szynku, usiadł w najciemniejszym kącie i zażądał pół litra czystej; przyznał się też od razu lojalnie, że pieniędzy z sobą nie zabrał, wobec czego prosi o zborgowanie mu tej drobnostki do jutra.

Na temat: *czy mu dać, czy nie dać* wywiązała się gorąca dyskusja wśród „sfer miarodajnych”; córki karczmarza głosowały za udzieleniem nawet największego kredytu przystojnemu stangretowi, który na pewno ma ładną pensję w pałacu, a drugie tyle zarabia z napiwków, zatem jest to klient wypłacalny... natomiast ostrożny Abram zajął w tej sprawie wręcz przeciwne stanowisko.

— Się przypatrz tylko do jego spodni — pouczał córki, wnioskując z oplakanego wyglądu garderoby Mateusza, że wydalono go ze służby, więc jako bezrobotny na żaden kredyt nie zasługuje.

Doświadczonego karczmarza umacniała jeszcze w jego przypuszczeniach żalсна mina stangreta. Nietrudno było z niej wyczytać, że Mateusz ma jakieś wielkie zmartwienie, że przyszedł tu, by *zalać robaka*, a był tutaj przecież niezmiernie rzadkim gościem.

— Koniec z końców — brzmiała ostateczna decyzja — sie mu dziś borgować nie bendzie, powiedziałem i szluss!

Zanosilo się więc na to, że przeklęty pech będzie

Mateusza prześladował aż do końca, że nie pozwoli mu ani na *topienie w trunku swego frasunku*, gdy niczym deus ex machina,¹ nastąpiła ponowna interwencja osoby trzeciej. Osoba ta rzuciła na ladę pięć złotych z taką nonszalancją, jak gdyby to było pięć groszy, poleciła spełnić wszelkie „trunkowościowe” żądania Mateusza, a w końcu dodała:

— I proszę dolać do flaszki ze trzy kieliszki czystego spirytusu.

— Szpyrytussu? Un jest w aptece, ale tu...

— A tu — wtrącił przybyły — macie spirytus również, tylko szmuglowany... No, jazda, panie Abram, bo jak stracę cierpliwość, to...

Coś w godzinę później Mateusz doznał wrażenia, iż nie jest w izbie sam. Podniósł ociężałą głowę i jakby przez mgłę dojrzał przy sąsiednim stoliku człowieka, którego twarz wydawała mu się dziwnie znajomą.

— Skąd ja go znam? — mruknął... Golnął sobie jeszcze jeden kieliszek czystej, zdradziecko wzmocnionej spirytusem i od razu zaświtało mu we łbie. — Aha, z pałacu!... Szszszanowanie wielmożnego pana... Szszszanowanie i pa-am! do nóg, eppp... Nie śmiem zapraszać na eppp, tego łyk...

— Ależ z największą przyjemnością! — Tamten tylko czekał na taką okazję. Natychmiast przysiadł się do stangreta, uścisnął mu dłoń kordialnie i napełnił kieliszki.

— Za wasze zdrowie, Mateuszu!

— Ludzki pan, jak Boga kocham, ludzki! Luuudzki!! — powtarzał rozczulony stangret. — Prawie jak tamten, prawie.

— Jak, kto?

— Ano ten, co miał odziedziczyć Jeleniów. To był porzomny gość.

— Aha, Ludwik Bolton.

Mateusz spojrział na swojego towarzysza ze srogim wyrzutem.

— Widziało mi się, że pan ma głowę na karku, a pan tu... Toć przecie pan Ludwik Bolton... wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie... to był świnia! Oberdrań! Kutwa! Pensyje nam chcioł ucinać!... A tamten, ho, ho...

— Więc któż u pioruna, miał odziedziczyć Jeleniów?!

Okrzyk ten, będący objawem zniecierpliwienia wywołał efekt przeciwny zamierzeniom; wytrzeźwił stangreta i podsycił chłopską podejrziwość.

— A czymu to wielmożny pan tak mnie biorom na spytki?!

Trzeba było wlać w niego drugie pół litra wzmocnionej czystej i stracić całą godzinę, zanim wróciło dawne zaufanie. Pomimo to jednak Mateusz wolał mówić o swoich dzisiejszych nieszczęściach, o haniebnej zdradzie swojej bogdanki, niż o tamtym *porzomnym gościu*. Lecz ów drugi miał niewyczerpane zapasy cierpliwości.

— Biedny Mateuszu! Wiem, że tej nocy rozdarło ci serce... i spodnie również — dodał ciszej — ale właśnie dlatego należy mówić o czymś weselszym...

Wreszcie udało mu się zawrócić rozżalonego stangreta na tory pożądaných zwierzeń. Mateusz zaczął opowiadać, a cała jego historia, długa, chaotyczna i „urozmaicona” pijacką czkawką w pobieżnym streszczeniu wyglądała następująco:

Niemal codziennie jeździł Mateusz do miasta po pocztę. Pewnego razu (było to w ostatnich dniach kwietnia) koło dworca przystąpił do niego jakiś nieznajomy,

oświadczył, że ma interes do Jana Boltona i zażądał, aby go zabrać do Jeleniowa. (Nieznajomy miał z sobą małą walizeczkę.) Zanim jednak wyruszyli z miasta, zaprosił Mateusza do restauracji, prawdopodobnie w tym celu, aby po pijanemu wyciągnąć od niego garść potrzebnych informacji. Lecz obfita libacja miała ten nieprzewidziany skutek, że nieznajomy wstawił się również i zaczął mówić o sobie. Mówił podobno dużo, ale Mateusz był już taki urżnięty, że zapamiętał tylko jedno zdanie: GDY STARY UMRZE, JELENIÓW BĘDZIE MÓJ, BO JA MAM DO SPADKU NAJWIĘKSZE PRAWA!

Po libacji pojechali do Jeleniowa. Nieznajomy nie pozwolił się anonsować, chcąc, jak powiedział, sprawić gospodarzowi miłą niespodziankę. Widocznie jednak niespodzianka nie była zbyt miła, gdyż przez dobre dwie godziny dobiegały aż na dziedziniec pałacu echa zawziętej kłótni. W pewnej chwili Jan Bolton oświadczył podniesionym głosem: — Możesz dziś przenocować pod moim dachem, ale jutro żebym cię tu nie spotkał! — Potem wychylił się przez okno, przywołał Mateusza i polecił mu, by na siódmą rano zajechał bryczką przed bramę, gdyż będzie musiał odwieźć *tego pana* do stacji. Nazajutrz Mateusz wykonał to zlecenie, lecz czekał pod bramą na próżno; dopiero od Macieja dowiedział się, że nieznajomy opuścił Jeleniów już o świcie. Gdy o tym doniesiono Janowi Boltonowi, ten wzruszył ramionami i mruknął pod nosem: — Tym lepiej, że poszedł pieszo; nie warto fatygować koni dla takiego oszusta...

Dzisiejszy kompan Mateusza aż podskoczył na dźwięk ostatniego słowa.

— Oszusta?! Czy jesteście pewni, że Jan Bolton tak się wyraził?

— Tak. — Stangret gotów był na to przysiąc. — Panie wierzy?

— Ależ wierzę, wierzę, drogi, nieoceniony Mateuszkule; teraz jestem nawet głęboko przekonany, że Jan Bolton musiał użyć właśnie takiego epitetu... Natomiast nie wierzę — dodał ciszej — iż ów niedoszły spadkobierca Jana Boltona... Jeleniów **opuścił!**

¹ *deus ex machina* (łac. bóg z maszyny – pojęcie wprowadzone do dramatu antycznego przez Eurypidesa. Zsyłał on w swoich przedstawieniach *boga z maszyny*, który gwałtownie rozwiązywał akcję, aby sztuka nie trwała zbyt długo. Maszyną nazywano specjalne urządzenie mechaniczne, dzięki któremu bóg mógł pojawić się na scenie w boskich okolicznościach (był spuszczały na linach). Potocznie stwierdzenie to oznacza nagłą zmianę sytuacji.

ROZDZIAŁ XXV

Nazajutrz, czyli dnia 14 maja, lało jak z cebra od samego rana. Henryk Peschel, który dzisiaj przyjechał na rowerze, przemókł do nitki, szczekał zębami i wyglądał niczym kogut wyciągnięty ze stawu, co ogromnie wzruszyło (i ucieszyło!) panią Elżbietę Reyową.

— Herbaty z rumem i do łóżka! Potem naparzymy nogi, natrzemy piersi terpentyną i damy panu na przeczysz... na poty, chciałam powiedzieć. Żadnych protestów, drogi panie. Inspektor Huber przyjechał tu kiedyś z ciężką grypą i wyleczyłam go w ciągu jednej nocy. Właśnie tą metodą!

Lecz Peschel nie chciał słyszeć ani o tej metodzie, ani o innych i żeby nie „dobijać” zmartwionej jego uporem samarytanki, wyraził chęć napicia się gorącej herbaty. Udali się tedy do jadalni, dokąd niebawem przybiegła Julia Dorazilowa oraz Magdalena Dorn, zelektryzowane wieścią o przyjeździe *sympatycznego* zastępcy *nieznośnego* notariusza.

— Czy pan już wie?! — krzyknęły równocześnie.

— Pozwólcie mu odsapnąć — upominała Elżbieta.

— Biedak ledwie trzyma się na nogach, a te od razu czy

pan już wie... Serca nie macie... Maciejku!... Ach, prawda, on nie słyszy... Czy ktoś z państwa nie widział Macieja?... O, jest nasz kochany Marcin. Marcinie, gorącej herbaty dla pana rejenta-młodszego. Niech Maciej przyniesie również...

— Długo by pani musiała czekać — wtrącił Marcin kwaśno.

— Na herbatę?

— Na Macieja! Znowu gdzieś wywiął.

— Tak wcześnie? No, to chyba zaraz wróci...

Nie spełniły się te przypuszczenia; minęło pięć godzin, a Maciej nie powrócił do pałacu i kucharz. Marcin musiał sam usługiwać przy obiedzie, nie tając swojego niezadowolenia, że *wielmożni państwo* tak szafują urlopami teraz, gdy tyle osób przebywa w Jeleniowie. I znowu okazało się, że nikt Macieja na dzisiaj nie zwalniał, że on nikogo o to nie prosił, czyli ponownie wydalili się z domu bez pozwolenia. Dokąd?

— No, jeśli on i tym razem powie, że zasnął na grobie swojego pana, to go wyślę na najbliższą wystawę nieprzemakalnej odzieży — rzekł Michał, wskazując na zamazane szyby, po których od zewnątrz spływały całe warkocze deszczówki. — Ale też leje dzisiaj, leje.

— To chyba oberwanie chmury?

— Powiedziałbym raczej, oberwanie rynny!

Spostrzeżenie Michała było trafne. Gdzieś w tej stronie dachu rynna musiała być dziurawa albo zatkana liśćmi, dość że nad oknami jadalni utworzył się mały wodospadzik.

— Z tego może być wilgoć w całym domu!

— Cały gmach może się rozpuścić jak grudka cukru! — dorzucił znów Michał.

— Pan zawsze musi błaznować?! — Z kolei Julia Dorazilowa bardzo energicznie natarła na Marskiego, że toleruje podobne nieporządki i pozwala, aby *bezmyślny żywioł* niszczył i zamieniał w ruinę *jeden z najpiękniejszych pałaców w Polsce*.

Pan administrator zarumienił się aż po białka oczu i przyrzekł *pani dobrodziejce*, że zaraz po południu rynna zostanie naprawiona, on dopilnuje tego osobiście.

— Nie wierzę - zawołał Michał.

— Pan nie wierzy?! — oburzył się Marski.

— Nie. Gotów jestem się założyć, że pan tego nie zrobi dzisiaj.

— Nie zakładam się z reguły. Natomiast proszę o wyjaśnienie...

— Drogi panie Marski, mars na pańskim obliczu jest zupełnie nieuzasadniony; powtarzam, nie będzie pan mógł **dzisiaj** dopilnować osobiście tej roboty, bo pójdzie pan z nami na cmentarz.

— Ach prawda, pogrzeb!

Pogrzeb Ludwika Boltona zgromadził na cmentarzu zaledwie trzydzieści osób. Śmierć Jana, zdziwaczałego milionera, którego znali wszyscy w okolicy, była wydarzeniem głośnym na cały powiat, natomiast jego bratanka nie znał tutaj prawie nikt. A dalej, pogrzeb Jana odbył się przy pięknej pogodzie, podczas gdy dzisiaj lało bez przerwy i nikt z sąsiedztwa nie kwapił się do Jeleniowa na taką chlupę. Trzecim powodem małej frekwencji było to, że od niepamiętnych czasów nie zaszedł w tej spokojnej okolicy wypadek morderstwa, a teraz w ciągu niespełna tygodnia popełniono dwie zbrodnie. W tym samym domu! W tej samej rodzinie!... Nie należy się więc dziwić, że z bogobojnego miasteczka przybył na pogrzeb Ludwika

Boltona tylko jeden człowiek, który z racji swojego zawodu nie potrzebował się krępować mieszczańskimi uprzedzeniami...

Michał Bolton pierwszy go spostrzegł i pospieszył mu naprzeciw.

— W imieniu rodziny — co prawda nie swojej — witam czcigodnego delegata władz państwowych — zaczął kwieścić. — Jakże bezcenne zdróweczko po niezawodnej kuracji pani Elżbiety Reyowej?

— Dziękuję — odparł Huber, wyciągając do powitalnego uścisku swoją olbrzymią dłoń — dziękuję, czuję się doskonale, za to mój więzień trochę dzisiaj zaniemógł... A pan, znakomity detektywie, czy pan już wykrył **swojego** zbrodniarza?

— Nie, genialny inspektorze; jeszcze nie zdemaskowałem dotychczas **prawdziwego** przestępcy, ale mamy inne sensacje.

Inspektor Huber spojrział na mówiącego zezem.

— Władzy nie wolno wprowadzać w błąd, przypominam!

— Nigdy tego nie czynię. Nawet wówczas, gdy władza kompromituje się w moich oczach przez uwięzienie niewinnego!

— Ten pański „niewinny” sam się przyznał do winy.

— Żeby uchronić ukochaną siostrę przed mało przyjemnym pobytem w areszcie śledczym... Ale mówmy narazie o najświeższej sensacji pałacu jeleniowskiego...

Tu Michał Bolton powtórzył Huberowi to, co Irena Bolton opowiadała wczoraj o ukryciu przez męża prawdziwego testamentu.

— I ten dokument ktoś skradł z biurka — kończył swoją opowieść. — To fakt niezaprzeczony.

— Na kogo pada podejrzenie?

— Pan Witold Rey raczył mnie zaszczyścić swoim podejrzeniem.

— No, ale chyba nie miał racji, co? Che, che, che, che...

— Śmiech pana inspektora jest wprost czarujący, a poza tym godny popełnionego właśnie dowcipasa... Nad tym, czy pan Rey ma rację, czy nie, zastanawialiśmy się dziś rano wszyscy tak intensywnie, że omal nie przyszło do większego twarzobicia. W końcu jednak udało mi się przekonać oponentów o swej niewinności... w tym wypadku. Bo na ogół niewiniątkiem nie jestem, wyznaję to ze skruchą... Przekonałem ich, że testament mógł skraść tylko ktoś w tym zainteresowany, więc absolutnie nie ja, któremu nie zapisano żadnego legatu ani w jednym, ani w drugim testamencie.

— Aha! Więc jednak pan zna treść skradzionego dokumentu!

— Ufff, jaki z pana niebezpieczny człowiek — odparł Michał kpiąco. — W trakcie najniewinniejszej rozmowy potrafiłby zdemaskować przestępcę... Całe szczęście, że mogę się powołać na świadectwo pani Ireny, która nam powiedziała, kogo Jan Bolton mianował spadkobiercą.

— Mianowicie kogo?

— Witolda Reya.

— Jego?! To dziwne! Przecież on właśnie pokłócił się w ów wieczór z wujem i nagadał mu różnych impertynencji!

— To właśnie tak zaimponowało Janowi Boltonowi, iż jego uczynił swoim spadkobiercą, a wszystkich innych krewnych wydziedziczył. Wyraźnie napisał w testamencie,

że z tego powodu i, że uważa Witolda Reya za jedyne go członka rodu, godnego „następstwa tronu” w Jeleniowie... Ha, mnie wówczas nie znał, niestety — westchnął Michał żartobliwie... — Poza tym ustanowił kilkunastu legatariuszy, jak Marskiego, Macieja, Marcina i tak dalej...

— No, dobrze, dobrze, a skąd pani Irena zna treść zaginionego testamentu?

— Bo go czytała, to jasne! A przeczytała, bo go znalazła w kuferku tego, którego właśnie grzebiemy, zalewając się łzami, że tak powiem z lekką przesadą.

Istotnie przesadził Michał Bolton i to „ciężko”. Tylko Irena trzymała chusteczkę przy oczach, oprócz niej nikt więcej nie oplakiwał Ludwika, nie silił się w ogóle na obłudny smutek... A jeśli chodzi o Michała i Hubera, to ci od dawna już spacerowali przed bramą cmentarza, z którego wyszli, nie zauważywszy tego nawet, tak ich pochłoneła rozmowa. Niebawem przyłączył się do nich Henryk Peschel, a w końcu także i Marski.

— Tylko patrzeć — zażartował Michał — a będzie nas tutaj więcej, niż osób zebranych nad grobem Ludwika Boltona.

— O czym panowie rozmawiacie? — spytał Marski, witając się z Huberem. — I co pan inspektor sądzi o tej sprawie? — dodał, dowiedziawszy się jaki był temat jego rozmowy z Michałem.

— Jeszcze sobie nie wyrobiłem zdania w tej materii, ale siłą rzeczy narzucają się rozmaite hipotezy. Bo ostatecznie testament mogła skraść każda z osób mieszkających w pałacu, nie wyłączając pani Ireny!

— Wyłączając, drogi inspektorze, wyłączając; gdyby Irena chciała ukryć dokument, nie byłaby w ogóle o nim wspominała. Przecież o jego istnieniu... po śmierci

Ludwika nie wiedział prócz niej nikt!

— Jak panowie widzicie, nasz sympatyczny detektyw-amator już rozbił w puch moją pierwszą hipotezę. Przystąpmy więc do omawiania drugiej, którą streszczam w słowach: *Tego testamentu w ogóle nie było*. Słyszycie? Nie było! Wiedząc, że go nie ma, mogła pani Irena puścić w kurs śmiało tę bajeczkę, bo nic przez to nie ryzykowała. Zdawała sobie sprawę z tego, że utrzyma się w mocy ów dawniejszy testament, który ja znalazłem, a który... po śmierci Ludwika Boltona... czynił ją główną spadkobierczynią.

— Pięknie, inspektorze, ale jaką by z tego odniosła korzyść? Jaki byłby cel *puszczenia w kurs*, jak się pan wyraził, tej bajeczki? Czy figlarny zamiar podrażnienia chciwych ciotek?

— Cel mógł być także inny. Na przykład chęć odwrócenia uwagi władz od aresztowanego Józefa Molla, chęć odciążenia go, że tak powiem. Ta rzekoma... przypuśćmy... kradzież testamentu miała niejako wołać do mnie głosem wielkim: *Zbłądziłeś, inspektorze! Uwięziłeś biednego Józia, a pomimo to w pałacu dzieją się nadal rzeczy kolidujące z kodeksem karnym, znikają ważne dokumenty, etc., etc.... Słowem uwięziłeś niewinnego, podczas gdy prawdziwy zbrodniarz jest na wolności i szdzi z ciebie...*

— I tak jest naprawdę — rzekł Michał, lecz Marski i Peschel oświadczył zgodnie, że hipoteza Hubera ma wiele cech prawdopodobieństwa. — A ja wam mówię — upierał się młody sportsmen — że Józef Moll jest niewinny, a rzeczywisty przestępca nadal grasuje bezkarnie; kto wie, może już planuje jaką nową zbrodnię!

— Tere-fere — odburknął Huber lekceważąco.

— Niestety! — zabrzmiał w tej chwili znajomy głos. Stanęli jak wryci, odwrócili głowy w bok, w lewo, bowiem stamtąd dobiegał tętent kroków szybko biegnącego człowieka i chlupotanie błota. W kilkanaście sekund później z bocznej ścieżki wypadł na drogę zdyszany, umazany w błocie kucharz Marcin. — Nowe nieszczęście!

— Słyszysz pan inspektor? — syknął Michał.

— Co się stało, u licha?!

— Maciej... nasz stary... Maciej... **zabity!!**

ROZDZIAŁ XXVI

Posypały się bezładne pytania i odpowiedzi, z których trudno było sobie wyrobić zdanie jakieś o nowym nieszczęściu, lecz energiczny Huber rychło ujął inicjatywę w swoje ręce.

— Proszę o konie, panie Marski... A ty — zwrócił się do kucharza — opowiesz nam wszystko po drodze,

Nieopodal stały powozy i bryczki czekające na uczestników smutnego obrzędu. Marski wybrał najlepsze konie.

— Sam będę powoził — zawołał, ściągając Mateusza z kozła.

Za Marskim usadowili się Marcin i Michał, a na tylnym siedzeniu Henryk Peschel i wzburzony do najwyższych granic inspektor Huber.

— Teraz gadaj — rozkazał, gdy śmignięte batem konie ruszyły z miejsca wyciągniętym kłusem.

Marcin zaczął opowiadać... Wypełniając zlecenie Marskiego w sprawie wymiecenia liści z zatkaanej rynny, wezwał do pomocy jednego z fernali i wspólnie zaczęli się naradzać, jak tu wykonać tę robotę, skoro wielką drabinę połamał ktoś na kawałki tego dnia, gdy padł fatalny strzał o

świecie. Wykombinowali wreszcie, że najłatwiej będzie wydostać się na dach pałacu przez okienko wieżyczki, która tu nosiła szumne miano baszty. Lecz któredy wejść do baszty? Nigdy się tam nie chodziło, bo i po co, toteż Marcin naszukał się dobrze, zanim w końcu odnalazł małe drzwiczki obok łazienki na parterze. Odemknął je „generalnym” kluczem...

— Przepraszam — wtrącił Michał w tym miejscu? — co wy nazywacie „generalnym kluczem”?

— Wytrych — huknął Marski.

— Wytrych? Ładna historia!

— Te chamy tak często gubią mi klucze, że kazałem kowalowi zrobić kilka wytrychów — wyjaśnił pan administrator. — Oczywiście pierwszemu lepszemu ich nie powierzałem nigdy, tylko Maciejowi.

— I z jego izbym je wziął — przyznał się kucharz.

— Dalej, dalej — przynagłał Huber — nie gubmy się w drobiazgach.

Marcin podjął wątek przerwanej opowieści... Gdy odemknął owe drzwiczki, uszczelnione jakimś obiciem, poczuł ohydny zapach. Fornal orzekł od razu, że tam gdzieś musi być trup, że to zapach trupi. Przestraszeni, ale i zaintrygowani, zaczęli się powoli piąć w górę po stromych schodkach, biegnących spiralnie aż na sam szczyt wieżyczki. Odór stawał się nieznośny, a im wyżej, tym gorszy...

— A co, nie mówiłem panu inspektorowi?! — wtrącił znów Michał. — Zawsze mówiłem, że na drugim piętrze czuć silniej, niż na parterze.

— Ale nie wpadł pan na to, iż trup leży na szczycie baszty.

— Gdybym ja wszystko odgadł, co by dla pana

pozostało?

— Było tak, jak pan mówi — ciągnął dalej Marcin — trup leżał na najwyższym pięterku baszty w bieliźnie i...

— W bieliźnie?!

— Oczywiście — rzekł Michał — byłem tego pewny.

— Pan wciąż musi wtrącać swoje trzy grosze... Nie dotykaliście zwłok, spodziewam się, co?

— Nie, panie inspektorze; kto by się tam dotykał takiej śmierdzącej galarety...

W kilkanaście minut później przekonali się naocznie, że iście kucharskie porównanie Marcina było trafne. Zwłoki sędziwego lokaja znajdowały się w stadium daleko posuniętego rozkładu i cuchnęły straszliwie.

— Niesłychane! — wybuchnął Huber. — Ten trup wygląda tak, jak gdyby już z miesiąc tu leżał, a przecież ja Macieja widziałem onegdaj!

— Ja wczoraj.

— A ja — dorzucił Marski, zapalając rozdygotanymi rękami papierosa — ja go widziałem żywego dzisiaj rano! Szedł zgarbiony, jak zawsze, ale szedł dziarsko, uśmiechnął się do mnie a teraz... teraz... Nie! To przecież można oszaleć! To przekracza granice ludzkiego rozumu!

— Mojego, nie!

— Naturalnie! Nasz niepowołany detektyw już rozwiązał tę zagadkę. Pogrrrrratulować!

— Dziękuję, inspektorze, ale faktycznie nie ma czego. Ta zagadka jest dziecinnie łatwa. Jest łatwa właśnie dzięki temu, że trupa pozostawiono w bieliźnie!

— Tego nie rozumiem.

— Ani ja.

— Nie sądzi pan chyba, że ktoś się zląkomił na starą liberię.

— To jasne. W celach, że tak powiem, komercyjnych nikt by jej nie zabrał. Lecz porwał ją w tym celu, aby móc **odgrywać rolę** zmarłego Macieja! No? Skapowaliście to wreszcie?

Nie doczekawszy się potwierdzającej odpowiedzi, Michał wzruszył ramionami, mruknął pod nosem coś niezbyt pochlebnego o inteligencji swoich słuchaczy i chyłkiem opuścił ich grono.

Dopiero w kilka minut później inspektor Huber zauważył jego nieobecność i od razu nastroił się na nutę podejrziwości.

— Może to właśnie on bawił się tutaj w sobowtóra Macieja?! — wymamrotał, lecz odrzucił tę myśl natychmiast; przecież nieraz tak bywało, że Michał Bolton siedział wraz z innymi domownikami przy stole, a Maciej im usługiwał, zatem nie mogli być jedną i są samą osobą, takie rozdwojenie jaźni jest przecież zupełnym absurdem. — A może to był prawdziwy Maciej? Może on jeszcze żył wtedy? — Temu znów przeczył kategorycznie obecny wygląd zwłok, świadczący już na pierwszy rzut oka, że śmierć starego lokaja nastąpiła co najmniej dwa tygodnie temu, jeżeli nie dawniej... — Inspektor Huber był już zupełnie zdezorientowany. — Tak czy owak, należy tego zarozumiałego młokosa mieć na oku — zdecydował w końcu.

Na dziedzińcu dowiedział się od kucharza, że Michał Bolton jest obecnie w izbie Macieja.

— Co on tam robi! — warknął Huber, spiesząc ku oficynom. — Gdzie jest ta izba, panie Marski? — spytał, znalazłszy się w sieni parterowego budynku zamieszkanego

przez służbę.

— Trzecie drzwi z prawej strony.

Wskazane przez administratora drzwi były zamknięte na klucz.

— Proszę otworzyć!

— Przykro mi bardzo — zabrzmiał głos Michała — ale nie mam klucza. Niech panowie wyłamią drzwi.

— A którądy pan tam wlaź, u ciężkiego licha?!

— Tą samą drogą, którą sobowtór Macieja stąd najchętniej wychodził, jak wskazują ślady... To znaczy, przez okno.

— Musimy w takim razie obejść ten budynek, bo okno jest...

— Nie! — wrzasnął Huber. — Tędy wejdziemy, panie Marski.

Z impetem runął na drzwi, wyłamał je, wpadł do izby, a za nim Marski, Peschel i kucharz Marcin. Blisko otwartego na oścież okna siedział na krześle Michał Bolton, zwycięsko uśmiechnięty.

— Spoczywam na laurach — oznajmił przybyłym.

— O, na laurach! Więc zrobił pan jakieś ważne odkrycie?

— Rozumie się, drogi inspektorze. — W ciągu niespełna pół minuty znalazłem to, co pragnąłem tu znaleźć. — Z tymi słowy wyciągnął z kieszeni trzy paczuszki papierosów camel... — Pan inspektor ma rozczarowaną minę. Dlaczego, drogi przyjacielu? Przecież moje odkrycie świadczy dobitnie o tym, że Jana i Ludwika Boltonów nie zamordował Józef Moll, ale...

— Ale, kto?

— Ale ten, który tak świetnie grał rolę zmarłego Macieja.

Huber wykonał wzdrgnięcie ręką.

— Dopóki mi pan nie wskaże tego draba i dopóki on się sam wyraźnie nie przyzna do popełnienia tych zbrodni, dopóty nie uwierzę w niewinność Józefa Molla... Co pan tu znalazł jeszcze?

— Niczego więcej nie szukałem, poza camelami — brzmiała wymijająca odpowiedź, która u inspektora wywołała westchnienie ulgi.

— Tym lepiej. Teraz ja panu pokażę, jak szukać należy...

Niestety, nie powiodło się Huberowi. Pomimo najbardziej skrupulatnych poszukiwań nie znalazł tutaj nic, prócz starych ubrań, bielizny i różnych drobiazgów, które były niewątpliwie własnością prawdziwego Macieja. A tymczasem Marski i Peschel ucięli sobie małą rozmówkę z Michałem na temat, czy sobowtór starego lokaja tu jeszcze wróci, czy nie.

— Sądzę, że tak — przypuszczał administrator dóbr jeleniowskich.

— Wątpię.

— Dlaczego? Przecież trzy razy wydalą się z pałacu i zawsze wracał pod wieczór; czemu by więc nie miał tu wrócić dzisiaj?

— Bo może już wie, że znaleźliśmy zwłoki prawdziwego Macieja i że wpadłby w pułapkę, jaką pan inspektor niewątpliwie na niego zastawi.

— Ale skąd by mógł o tym wiedzieć?!

— Rozumiem! On tu ma jakiegoś konfidenta, współnika — mruknął Marski po francusku, przez wzgląd na obecność kucharza.

— Tak, to bardzo możliwe — przyznał Peschel.

Musiało chyba tak być, jak przypuszczali, gdyż

światny odtwórca roli starego lokaja, jak go nazwał Michał, nie zjawił się w pałacu i nigdy go tu więcej nie widziano w tym przebraniu. Za to w nocy... lecz czemu uprzedzać wypadki...

ROZDZIAŁ XXVII

Przy kolacji Irena Bolton oznajmiła obecnym, że wyjeżdża.

— Zamierzałam odjechać już dzisiaj, zaraz po pogrzebie mojego męża, ale pan inspektor powiedział mi, że w wieczornych godzinach odwiedzanie więźniów jest wzbronione. A ja muszę się zobaczyć z bratem, zanim stąd odjadę. Muszę!

— Właśnie przez wzgląd na brata nie powinnaś stąd wyjeżdżać.

— Może masz rację, Witoldzie, a jednak... jednak nie potrafiłabym pozostać ani dnia dłużej w tym ponurym gmachu.

— Więc zamieszkaj w mieście.

— A cóż ja bym robiła w tej dziurze? Nie, nie, wolę powrócić do Warszawy, gdzie mam swój kąt i oddanych przyjaciół, którzy mi pomogą w wyszukaniu jakiej posady.

— Ty chcesz szukać posady?! — zachnął się Witold. — Ty, dziedziczka Jeleniowa!

— Mylisz się, kuzynku; ja nie mam żadnych praw do spadku po twoim wuju, który w dniu swojej śmierci ciebie ustanowił spadkobiercą. I tylko ten testament, jako

najpóźniejszy jest ważny, jak orzekła najbardziej kompetentna w tych sprawach osoba, tu obecny pan Peschel.

— Gdyby nawet tak było, to ja nie pozwolę nigdy, abyś pracowała! Nie masz na to zdrowia, Irenko, a po drugie...

— Nasza Iruchna — rzekła Julia do Magdaleny takim „szepem”, że wszyscy go usłyszeli — już zafasowała opiekuna!

— Wypraszam sobie!

— No, wybac, Witoldzie, ale skoro czujesz się uprawnionym do wydawania Irenie jakichś pozwoleń czy zakazów, to miałam chyba prawo nazwać cię opiekunem... Rozumie się, z przekąsem!

— Czuję się uprawnionym tylko do spłacenia wielkiego długu wdzięczności wobec Irenki — odparł, widząc, jaką przykrość sprawiły jej słowa złośliwej Julii. — Gdyby nie jej wspaniałomyślność, nie zostałbym dziedzicem Jeleniowa, więc...

— To jeszcze kwestia, czy w ogóle nim zostaniesz!
— wtrąciła Magdalena Dorn, która ze względu na interes swojej córki wołała teraz utrzymać w mocy pierwszy (czyli sfalszowany) testament.

Wywiązała się na ten temat dłuższa dyskusja, którą zakończyło oświadczenie Henryka Peschela, że jeżeli ów drugi testament się nie znajdzie, to pierwszy utrzyma się w mocy, zatem główną spadkobierczynią będzie nie Witold Rey, ale wdowa po Ludwiku Boltonie.

— A zatem, Irenko, powinnaś odłożyć swój wyjazd.

— Nie, Witoldzie. Wyjeżdżam stąd nieodwołalnie jutro... Panie Marski, poproszę pana o konie na godzinę dziesiątą.

— Na dziesiątą? Pozwolę sobie zauważyć, pani dobrodziejko, że do Warszawy odchodzi jeden pospieszny o ósmej, a drugi dopiero o piątej popołudniu, czyli...

— Tym drugim właśnie odjadę, ale przedtem chcę odwiedzić mojego biednego braciszka... I dlatego proszę o konie już na dziesiątą.

— Rozkaz, pani dobrodziejko...

Rozmowa przeszła już na inne tory, gdy wtem Michał palnął się w czoło tak, że wszyscy nań spojrzeli ze zdziwieniem.

— Mam genialny pomysł! — zawołał. — Pani Ireno, proszę nie jechać pociągiem tylko ze mną. Nie na siodełku oczywiście, ale w przyczepce. Siedzi się tam jak w fotelu, słowo daję. A rozkosz, jaką daję pęd i... — tu odmalował wszelkie „rozkosze” jazdy na motocyklu tak sugestywnie i z takim humorem, że Irena roześmiała się szczerze; po raz pierwszy tego dnia!

Lecz Julia Dorazilowa miała z Michałem nieuregulowane porachunki:

— Iruś, spodziewam się, że dasz należyłą odprawę temu młodzieniaszkowi w odpowiedzi na jego beczelną i głupią propozycję!

— Ależ, droga ciociu, ja tej propozycji bynajmniej nie uważam za głupią. Przeciwnie, taka podróż uśmiecha mi się stokroć bardziej niż wielogodzinne nudy w klatce wagonu...

— Racja, racja — potakiwał Michał z zapalem, a potem w imieniu Ireny rozprawił się z licznymi przeciwnikami motocyklowej koncepcji.

Pierwszy „w bój wyruszył” Witold Rey.

— Pan zapomina widzieć, że Irena ma bardzo wątłe zdrowie.

— Taka jazda ją właśnie zahartuje... Proszę być szczerzy, panie Witoldzie, i przyznać, że pana trafia szlag z... zazdrości!

— Ależ to podobno nieludzko trzęsie!

— Ludzko, pani Magdaleno, całkiem ludzko... A zresztą każda trzęsionka wpływa zbawiennie na proces trawienia.

— Kobieta w ciężkiej żałobie na motocyklu?! To skandal!

— Tak, to najpoważniejszy argument, ciociu Julio... Ale jest wyjście; pani Irena włoży na głowę moją sportową czapkę, a ja pojedę w jej czarnym welonie... Co pani na to, słodka ciotuniu?

— Idiota!

— Możliwe... Gdy się przez tyle dni przebywa w nieodpowiednim towarzystwie, można klasycznie zidiocieć... Czy jeszcze ktoś z państwa ma jakoweś obiekcje?

— Owszem, ja — odparł Huber, który dotychczas nie brał udziału w rozmowie. Słyszę teraz, że pan chce jutro wyjechać. Jak to, znakomity detektywie, nie zdemaskuje pan **swojego** zbrodniarza?

— Słuszna uwaga — dorzucił skwapliwie Witold, który nie mógł się pogodzić z myślą, że Irena chce odjechać w towarzystwie Michała. — Choć nieproszony i nienależący do naszej rodziny, siedział pan nam na karku przez tyle dni, legitymując swój przydługi pobyt w Jeleniowie tym, że pragnie pan wyjaśnić sprawę śmierci mego wuja... A teraz...

— Ha, może kłamałem? Może coś innego mnie tu zatrzymywało?

— Czy wolno wiedzieć, co?

— Nie! To sekret mego serca, — odparł Michał z tajemniczą miną, ale przy tym spojrzął na Irenę tak wymownie, że Witold aż pobladł z irytacji... — Siedziałem wam tu na karku, jak się pan grzecznie wyraził, lecz jutro to się już skończy. Jutro Jeleniów straci dla mnie swoją siłę atrakcyjną.

To, co powiedział na końcu, było oczywiście **dwuznaczne**, lecz nikt z obecnych nie poznał się na tym, wszyscy uważali te słowa za komplement pod adresem Ireny. A nawet za coś więcej, niż zwykły komplement!

Irena zmieszana, zarumieniona powstała z krzesła.

— Pójdę się spakować... Pożegnamy się jutro, prawda?

— Ze mną dzisiaj — rzekł Huber, podnosząc się ociężale — bo ja za chwilę stąd odjeżdżam... z Maciejem — dodał w myśli, nie chcąc w jadalni mówić o tych odrażająco wyglądających zwłokach. — I nie wiadomo, czy panią jutro w mieście spotkam... Będę bardzo zajęty.

W hallu dopędził Irenę Witold Rey.

— Kuzynko, muszę z tobą pomówić natychmiast!

Skinęła głową aprobująco i skierowała się w stronę grupy foteli.

— Nie, tylko nie tutaj — prosił, zastąpiwszy jej drogę. — Zrozum, tu za chwilę przyjdzie całe towarzystwo z jadalni.

— Dobrze — zgodziła się — porozmawiamy w moim pokoju...

Do późnej nocy Irena nie mogła zasnąć, rozpamiętując i analizując każde zdanie tej długiej rozmowy. Witold żądał jej zasadniczo w tym celu, by odwieść Irenę od zamiaru wspólnego wyjazdu z Michałem Boltonem, którego nie wahał się nazwać *podejrzany*

indywiduum i *typem spod ciemnej gwiazdy*, ale z jego spojrzeń wyzierało tyle uwielbienia dla pięknej kuzynki, tyle uznania dla jej szlachetności, że Irena była mocno zakłopotana i pragnęła, by ktoś nadszedł jak najprędzej i przerwał to sam na sam. Nietrudno było jej odgadnąć, że Witold jest piekielnie zazdrosny o Michała, a przecież zazdrość jest najpewniejszym (choć nieco barbarzyńskim) objawem miłości!

Każdej kobiecie schlebia stwierdzenie faktu, że poczet jej „ofiar” zwiększył się znowu o jednego delikwenta. Irena była stuprocentową kobietą, a w dodatku Witold od samego początku podobał się jej najwięcej spośród mężczyzn przebywających tutaj... Choć z drugiej strony Michał... Michał dzięki swojej inteligencji, przenikliwości i humorowi szybko zaćmił i zakasował wszystkich. Michał działał na wyobraźnię; nie wiedzieć kiedy, ani dlaczego, stał się dla Ireny najbardziej romantyczną postacią, nieledwie bohaterem!

— Mam wrażenie — zwierzała się... poduszce — że oni obydwaj zakochali się we mnie... Ale może się mylę — dodała perfidnie, wiedząc doskonale, że nie myli się bynajmniej.

W trakcie rozmowy z Witoldem omalże nie przyszło do miłosnych wynurzeń; zawisły one na wargach młodego Reya, ale do wyznania Irena nie dopuściła. Uważała to za nietaktowne, niedopuszczalne w dniu pogrzebu męża, nie mówiąc już o niedoli brata, uwięzionego pod tak strasznym zarzutem. Czym prędzej skierowała rozmowę na inne tory i powtarzała ten „zabieg” stale, ilekroć Witold, oszalały z zazdrości o Michała podchodził do niebezpiecznego tematu...

Lecz teraz, kiedy była zupełnie sama, kiedy

rozpoczęła się męka bezsennej nocy, skrupuły mocno zwiotczały. W takie noce jeszcze dawniej, za życia Ludwika, gdy ostatecznie zrozumiała, że mąż nie kocha jej naprawdę, że jest człowiekiem niegodnym jej miłości... w takie noce, leżąc sama jak dzisiaj i czekając na powrót pijanego męża... lubiła malować sobie w wyobraźni postać innego mężczyzny, któryby ją mógł zrozumieć i wysłuchać, i pocieszyć. W marzeniach tych nie było ani cienia erotyzmu! Ten wymarzony ideał nie miał być jej kochankiem, ale bezinteresownym przyjacielem, opiekunem, powiernikiem...

Dzisiejsza noc stała się podobna do tamtych. Lecz dzisiaj ten urojony przyjaciel już mógł mieć swoje wyraźne oblicze. Mógł nim być Witold Rey!... Albo Michał Bolton... Ostatecznie mógł mieć coś z jednego i coś z drugiego. Na przykład męską urodę Witolda lub jego niski, ujmujący głos, a wesołe, wiecznie roześmiane oczy Michała i jego prosty, koleżeński, choć nieco rubaszny sposób mówienia do niej...

— Michał... Miś — szeptała półsennie — choć Witold jest także przemiły... A cóż by mi szkodziło mieć dwóch oddanych przyjaciół równocześnie?! Naturalnie! I tak też będzie!

Ucieszona tym odkryciem i wyczerpana przejściami tego dnia zasnęła wreszcie. Było to mniej więcej o godzinie pierwszej po północy...

Zrazu spała bardzo twardo, lecz później... później przyśniło się jej, że ją ktoś namiętnie całuje po twarzy, że czyjeś ręce błądzą po jej ciele. Wrażenia te były tak wyraźne, iż absolutnie nie mogły być snem. Zdała sobie z tego sprawę, przeraziła się, ale na krótko.

— Śnię — pomyślała.

Przeciągnęła się błogo, bo sen był na ogół wcale, wcale przyjemny. Zastanawiało ją tylko jedno, mianowicie, że jej namiętny wielbiciel z krainy snów nie posiada żadnego oblicza, co w erotycznych snach jest prawie absurdem... Choć może miał swoje oblicze, tylko nie mogła go dojrzeć w ciemnościach? Może był to Michał Bolton, a może Witold Rey?... Tak czy owak, poczynął sobie nazbyt zuchwale! Irena nawet w snach nie tolerowała podobnych poufałości. Odwróciła więc twarz przed ulewą pocałunków, a potem zamachała rękami na oślep. Gdy to również nic nie pomogło, postanowiła się zbudzić. Natychmiast!... Ale widocznie nie mogła dokazać tej sztuki, skoro owo senne przeżycie ani rusz nie chciało się skończyć.

— Och!... Nie męcz! — wykrztusiła.

Wtedy stała się rzecz dziwna. Coś miękkiego, delikatnego spłynęło lekko na jej twarz, na włosy, na ręce. Co?!

Z chaosu rozpierchłych myśli, pod wpływem reminiscencji z dzisiejszego pogrzebu, wylęgło się potworne przypuszczenie, że to **ziemia!**

— Jestem w letargu i zagrzebują mnie żywcem!

Szarpnęła się rozpaczliwie. Na próżno! Poza owym miękkim całunem zakrywającym górną część jej korpusu i na nim leżało coś bardzo ciężkie, coś **żywe** i udaremniało każde poruszenie się Ireny.

A równocześnie w dolnej części korpusu czuła dojmujący chłód, jak gdyby leżała naga przy otwartym oknie. Nie wiadomo, czy z zimna, czy z przerażenia miała na nogach gęsią skórę i nagle poczuła na udach coś bardzo ciepłego. **Ręka?!** Tak! Muskularna męska dłoń, rozpalona jak przy silnej gorączce pieściła ją namiętnie, a potem wślizgnęła się pomiędzy kurczowo zaciśnięte kolana,

usiłując je rozewrzeć jak najprędzej...

Irenie zaczęło brakować tchu i sił do dalszej walki. Zrozumiała już, że to nie sen, lecz rzeczywistość, ale to przeświadczenie dobijało ją właśnie. Osłabiona chorobą, napadnięta w czasie snu, zdrętwiała od zgrozy, byłaby uległa nawet słabemu chłopcu, a tutaj musiała walczyć z dorosłym mężczyzną silnym jak tur. Czy w tych warunkach miała jakie szanse? Nie!... Na moment ogarnęła ją apatia i chęć zrezygnowania z dalszej walki, niewątpliwie beznadziejnej. Lecz ta depresja psychiczna trwała tylko sekundę, a potem przyszedł bunt. Kimkolwiek był ów brutalny napastnik, czy to był Witold, czy Michał, nienawidziła go w tej chwili śmiertelnie! Nie miała sił do walki z przemocą, ale mogła przecież krzyczeć!... To znaczy, nie zaraz. Wpierw należało uspić czujność przeciwnika, potem odgarnąć krawędź kołdry i dopiero wtedy wrzasnąć, co tchu w płucach.

Przestała się wrywać i szarpać, udała kapitulację. Druga dłoń napastnika dotychczas przytrzymująca jej ręce, osunęła się natychmiast ku jej nogom. Na ten moment Irena właśnie czyhała. Odrzuciła kołdrę...

— Na pomoooc! Ratunkuuu!! Ratunku!!!

Silne pchnięcie powaliło ją na wznak, a kołdra ponownie omotała jej głowę. Równocześnie nacisk kolana mężczyzny rozwarł jej splecione nogi tak, jak ostrze siekiery rozpoławia szczapę drzewa. Była zwyciężona...

— Nikt nie usłyszał, nikt... oooooch...

Nagle ucisk zelżał. Nie! Znów zelżał na chwilę, a potem jakaś nieludzko ciężka bryła zwała się na Irenę. Na jej nogi. Nogi miała teraz przygniecione jak gdyby młyńskim kamieniem... który w dodatku wirował z opętańczą szybkością... ale ręce miała znów wolne. Tak,

wolne! Mogła skorzystać z tej okazji i skorzystała. Pochwyciwszy w dłoń ciężki lichtarz stojący na stoliku przy łóżku, palnęła nim z całej siły w niewidzialnego przeciwnika. Pomściła doznaną zniewagę. Z szczerą satysfakcją wsłuchiwała się w cichnące jęki bólu, a potem... potem spowiły ją nieprzebite mroki...

ROZDZIAŁ XXVIII

Tej samej nocy w ostatnim pokoju na drugim piętrze pałacu jeleniowskiego dwóch mężczyzn naradzało się półgłosem.

— Nie bądź tchórzem, musi się udać.

— Czy tylko Huber odjechał na pewno?

— Na pewno, widziałem.

— Bujasz.

— Kretyn! Przecież umyślnie sterczałem w oknie przez godzinę, by zobaczyć, czy on naprawdę odjeżdża. Teraz, gdy wiemy, że go nie ma, możemy...

— Tak, jego niema, ale są inni! Michał jest równie niebezpieczny jak Huber... Czy nie byłoby lepiej odłożyć tę robotę do jutra? Jutro Michała tu nie będzie.

— Ty w to wierzysz tumanie? On już z pięć razy odgrażał się, że *jutro* wyjedzie, no i siedzi do tej pory... A zresztą, co Michał ma tutaj do gadania? Nic! Gorzej byłoby, gdyby nas przyłapał Witold.

— A widzisz!

— Widzę, że tobie, skończony leniu nie chce się wyleźć z łóżka i dlatego wynajdujesz różne trudności.

— Zgadłeś — przyznał się drugi spiskowiec i

odwrócił się do ściany... — a wobec tego, że zgadłeś, pozwól mi spać dalej.

— Słuchaj! Ja mogę pójść sam, ale...

— Idź, skarbie, idź na zbitą twarz.

— ...ale w takim razie nie licz na tę forszę!

— Połowa mi się słusznie należy.

— Pod warunkiem, że pójdziemy razem! W przeciwnym razie nie dam ci ani grosza!

— Sam sobie wezmę. Jestem na szczęście silniejszy!

— Myślisz, że ja frajer? Nieee! Choćbym tam znalazł milion, nie przyznam się do tego przed tobą.

Ta groźba pomogła. Drugi spiskowiec spuścił nogi z łóżka i zaczął się ubierać, ziewając przy tym coraz żałośniej.

— Prędzej, prędzej!

— Przestań zrzedzić, wymoczku, bo jak cię zamaluję...

— Ciszej mów, jołopie!

— Ja ci dam jołopa!... Zamiast mi stać nad karkiem, przygotuj...

— Wszystko przygotowałem już wieczorem.

— Wypróbuj latarkę elektryczną, czy świeci.

— Bądź spokojny. Kupiłem w mieście cztery nowe baterie, poza tym pilnik, dłuto, młoteczek, obcęgi i dziesięć metrów sznura.

— Sznura? A to po co?

— Po co?... Hm... Czytałem gdzieś, że na takie wyprawy zabiera się...

— Racja! Sznur się bardzo przyda.

— A widzisz!

— Będiesz się mógł na nim powiesić.

— Bydlę!

Wśród takich przyjaznych rozmówek dwaj spiskowcy przygotowali się ostatecznie do wyprawy po „złote runo”, czyli po owe sześćdziesiąt tysięcy franków szwajcarskich, które Jan Bolton przechowywał w jakiejś nieodszukanej dotychczas skrytce, zgasili światło w swoim pokoju i cichuteńko wymknęli się na korytarz. Zaledwie jednak uszli z dziesięć kroków, stuknęły jakieś drzwi.

— Tsss! Słyszałeś?

— Ciszej, ośle ciszej!

Z pokoju, w którym mieszkali Dorazilowie wyszedł ktoś na korytarz. Kto? Nie wiadomo, gdyż zarówno w korytarzu jak i w pokoju Dorazilów było ciemno...

— Chodźmy za nim!

Poszli. Nietrudno było śledzić tamtego, bowiem nie starał się iść po cichu, przeciwnie pociągał pantofle za sobą, aż miło. A w pewnej chwili zakasłał w charakterystyczny sposób i po tym go poznali od razu:

— Wuj Waław!

— I kto by pomyślał, że to on jest tym draniem, który...

— Mama zaraz tak mówiła, pamiętasz?

— Ciszej, człowieku, bo go spłoszysz!

Nie zanosilo się na to na razie. Głośne człapanie pantofli szło przed nimi korytarzem, potem wzdłuż galeryjki drugiego piętra, minęło hall, aż raptem ścichło trochę.

— Aha! Wchodzi do gabinetu!

— A to łotr! Chce nas uprzedzić! Ale niedoczekanie jego!

Omylili się. Waław Dorazil nawet się nie zatrzymał przed drzwiami fatalnego pokoju, lecz szedł dalej prosto aż do drugiego końca korytarza, po czym skręcił do klatki

schodowej.

— Chce zejść na dół? Po co?

— Idź się go spytaj.

— Stul głowę, jeśli nie umiesz nic wymyślić... Ale to cwaniak z wujaszka Waclawa, co! O pół drogi bliżej miał schody w hallu, lecz drewniane, skrzypiące, zatem wołał zejść tylnymi schodami... To dużo mówi!

— Ty mówisz jeszcze więcej, zamiast robić... No, chodź, chodź, bracie.

— Dokąd chcesz iść?

— Oczywiście do narożnego pokoju szukać skrytki.

— Durniu! Chcesz spuścić z oka Waclawa?!

Nawymyślawszy sobie wzajemnie, obydwaj spiskowcy weszli do klatki schodowej, którą Waclaw właśnie opuszczał na parterze. Odrobili jednak tę zwłokę i stwierdzili ze zdziwieniem, że Dorazil wszedł do hallu.

— Słyszysz?!

Usłyszeli szelest papieru.

Rozumiesz, co to znaczy?

— Nie.

— On ma w rękach **testament!!!**

Drugi spiskowiec aż gwizdnał przez zęby, za co z lekka oberwał w papę. Potem przysła chwila bardzo gorąca. Waclaw Dorazil zawrócił w ich stronę, a kiedy to stwierdzili, na ucieczkę było już za późno! Przylepili się więc do ściany, wstrzymując oddech i dzięki egipskim ciemnościom, tamten ich nie dostrzegł. Całe szczęście, że posuwał się wzdłuż drugiej ściany korytarza; gdyby był szedł po tej stronie, byłby wpadł wprost na nich...

Dokąd on idzie z testamentem?

— Już wiem! Tam... tam... — pierwszemu spiskowcowi głos zaczął drżeć febrycznie — tam są te

małe drzwiczki od baszty!

Mieli głęboko wrytą w pamięć scenę wynoszenia zwłok Macieja przez te drzwiczki i wydawało im się, że jeszcze teraz snuje się tutaj ohydna woń.

— I on się nie boi? A to dopiero upiór!

— Ciszej, miły bęcwale, ciszej, powiadam!

Wacław Dorazil zrobił im nową niespodziankę, mianowicie minął drzwiczki wiodące do baszty, a potem zniknął bez śladu. Nie bez strachu zapalili latarkę elektryczną, oświecili cały korytarz, ale nie ujrzeli go nigdzie... Postanowili zaczekać. Czekali długo, och, bardzo długo, zdawało się im, że chyba niebawem już świtać zacznie...

— Szkoda czasu... Chodźmy do swojej roboty.

— Anielskiej cierpliwości trzeba do tego cymbała... Czy nie rozumiesz, tępą pało, że stoimy u wrót największej tajemnicy Jeleniowa?!

— Może. Ale jeśliś spudłował, jeśliś tu sterczał na darmo, to...

— Całuj psa w nos.

— ...to spiorę cię tak, jak nigdy dotychczas!

— Tsss! Słyszysz?... A, łotr! On drze testament!

To, co usłyszeli teraz było niewątpliwie charakterystycznym szelestem, jaki wydaje rozdierany i mięty papier... Potem tuż obok korytarza, jakby za najbliższymi drzwiami rozległ się stłumiony głuchy łoskot, zaszumiała woda, zgrzytnęła zasuwka przy zamku, skrzypnęły drzwi, których zawiasy nigdy snadź nie zakosztowały oliwy i... i Wacław Dorazil po półgodzinnym seansie opuścił ubikację, oznaczoną zwykle literami: *WC*... wyszedł na korytarz, wydał westchnienie ulgi, zatrzasnął drzwi i nagle cały zamienił się w słuch; tuż przed nim

rozbrzmiewały w ciemnościach głośne oklaski, czy... klapsy.

— Zatracena kluka, co je to?!... Kde ja dal sirky.¹

Znalazł wreszcie zapalki, zrobił z nich właściwy użytek i przetaił sobie oczy, myśląc, że śni. Bowiem na posadzce toczyła się jakaś skłębiona masa, w której dopiero po dłuższych obserwacjach rozpoznał Wawrzyńca i Tytusa Domów, splecionych z sobą i walczących zawzięcie... Wreszcie silniejszy Tytus znalazł się na wierzchu i dotrzymując danej obietnicy, sprawił starszemu bratu wspaniałe lanie.

Wacław Dorazil zmęczył się uczciwie, zanim dokonał rozbrowienia zwaśnionych spiskowców, po czym wszyscy trzej odmaszerowali do hallu. Tutaj, bardziej od brata wymowny Wawrzyniec jął improwizować fantastyczną historię o rzekomych powodach swego bokserkiego meczu właśnie w tej części pałacu; bo przecież nie mógł powiedzieć wujowi prawdy, że go śledzili, podejrzewali, że się tak straszliwie skompromitowali... Lecz zaledwie z grubsza podmalował tło swej zelganej epopei, zabrzmiał stłumiony krzyk kobiety-

— O, Boże, Boże, Boże!... Na pomoooooc!... O, Boże, Boże, czy tu wszyscy wymarli?!

— Tfu, na psa urok, ja żyję — mruknął Wawrzyniec Dorn...

— Ratujcie! Weźcie tego trupa!... Ooooooch!

— To głos Ireny! Ona chyba przez sen tak jęczy...

— Na pewno przez sen... Widocznie mąż jej się przyśnił.

Wacław Dorazil orzekł, że w każdym razie należałoby się upewnić. Poszli więc na pierwsze piętro i ze

zdziwieniem stwierdzili, że drzwi pokoju Ludwika Boltona są otwarte na oścież!

— Kto tam?! - krzyknęła Irena przejmująco.

— To my, kuzynko, my Wawrzyniec i Tytus.

— A ja ne? — oburzył się Waław. — Ja sem tady, ja!²

Wawrzyniec zapalił swoją doskonałą latarkę elektryczną i puścił strumień światła w ten kąt pokoju, gdzie stało ogromne, dwuosobowe łóżko. Irena Bolton siedziała na nim zmieniona nie do poznania, a na jej obnażonych nogach, w poprzek łóżka, z głową zwisającą ku ziemi i nie dając znaku życia, leżał **Michał Bolton!**

— Co tu się stało?! — huknął ktoś tak energicznie, że Wawrzyniec omal nie wypuścił z dłoni latarki. W drzwiach stał Witold Rey. Po nim przybiegła Julia Dorazilowa, zaniepokojona długą nieobecnością męża, a w dwie minuty później reszta domowników. Co się stało? Co tu znów zaszło?

Drżącym głosem zaczęła Irena opowiadać o napadzie, jakiego omal nie padła ofiarą, a równocześnie spoglądała wciąż w stronę Michała.

— O, Boże, Boże, czy ja go tylko nie zabiłam - zawołała nagle.

— Na szczęście, nie — orzekł Witold Rey, zbadawszy tętno młodego sportsmena. — Powiadam *na szczęście*, bo nie mógłbym się nigdy uspokoić, gdyby ten arcyłotr uniknął w ten sposób zemsty!... I ty, Irenko chciałaś z nim razem puścić się w taką podróż! I nie wierzyłaś, gdy cię ostrzegałem, gdy mówiłem, że to indywiduum jest zdolne do popełnienia każdej zbrodni!

Z kolei Julia Dorazilowa zaczęła ganić Irenę:

— Jesteś karygodnie lekkomyślna. Jak można było

się kłaść spać, nie zamknąwszy wprzód drzwi na klucz!

— Ależ zamknęłam je, przysięgam!

Wawrzyniec, Tytus i Waclaw zaprzeczyli temu zgodnie: kiedy przybiegli tutaj, drzwi były otwarte **na oścież!**

— Zatem ten łotr przyczaił się w pokoju, zanim poszłaś spać.

— Albo wszedł przez okno! — wtrącił Witold, idąc szybko w kierunku okna. — Naturalnie, otwarte. A wszyscy byliśmy wczoraj świadkami, z jaką łatwością ten drab wyszedł stąd tą samą drogą. Czy ktokolwiek z nas potrafi chodzić po wąskim gzymsie? I na takiej wysokości?! Nikt! Tylko on jest takim cyrkowcem... O, proszę! Do kogo to należy? — zabrał leżącą na parapecie okna spinkę od mankietu i powrócił z nią do łóżka.

— Takie spinki miał Michał.

— Jedna spinka jest, a druga... drugiej brakuje, oznajmił Wawrzyniec Dorn, oglądając kolejno mankiety koszuli Michała.

— To jest właśnie ta druga! — zawołał Witold. Leżała na oknie, co stanowi dowód, że ten zbrodniarz wszedł tutaj tą drogą, a nie inną.

— A któż w takim razie odemknął drzwi? I w jakim celu?!

Tego nikt na razie nie umiał wyjaśnić. Nie zastanawiano się też dłużej nad tą sprawą, gdyż Lidia Torelli zrobiła już inne odkrycie... odkrycie, które zelektryzowało wszystkich w najwyższym stopniu. Mianowicie dostrzegła koniuszek banknotu wychylającego się z tylnej kieszeni spodni Michała, wsunęła dłoń do tej kieszeni i wyciągnęła z niej paczkę, zawierającą sto sztuk banknotów stufrankowych.

— Dziesięć tysięcy franków szwajcarskich! — wrzasnęła Julia Dorazilowa. — Moi drodzy, czy wiecie, co to znaczy? To znaczy, że ten rzezimieszek odnalazł skrytkę! I splądrował ją doszczętnie!... Słuchajcie. Marski mówił, że świętej pamięci Janek przechowywał tu ponad sześćdziesiąt tysięcy franków. Tu jest dopiero dziesięć tysięcy, zatem resztę on musi mieć przy sobie!

Przeszukano skrupulatnie wszystkie kieszenie Michała, ale nie znaleziono przy nim nic więcej, jeśli nie liczyć pięćdziesięciu złotych w portfelu, które mogły być jego własnością.

— Ukrył resztę, ukrył! Gdzie? Mów, łotrze, gdzie?!

Rozsierzona Julia zaczęła gwałtownie potrząsać zemdłym co w końcu wywołało ten skutek, że Michał jęknął głucho i zaczął mrugać.

— Aha, budzi się z omdlenia. Teraz należy go związać!

Witold zajął się tym osobiście i sumiennie, o, bardzo sumiennie! Związanego odnieśli do jego pokoju, który przetrząsnęli również dokładnie, ale z takim samym skutkiem, po czym wyszli i zamknęli drzwi na klucz.

— A jeśli on ucieknie oknem?

— Z drugiego piętra?!

— Taki gałgan potrafi wszystko.

— Bądźcie spokojni, związałem go tak, że Huber napoci się zdrowo, zanim wszystkie te pętle odwikła — zapewnił ich Witold. — Nie ucieknie nam drab, żeby tam nawet się wściekł!

Czy Michał *się wściekł*, nie wiadomo, ale o siódmej rano, gdy Witold Rey zaczynał się golić przed wyjazdem do miasta po policję, na dziedzińcu pałacu warknął spalinowy silnik.

Motocykl? Któż tam znów rusza ten motocykl?

Witold podszedł do okna, wyrżał, zaklął, jak mógł najordynarniej. Bowiem przy motocyklu stał Michał Bolton i uśmiechnięty zwycięsko, słał mu dłonią całusy.

— Trzymać go! Łapać! Zamknąć bramę!

Michał przegazował motor, zagłuszając w ten sposób okrzyki Witolda, potem wskoczył na siodełko i ruszył w drogę.

— Brama! Brama! Złodziej ucieka! Łapać! — ryczał Witold, patrząc z bezsilną wściekłością na ucieczkę swojego więźnia. Byłby do niego strzelił z przyjemnością, ale rewolwer zaciął mu się, jak na złość. — Żeby tu był telefon! Psiakrrrrew, żeby tu był telefon!

Ale telefonu nie było w jeleniowskim pałacu, nie można więc było liczyć ani na to, że w mieście policja zastąpi drogę zbiegowi. Michał Bolton mógł zmykać bez obawy i czynił to właśnie...

¹ *Zatracena kluka, co je to?!... Kde ja dal sirky?*
(cz.) – Cholerny chłopak, co to?!... Gdzie dałem zapaliki?

² *Ja sem tady, ja!* (cz.) – Jestem tutaj, ja!

ROZDZIAŁ XXIX

Dopiero popołudniu powrócił Witold z miasta wraz z inspektorem Huberem, który przede wszystkim odwiedził Irenę. Wyprosił z jej pokoju Elżbietę Reyową, chcąc z „poszkodowaną” pomówić koniecznie w cztery oczy. Rozmowa ta trwała przeszło godzinę, a kiedy pani Elżbieta weszła znów do swojej pacjentki, stwierdziła zdumiewającą poprawę w jej wyglądzie i humorze.

— Widzisz, kochanie, jak moje ziółka pomogły! — cieszyła się.

Irena przyznała jej rację i zaczęła pod niebiosa wychwalać skuteczność owych ziółek, z których odwar do ostatniej kropli... wylała za okno. Czyż miała „najlepszą” z ciotek pozbawiać złudzeń i przyjemności? Nie... A zresztą Huber, przyrzekając jej, że Józef Moll zostanie uwolniony najpóźniej jutro, wyraźnie zażądał, aby o tym na razie nie mówiła nikomu. Więc w duchu przeżywała Irena swoją wielką radość z powodu zapewnionej i rychłej rehabilitacji ukochanego brata, natomiast zacna pani Elżbieta triumfowała głośno z powodu swoich ziółek...

A tymczasem Huber musiał przetrzymać huraganowy ogień pytań, jakimi go bombardowała para

Dorazilów i zgrana czwórka Dornów. Przetrzywał go jednak i wszelkie ataki ciekawości ludzkiej odparł zwycięsko: — Po kolacji wyjaśnię wam wszystko — powtarzał.

— Czemu dopiero po kolacji?

— Bo mówienie przy pustym żołądku ogromnie mnie wyczerpuje. Jak łaskawe panie zapewne wiedzą, jestem bardzo wątłej kompleksji. — Tu jowialny olbrzym zgarbił pociesznie swoją atletyczną sylwetkę i zakasał... — O, nasz kochany pan administrator. — Z wyciągniętą ręką pośpieszył naprzeciw Marskiemu, który właśnie wkraczał do hallu w towarzystwie Henryka Peschela, i co prędzej wdał się z nimi w rozmowę, aby uniknąć dalszego nagabywania ze strony natrętnie ciekawych kobiet. — Jakże tam postępuje praca przy inwentarzu spadkowym, drogi magistrze?

— Ja swoją robotę właściwie już ukończyłem, a to dzięki pomocy pana Marskiego.

— A u kochanego pana, co słyhać? Jak tam roboty w polu?

— Ach, niech pan lepiej nie pyta — westchnął Marski, wskazawszy w stronę okna — czy w ogóle można coś robić przy takiej pogodzie!

Obydwaj byli przemoczeni, zziębnięci i rozmowa urwała się po pierwszych zdaniach, a Dornowie i Dorazilowie już krążyli w pobliżu.

— Rany gorzkie — jęknął Huber, widząc, co się święci — przyjaciele moi, gadajcie o czym chcecie, tylko wciąż gadajcie — prosił szeptem — inaczej te baby nie dadzą mi żyć. Żeby nie ta przeklęta słota, to byłbym zwiął stąd zaraz... A może jednak zwiąć, co?

Marski odradzał, Peschel oświadczył, że zastosuje

się do Hubera:

— Jeśli pan chce jechać, to zabiorę się z panem, jeżeli woli pan tu pozostać na noc, pozostanę również; mnie wszystko jedno.

— To mi kompan!... No, skoro tak, to chyba zostanmy, tylko, panie Marski... tylko, żeby kolacja była godna roboty, jaka mnie tu czeka.

— Cóż to za robota, inspektorze?

— Straszna! Zaspakajanie babskiej ciekawości...

Przy kolacji zespół Dornów-Dorazilów przypuścił szturm generalny.

— Niechże nam pan inspektor powie przynajmniej to, czy ten łotr Michał Bolton już siedzi pod kluczem — nalegała Julia.

— Może już siedzi, nie wiem; sam czekam na wiadomości...

W dziesięć minut później stangret Mateusz oznajmił przybycie posterunkowego z telegramem do pana inspektora. Tekst depechy musiał być niedługi, gdyż Huber tylko okiem nań rzucił, uśmiechnął się i schował telegram do kieszeni.

— Kochani państwo, mam zaszczyt wam obwieścić, że ptaszek siedzi już w potrzasku — rzekł, zacierając dłonie. Kiwnął palcem na policjanta, powiedział mu coś na ucho, potem zwrócił się do kucharza. — Tu już nie będziecie nam potrzebni, Marcinie. Zabierzcie więc mojego wiarusa do oficyn i poczęstujcie go herbatą, bo pewnie zziąbł w drodze... Wydałem mojemu podwładnemu polecenie — wyjaśnił, gdy Marcin i posterunkowy wyszli z jadalni — aby zgromadził całą służbę w oficynach i nie wypuszczał stamtąd nikogo aż do odwołania.

— Dlaczego, panie inspektorze?!

— Dlatego, że nie wypada, aby służba słyszała choć cośkolwiek z tego, co ja państwu tutaj opowiem; chodzi mi o wasz prestiż — łąał Huber z tak poczciwą miną, że nikt nie odgadł, iż cel tego zarządzenia jest zupełnie inny... — Są sprawy, o których wobec służby mówić nie należy.

— Słusznie, słusznie... A pan, co nam chce opowiedzieć?

— Coś tak szalenie sensacyjnego, szanowna pani Julio, że doprawdy warto uzbroić się w cierpliwość na jedną jeszcze godzinę i nie zdręczać mnie ustawicznymi pytaniami.

Po takim dictum acerbum¹ rozmowa przeszła na inne tematy, a przy winie czas płynął szybko, Huber pił za trzech, ale równocześnie zachęcał do picia innych i raz po raz obchodził stół z butelką.

— Muszę wyręczyć kucharza Marcina — powtarzał do znużenia, aż w pewnej chwili wprowadził denerwujący wariant — muszę wyręczyć **nieboszczyka Macieja!**

— Brrrr! Niechże pan nie wspomina zmarłych w taką noc!

— Racja, pani Magdaleno. Dzisiejsza noc będzie...

— Ależ mnie nie chodzi o noc, tylko... co to?

Za ścianą zaszeleściło coś podejrzanie.

— Co to?!... Co to było?!

— Wiatr tak harcuje, dobrodziejko, — mruknął Marski w zamyśleniu.

Wiatr dął coraz silniej. Niekiedy jego maleńkie strzepy wdierały się do sali jadalnej przez jakieś niewidoczne szpary przy oknach i wówczas płomyki świec chwiały się w kandelabrach denerwująco...

— Jak wtedy... jak wtedy — westchnęła Elżbieta Reyowa.

— Wciąż mam wrażenie, że ktoś puka.

— To deszcz bębni w szyby, dobrodziejko.

Szyby aż drżały od gwałtownych podmuchów wichru, deszcz siekł je ukośnie grubymi kroplami, ale swoją drogą coś gdzieś pukało najwyraźniej.

— Znowu! Słyszycie?

Znowu rozległy się pukania, szmery, szelesty, których znaczną część można było zapisać na rachunek burzy, ale czy wszystko?.

— Już wiem! Rozkołysane gałęzie drzew ocierają się o mury budynku — wymamrotał Kazimierz Marski, wzdrygnął się i wyrznął pięścią w stół. — Do diabła, ja te słowa już gdzieś kiedyś wypowiedziałem!

— Wtedy... wtedy... — Elżbieta ukryła twarz w dłoniach.

— Tylko nie tracić humoru, drodzy państwo. I nie bać się! — zahuczał inspektor basem. — Gdyby ktoś z was był w taką noc w tym ponurym gmachu sam, nnnno, jeszcze rozumiem. Ale nas tutaj kupa ludzi... zaraz, ilu... policzymy: pani Dornowa z trojgiem dzieci, to czworo, państwo Dorazilowie, pani Reyowa z synem i pani Irena, to już dziewięcioro, pan Peschel, pan Marski i ja, razem dwanaście osób!

— Jak wtedy... jak wtedy... Elżbieta zaczęła łkać cichuteńko, nie odrywając rąk od twarzy. — Jakie szczęście, że nie trzynaście!

— Przesąd. Wówczas siedzieliśmy w dwunastkę, a tej samej nocy wuj zginął... A potem Ludwik... i Maciej. Choć powtarzam było nas dwanaście osób!

— Nie! Wtedy było was w pałacu trzynaście osób! — rzekł Huber z naciskiem, po czym znowu napelnił kieliszki.

— Ale wówczas w naszym gronie był zbrodniarz! A dzisiaj...

— Sądzi pan, że dziś go nie ma? Nie, panie Marski. W każdym z nas drzemią zbrodnicze instynkty i mogą się obudzić przy lada okazji. Ja osobiście nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby plus minus czwarta część osób z naszego grona skończyła w kryminale.

— Eeee, pan inspektor, jak zresztą wszyscy urzędnicy policyjni... pan w każdym człowieku widzi zaraz przestępce.

— W każdym widzę **zadatek** na przestepcę, panie Marski... A swoją drogą twierdzę, że gdyby sprawiedliwość mogła reagować automatycznie na każde popełnione przestępstwo, to trzeba by uwięzić dwadzieścia pięć procent ludności! Słyszycie? — Golnął sobie duszkiem kieliszek i powtórzył: — Dwadzieścia pięć procent! Czyli tutaj, w naszym gronie może być trzech zbrodniarzy... No, niech stracę, dwóch.

— Jeszcze za dużo.

— Tak? No, więc jeden.

— Jeszcze za dużo o jednego.

— Nie, panie Marski! Dwóch panu opuściłem z rachunku, ale więcej nie mogę; w naszym gronie także musi być przynajmniej jeden zbrodniarz. I jest! — Huber chciał uderzyć pięścią w stół, lecz trafił w kieliszek: rozbił go, skaleczył się w dłoń, ale to nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. — Jest, powiadam — powtarzał z pijackim uporem. — Jest!

— Kto?!

— Pan, panie Marski!... Albo ja sam... A może pani Dorazilowa?

— Wypraszam sobie kategorycznie! — oburzyła się

Julia.

Kobiety porozumiały się wzrokiem: sądząc z pozorów, uznały Hubera za pijanego jak bela.

— Może przejdziemy do hallu, drogi inspektorze?

— Przejdziemy, ale nie wszyscy. Pani Irena pójdzie spać.

— Nie jestem jeszcze dostatecznie śpiąca.

— Ale jest pani dostatecznie osłabiona po wczorajszych wypadkach, by siedzieć z nami Bóg wie, jak długo... No, proszę się nie sprzeciwiać!

— Iruchno, pijaka nie należy drażnić! — zabrzmiał ostrzegawczy, a głośny na całą jadalnię „szepł” Julii Dorazilowej...

Całe towarzystwo przeniosło się do hallu, zabierając ze sobą spory półmisek z wędliną, masło, pieczywo i dwie „baterie” butelek tokaju; tak zadysponował inspektor...

— Mój Boże, jak to alkohol zmienia ludzi — westchnęła Elżbieta, której Huber podniesionym głosem wydał rozkaz, aby dotrzymywała towarzystwa Irenie w jej pokoju. — Taki zwykle jest grzeczny, taki łagodny jak baranek, a teraz krzyczy niczym...

— Jeszcze panie nie poszły?! — ryknął inspektor, niezwykle apodyktyczny po wypiciu tyłu kieliszków. — Czemu nie zapalono w kominku?!

— Palić w kominku w maju?!

— Taki maj, jak obecny – gorszy niż listopad.

— Jeśli chodzi o dzisiejszą noc, to inspektor ma rację — przyznał Tytus Dorn i z pomocą brata zakrzętał się przy rozpaleniu ognia.

Tymczasem Huber, komenderując wszystkimi nader hałaśliwie, poprzysuwał fotele do kominka, wskazał, gdzie kto będzie siedział w czasie jego opowiadania, po czym

zajął się osobiście napełnianiem kieliszków.

— Nie lubię gawędzić na sucho, kochana pani Julio.

— Zauważyłam to, kochany panie inspektorze... Nie mam też nic przeciwko temu, ale proszę, aby pan przy tym jadł jak najwięcej.

— Rozumiem szlachetną intencję. Mogę jednak panią zapewnić, że mam bardzo mocną głowę, bardzo! — zapewniał, zataczając się „uroczo” w czasie swej wędrówki od jednego kieliszka do drugiego. — A teraz możemy zacząć snuć opowieść o wyczynach jeleniowskiego upiora, którego właśnie **dzisiaj** udało mi się zidentyfikować.

— Zidentyfikować? Chciał pan zapewne powiedzieć: schwytać.

— Nie. Zidentyfikować, powtarzam, co po polsku brzmiałoby mniej pięknie, a bardziej sycząco: *utozsamić*. Krótko mówiąc, utozsamiłem zbrodniarza, który tu grasował bezkarnie przez dwa tygodnie, ale... niestety... nie złapałem go jeszcze. Zwiął szelma.

— Nie rozumiem! Sam pan inspektor powiedział przy kolacji, że Michała Boltona schwytano.

— Ba, ale Michał Bolton... jeśli się naprawdę nazywa Bolton, to nie może być owym zbrodniarzem.

— A Józef Moll?

— Moll nie jest nim z wszelką pewnością, jak dziś stwierdziłem.

— Więc kto, u licha ciężkiego?!

— Kto? — Huber zapalił cygaro, przysunął sobie popielniczkę, położył na niej płonąca zapalną, odczekał, aż się wypaliła do samego końca i uznawszy, że zrobił już wystarczającą pauzę dla spotęgowania wrażenia, rzekł bardzo głośno: — Jana Boltona zabił jego **siostrzeniec!**

W tej samej chwili gdzieś u szczytu hallu zadudniło

coś potężnie...

¹ *dictum acerbum* (łac.) – gorzkie słowa.

ROZDZIAŁ XXX

Inspektor Huber spojrział z uśmiechem na Witolda, który zerwał się z miejsca, błądy jak ściana.

— Ależ pan jest nerwowy, no, no... To drzwi tak huknęły, zatrzaśnięte podmuchem wichru. Widocznie nie zamknięto któregoś okna i...

— Dość tego! Pan dobrze wie, że mnie nie o ten łoskot chodzi.

— Tylko o co?

— Pan powiedział, że Jana Boltona zabił jego siostrzeniec! Więc, kto?! Czy ja? Czy Wawrzyniec Dorn? Czy jego brat Tytus? Ja chcę... ja **muszę!** dowiedzieć się natychmiast, kto z nas... zdaniem pana... jest mordercą wuja!

— Nie wiem. Może żaden, jeżeli każdy z was jest **rzeczywiście** tym, za kogo się podaje!

— Czy nie mógłby pan wyrazić się jaśniej?

— Niczego bardziej nie pragnę, ale wy mi wciąż przerywacie.

— Przepraszam — warknął Witold, siadając na swoim miejscu, pochwycił kieliszek i jednym haustem wypił jego zawartość...

Huber zanurzył się głębiej w fotelu, założył nogę na nogę.

— Jan Bolton — zaczął, miał jeszcze czwartego siostrzeńca, który nazywa się Harry Pawley...

— Pawley?! — krzyknął Marski. — Syn pani Anieli?!

— Proszę mi nie przerywać, do stu tysięcy komorników!... Jan Bolton miał na pozór bardzo dobre serce. On jeden nie zerwał stosunków z swoją siostrą Anielą, którą za jakiś tam grzech młodości cała rodzina wyklęła, a kiedy umarł James Pawley i wdowie po nim przyznano bardzo skromną emeryturę... pomagał jej finansowo. Tu obecny pan Marski może poświadczyć, że Anieli Pawley w Chicago posyłało się stąd pięćset złotych miesięcznie, a niekiedy i częściej niż co miesiąc...

— Pięćset złotych! — westchnęła Magdalena. — A mnie nic nigdy nie posłał... To znaczy raz tak, owszem, gdy Lidia przechodziła szkarlatynę.

— A widzi pani... Tak, Jan Bolton był człowiekiem dobrym, miłosiernym, ale i nieznośnie apodyktycznym. Utrzymując siostrę, uzurpował sobie prawa do kierowania nią, do kierowania wychowaniem jej syna, ba do decydowania o całej jego przyszłości. Nie znając tego siostrzeńca zupełnie, nie znając jego temperamentu, zamiłowań, i w ogóle nie licząc się z niczym, postanowił, że Harry Pawley ma zostać misjonarzem. To, czy chłopiec ma powołanie do stanu duchownego, czy nie, tego urodzonego kacyka nic a nic nie obchodziło. On tak postanowił i tak być musiało...

— Dziki pomysł! — mruknął Witold - żeby człowieka zupełnie sobie nieznajomego z góry przeznaczać na księdza. Pomysł godny wariata!

— Jeszcze bardziej wariackie były motywy tej decyzji. Otóż Jan Bolton wprawdzie sam przebaczył siostrze jej grzech młodości, ale miał wątpliwości, czy niebo będzie dla niej równie wyrozumiałe, i właśnie dlatego biedny Harry miał zostać misjonarzem! Tytułem ekspiacji za dawne i... między nami mówiąc, zupełnie błahe... winy swojej matki... Ale Harry nie zamierzał bynajmniej poświęcić się nawracaniu Zulusów czy Kafrów, jego ciągnęło coś innego, **scena!** Gdy Aniela o tym bratu doniosła i bardzo nieśmiało wstawiła się za synem, Jan Bolton wpadł w szalony gniew. Odpisał siostrze, że natychmiast wstrzyma dalsze przesyłki pieniędzy, jeżeli w ciągu miesiąca nie otrzyma na piśmie zaświadczenia, że Harry, który wówczas liczył już 18 lat, zapisał się na teologię...

— I co Aniela na to?

— Nic. Skapitulowała... Kobieta dzielna, energiczna, z charakterem byłaby na to odpisała takiemu braciszkowi tak, żeby mu było poszło w pięty! Lecz Aniela Pawley była kobietą słabą, chorowitą, zahukaną, a przy tym, jak wszyscy Boltonowie, chciwą na grosz... Krótko mówiąc, ustąpiła. Harry musiał rozpocząć studia teologiczne, a Jan Bolton otrzymał upragnione stwierdzenie tego faktu na piśmie... Ten niezmiernie charakterystyczny dokument znajduje się oczywiście w moim posiadaniu, jak również większość listów Anieli Pawley do brata...

— Aha! Stąd pan zna tę historię, o której ja, choć także siostra Janka, nic dotychczas nie słyszałam.

— Tak, pani Magdaleno.

— A gdzie pan znalazł te listy? W biurku ich nie było, ani...

— Ściśle biorąc, nie ja je wczoraj znalazłem, ale te

sprawy do rzeczy nie należą... chwilowo wróćmy do Chicago... Jak długo trwały przymusowe studia teologiczne biednego Harry'ego, tego dziś jeszcze nie wiem. Przypuszczam, że najwyżej kilka miesięcy, a potem Harry wstąpił do szkoły dramatycznej. Oczywiście pani Aniela nie odważyła się nigdy donieść o tym bratu. Przeciwnie, rozpisywała się obszernie o bogobożnym życiu, jakie obecnie jej syn prowadzi, a raz do roku posyłała Janowi ostatnią fotografię jedynaka, zawsze w sutannie oczywiście... To *bujanie słonia w karafce*, że się tak wyrażę lapidarnie, trwało przez sześć lat, aż w końcu narwany Jan Bolton zapytał siostrę, kiedy *ksiądz Harry* nareszcie wyjedzie na misje do Afryki czy innych Chin. Nie wywołało to jednak żadnej konsternacji, bo pani Aniela nabrała rutyny w blagowaniu, ba, doszła w tym do mistrzostwa, częstując brata fotografiami z Rodezji i tym podobnych egzotycznych krain. Te „misje” niedoszłego misjonarza trwały przez dalsze cztery lata. Harry stał się już wcale wziętym aktorem, występującym oczywiście pod pseudonimem, a „oficjalnie” nawracał Murzynów, jak tego żądał zwariowany wujaszek z Polski... Aż nagle uderzył weń straszny cios. W czasie pościgu za bandą gangsterów zbłąkana kula trafiła idącą z teatru w towarzystwie syna... panią Anielę. Zginęła na miejscu!

— O, Boże! Aniela nie żyje?

— Zginęła od kuli — mruknął Marski w zamyśleniu — jak mój chlebodawca, jak pan Ludwik... Jakieś fatum zawisło nad tą rodziną...

— Tragiczna śmierć matki wstrząsnęła Harrym do głębi — ciągnął dalej Huber. — Zaczął pić, zaczął się zaniedbywać w pracy. Ta słaba, ustepliwa kobieta miała jednak ogromny wpływ na niego; gdy jej zabrakło, Harry

zaczął iść w ślady swojego ojca, hulaki i alkoholika, który skończył na delirium tremens... Tymczasem Jan Bolton, zdziwiony snadź milczeniem siostry, która doń pisywała regularnie co dwa tygodnie, wysłał do niej depeşe. W odpowiedzi na nią otrzymał sążnisty list od Harry'ego, w którym ten doniósł wujowi, że skutkiem jakiejś eksplozji matka straciła wzrok, że wobec tego on musiał przerwać swoją pracę misyjną, że wrócił do Chicago i pielęgnuje ślepą matkę, a ten list pisze pod jej dyktando. Dzięki temu podstępowi, uchronił się od ryzykownego trudu przy podrabianiu pisma matki, a równocześnie zapewnił sobie dalszą pomoc finansową wuja. Co więcej, zaczął się domagać coraz częściej dodatkowych przekazów pieniężnych na koszty różnych operacji u okulistów, operacji, które się stale nie udawały, słowem nabierał wuja, jak tylko mógł. Był tak przezorny, że zażądał adresowania listów i pieniędzy na swoje imię, gdyż niewidoma matka nie może się podpisywać na receptach...

Inspektor umilkł na chwilę, by przeczekać, aż przebrzmi grzmot pioruna, który uderzył gdzieś bardzo blisko pałacu. Lidia przytuliła się do matki, Julia Dorazilowa do męża, a Wawrzyniec Dorn, który także nie znosił błyskawic, wychylił duszkiem spory kieliszek dla skrzepienia odwagi...

— Tymczasem Harry staczał się coraz niżej — zaczął znów Huber, dorzuciwszy do kominka grube polano — nie mogąc znaleźć zajęcia w żadnym, nawet najlichszym teatryku, zaangażował się do marnego cyrku, gdzie występował jako „drugi asystent” niegdyś sławnego kłowna. Jemu właśnie w trakcie jakiejś wspólnej libacji wypowiedział się ze wszystkiego, a tamten nie miał nic lepszego do roboty, jak donieść o tym do Jeleniowa.

Nietrudno sobie wyobrazić, w jaka furję wpadł Jan Bolton, gdy dowiedział się, że przez dwanaście lat utrzymywano go w błędzie, że jego siostra bynajmniej nie oślepla, lecz od dwóch lat nie żyje, że Harry nigdy na żadne misje nie wyjeżdżał, że księdzem nie został, tylko aktorem, a teraz jest błaznem w podrzędnym cyrku, i tak dalej... Najwięcej zaś, jako nieodrodnego potomka skąpych Boltonów, musiało go zboleć to, że siostra, a potem siostrzeniec wydoili od niego tyle pieniędzy w ciągu owych dwunastu lat...

Znowu łysnęło się, zagrzmiało potężnie i znowu Huber musiał na chwileczkę przerwać swoje opowiadanie.

— List demaskujący Harry’ego otrzymał Jan Bolton w lutym...

— Teraz rozumiem! — wtrącił Marski. — Teraz rozumiem, dlaczego nie pozwolił mi wysyłać marcowej raty do Chicago i dlaczego zrobił wówczas taką piekielną awanturę... Tak, tak; powiedział wtedy *dość długo mnie oszukiwano* i zabronił mi, pod groźą natychmiastowego wydalenia, przypominać mu kiedykolwiek o przekazach do Chicago, o tych *haniebnie wyłudzonych pieniądzach*, jak się wyraził... Pamiętam, pamiętam i dopiero teraz rozumiem, co miał na myśli...

— No, więc wszystko pięknie się zgadza — rzekł inspektor, zacierając dłonie. — Miejmy nadzieję, że tak będzie aż do końca mojej opowieści, której połowę już słyszeliście. Tak, połowę... Jan Bolton wstrzymał raz na zawsze wypłatę apanaży rzekomemu misjonarzowi, dzięki czemu Harry znalazł się rychło w tarapatkach finansowych. Musiał snadź jednak posiadać jeszcze ze dwieście dolarów albo nabrał kogoś na pożyczkę, skoro mógł sobie pozwolić na podróż z Chicago do Jeleniowa...

— On tutaj był?! — krzyknął Marski. — To niemożliwe! Kto, jak kto, ale ja musiałbym o tym wiedzieć!

— A jednak nic pan nie wiedział, bowiem syna pani Anieli Pawley, gdy występował tutaj jako Harry Pawley, widziały tylko trzy osoby: Jan Bolton, który nie żyje, lokaj Maciej, który również nie żyje, oraz stangret Mateusz. Mateusz popijał z nim nawet i właśnie przed nim pochwalił się Harry, że będzie kiedyś spadkobiercą Jana Boltona, gdyż ma do tego największe prawa, czyli jest jego najbliższym krewnym. Gdyby nie to nieostrożne wyznanie pijanego Pawleya, kto wie, czy nie błędzilibyśmy nadal w dżungli zagadek i tajemnic. Bo i komuż przyszło by na myśl, że człowiek rzekomo przebywający w Stanach Zjednoczonych, człowiek nikomu w Jeleniowie nieznanym, człowiek, który miał zostać księdzem, misjonarzem,... że ten człowiek jest sprawcą tylu strasznych zbrodni!

— Więc to on?! On zabił wuja Jana?!

— Tak — odparł Huber twardo — Jana Boltona zastrzelił Harry Pawley!

Zaledwie padły te słowa, rozległ się głuchy, przeciągły łoskot, jakby ciężki kłoc staczał się po dachu ku rynnie i na głowy osób zgromadzonych koło kominka posypał się biały grad tynku...

ROZDZIAŁ XXXI

— O, Boże! — krzyknęła Lidia. — Piorun uderzył w dom!

— Nie sędzę — odparł Huber, strzepując okruchy tynku z rękawów marynarki. — Raczej jakaś cegła, oderwana z komina pokatowała się po dachu. Nic dziwnego, przy takim wicherze...

To było dość prawdopodobne. Wichura szalała nad Jeleniewem, napełniając i tak już ponury pałac kakofonią tajemniczych szmerów, szelestów, łoskotów.

— Zupełnie, jak wtedy — wyszeptła Magdalena Dorn — zupełnie. Daj Boże, aby ta noc nie skończyła się tak, jak tamta.

— Wszystko jest możliwe.

— Tfu, na psa urok! Niechże pan inspektor nie wywołuje wilka z lasu — zachnęła się Julia Dorazilowa.

— Wilka bym się zbytnio nie przestraszył — rzekł Huber z uśmiechem i do połowy wysunął z kieszeni rewolwer — ani Harry'ego Pawleya również, lecz bywają i takie licha, którym kula nie może zrobić nic!

— Duduuuchy?

— Głupstwa ciotka wyplata. — Witold niby to

chciał skarcić Julię, ale przypił wyraźnie do inspektora. — Jak można wierzyć w brednie i...

— A jednak, panie Witoldzie, *są rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom*, jak rzekł nieboszczyk Hamlet.

— Panie inspektorze! — krzyknął Wawrzyniec. — Proszę mi nie wspominać nieboszczyków!... Niech pan raczej opowiada dalej o Harrym.

— A może... może Harry także nie żyje?

— Żyje, pani Julio. Jeszcze żyje, a wobec zawieszenia czynności sądów doraźnych pożyje jeszcze parę miesięcy, zanim skomplikowany aparat zwykłego wymiaru sprawiedliwości wyśle go na szubienicę!

Witold Rey zerwał się z fotela, pochwycił żelazne szczytce, przyskoczył z nimi do kominka i przez dłuższą chwilę przewracał na wszystkie strony płonące szczapy.

— Teraz będzie się paliło lepiej — mruknął, wróciwszy na swoje miejsce, i napełnił kieliszki.

— Ach, więc pan po to wstawał?

— A pan inspektor myślał, że po co?

— Właściwie nic nie myślałem — odparł Huber ze swoim dobrotliwym, naiwnym uśmieszkiem. — Ale teraz myślę, że dobrze zrobiłem, nie zapraszając tutaj pani Elżbiety... Ani pani Ireny... One mają zbyt słabe nerwy...

— Inspektorku kochany — Julia złożyła dłonie błagalnie — proszę o dalszy ciąg historii Harry'ego Pawleya. Ja z ciekawości umieram!

— Masz sobie! Umiera! Czy mało tu jeszcze było nieboszczyków?

— Oszaleję, oszaleję! — Wawrzyniec zasłonił sobie uszy. — Uwzięli się, żeby mnie denerwować. Co, u licha! Czy ja w zakładzie pogrzebowym jestem, że wciąż o

umrzykach mówicie?! Ooooch! — wrzasnął i dla odmiany zasłonił sobie oczy, bo łysnęło się znów osłepiająco...

Gdy przebrzmiał huk gromu, inspektor Huber rozpoczął dalszy ciąg przerwanej opowieści:

— Dnia dwudziestego piątego kwietnia Harry Pawley przybył do Jeleniowa. Nie pozwolił się meldować, mówiąc służbie, że Jana Boltona zna dobrze, że chce mu zrobić *miłą niespodziankę*. Poszedł na drugie piętro, wszedł do gabinetu i, jak mamy prawo sądzić, zastał Jana Boltona w momencie, gdy ów przeliczał pieniądze. To bardzo ważny szczegół, moi państwo... Jan Bolton prędeż spodziewał się zobaczyć diabła niż swojego „misjonarza”. Według zeznań stangreta Mateusza, gwałtowna kłótnia trwała dwie godziny, a jej echa rozbrzmiewały aż koło oficyn. Mateusz słyszał również, jak Bolton polecił swojemu gościowi, by ów najpóźniej nazajutrz rano opuścił pałac. Potem Jan zamknął się w swoim gabinecie i siedział tam do rana. Co robił, nie wiadomo. Prawdopodobnie obmyślał środki zaradcze przeciwko ewentualnym dalszym nagabywaniom chytrego siostrzeńca. Harry nie mógł mu nic zrobić na razie, ale mógł po śmierci wuja wystąpić z pretensjami do spadku po nim. Aby się przed tym zabezpieczyć, Jan Bolton postanowił spisać akt ostatniej woli, a nie mogąc się zdecydować, kogo ma ustanowić swoim spadkobiercą, umieścił w gazetach ogłoszenie, które was wszystkich tutaj sprowadziło w dniu szóstego maja...

— A cóż z Harrym?

— Już wracam do niego... Harry Pawley po rozmowie z wujem zrozumiał, że jego przyjazd z Ameryki był zupełnie bezcelowy. Nie zdołał przebłagać starego dziwaka, ani wyprosić pieniędzy, a nazajutrz rano miał opuścić te progi na zawsze. Równocześnie widok całych

stert banknotów, które narwany Jan Bolton przechowywał w domu zamiast w bankach, rozbudził w nim instynkty złodziejskie... Przypominacie sobie, drodzy państwo, co mówiłem przy kolacji o drzemających w nas złych instynktach? Otóż i dowód, że miałem rację... Harry Pawley postanowił „użyć” wujowi, czyli przekonać go o zgubnych skutkach domowej tezauryzacji. Aby tego dokazać, potrzebował trzech rzeczy: czasu, narzędzi i osiedlenia się w najbliższym sąsiedztwie wuja, najchętniej w samym pałacu. Przy rozmiarach tego gmachu, nie przedstawiało to żadnych trudności... Przeprowadziwszy plus minus takie rozumowanie, Harry wyslizgnął się ze swojego pokoju i zaczął szukać odpowiedniej kryjówki. Prawdopodobnie przez prosty przypadek odnalazł drzwiczki od tak zwanej baszty, które prawdopodobnie były wtedy otwarte. Wszedł tam, a tuż za nim poczłapał stary Maciej, zaintrygowany dziwnym zachowaniem się gościa swojego chlebodawcy...

— Już wiem! — zawołał Tytus Dorn, rozglądając się z dumą dokoła, czy wszyscy podziwiają jego inteligencję. — Na szczycie baszty rozegrała się krwawa walka, w której zgrzybiały Maciej uległ silnemu drabowi... O, ja to w lot odgadłem!

— Byłbym z najwyższym podziwem dla pańskiej przenikliwości, gdyby nie wynik obdukcji, rzekł Huber z czarującą zjadliwością. — Bo sekcja zwłok wykazała, że Maciej bynajmniej nie został zamordowany, ale zmarł na udar serca; co go wywołało, nie wiadomo; może nagły przestrah, może zmęczenie po szybkim wspinaniu się na szczyt wieżyczki. W jego sędziwym wieku mogło się to przydarzyć nawet bez specjalnej emocji, toteż ta śmierć najmniej obciąża Harry’ego... Nie będę się rozwodził nad

tym, co Harry przeżywał, co mógł przeżywać, gdy stwierdził nagły zgon lokaja i gdy te zwłoki niejako odcięły mu drogę z wieży. Aż nagle zrozumiał, iż los przychodzi mu z pomocą. Ściągnął z Macieja ubranie, włożył je na siebie i pędem pobiegł do swojego pokoju, po swoją walizkę, powrócił z nią do baszty i tam **ucharakteryzował się** na Macieja...

— Bardzo naciągana hipoteza — mruknął Witold sceptycznie. — Sądzi pan, że Harry woził z sobą peruki, wąsy, bokobrody i cały arsenał środków potrzebnych do charakteryzacji?

— Sądzę, że to możliwe; przecież Harry był **aktorem!** Był niegdyś bardzo dobrym aktorem i właśnie dlatego mógł z takim powodzeniem odgrywać rolę Macieja. Ułatwiało mu tę rolę... tę jego najlepszą, choć i najtragiczniejszą rolę w życiu... to, że Maciej był głuchoniemy. Głos najtrudniej jest zmienić, naśladować, a to było w tym wypadku niepotrzebne... Niewątpliwie musiał popełnić jedną i drugą gafę, nie znając programu „swoich” lokajskich obowiązków i nawyków „swojego” chlebobdawcy, lecz dziwak-milioner miał wtedy głowę zajętą czym innym, wyborem „najgodniejszego” spadkobiercy... Tak upłynęło dziesięć dni i nadeszły imieniny Jana...

— Szósty maja...

— Dzień naszego przyjazdu tutaj...

— Tak, drodzy państwo... Fakt, że Harry Pawley w ciągu tych dziesięciu dni nie zdołał okraść wuja świadczy najlepiej o tym, iż Jan Bolton miał się na baczności i nie wierzył, aby obiecujący siostrzeniec tak łatwo zrezygnował z pieniędzy, jakie u niego widział na biurku. Licząc się z tym, że Harry krąży gdzieś w okolicy i szuka pomocnika w

osobie jakiegoś zawodowego włamywacza, Jan Bolton opróżnił swoją pancerną kasę w hallu, pozostawił w niej złośliwy liścik do *pana złodzieja*, a pieniądze przeniósł do innej skrytki. A jednak Harry, występujący tu w roli Macieja, zdołał wypenetrować, iż pieniądze muszą być ukryte w gabinecie wuja... Dlatego później, aby was zmylić, zaprowadził was tutaj, do pustej kasy i przez to na jakiś czas odciągnął waszą uwagę od gabinetu... Nadeszła fatalna noc z szóstego na siódmy maja. Jan Bolton udał się do sypialni na krótko przed północą, a Harry czekający na tę chwilę wślizgnął się natychmiast do gabinetu. Co tam spowodowało również Jana, nie wiadomo. Może czegoś zapomniał, może dojrzał światło... tak, to mi się wydaje bardziej prawdopodobne, bo przecież nie spacerował chyba stale po swoim pałacu z rewolwerem...

— Owszem — wtrącił Marski. — pan Jan nosił rewolwer przy sobie zawsze i mnie to samo doradzał.

— Niech i tak będzie... A zatem Jan Bolton wszedł do swojego gabinetu i zastał tam „swojego” lokaja szukającego skrytki. Wyobraźmy sobie, że zaszedł go z tyłu i chwycił nagle za kark. Czy w tych okolicznościach nawet tak dobry aktor jak Harry nie mógł zapomnieć o swojej roli? Zapomniał na pewno! Krzyknął. Rzekomo głuchoniemy krzyknął! Jan musiał osłupieć w pierwszej chwili, za to gdy poznał po głosie siostrzeńca, wpadł w furję. Nie wahał się wymierzyć do niego z rewolweru. Lecz Harry już go trzymał za przegub dłoni, wyrwał mu broń i żeby upozorować samobójstwo, przycisnął lufkę rewolweru do piersi wuja, po czym wypalił...

— Nieprawdopodobne — bąknął Witold. — Primo, na to nie starczyłoby mu czasu, secundo Jan by do tego nie dopuścił, tertio...

— Był słabszy!

— Ale mógł uciekać, mógł krzyczeć.

— I krzyczał! Pan Marski słyszał jego wołanie *na pomoc...*

— Hm... Mnie się jednak wydaje, że ten strzał padł raczej przypadkowo w czasie walki o rewolwer.

— A pan jak sądzi? — Z tym pytaniem Huber zwracał się kolejno do wszystkich, ale „ankieta” nie dała zdecydowanego wyniku; z dziesięciu tu obecnych osób pięć głosowało za hipotezą morderstwa, mianowicie Magdalena, Lidia, Julia, Marski i Huber, natomiast Wacław Dorazil, Peschel, Wawrzyniec i Tytus Dornowie poparli Witolda, który wysunął tu hipotezę przypadkowego zabójstwa i w zapale lekko ubliżył oponentom...

— To ciekawe, że pan się tak gorąco ujmuje za mordercą! — warknął inspektor. — Ciekawe, bardzo ciekawe!... No, ale wróćmy do Harry’ego Pawleya, który już znalazł sobie świetnego obrońcę... **Po zamordowaniu** Jana Boltona, Harry powinien był co prędzej zwiać. Tak by uczynił na jego miejscu każdy przeciętny zbrodniarz. Lecz Harry nie był przeciętnym nigdy i w niczym. Pozostał w Jeleniowie i wspaniale odgrywał sceny rozpaczy wiernego sługi, oplakującego ukochanego pana. Ten bezwstydnym cynizm uważam ja osobiście za najczarniejszą kartę w życiu Harry’ego... Harry pozostał tu, jak powiedziałem, i wznowił poszukiwania skrytki. W trakcie tego, pewnej nocy **podobno** napadł i ogłuszył tu obecnego pana Witolda Reya oraz...

— Pan inspektor w to wątpi?! — warknął Witold wzburzony.

— Skądże znowu... Powiedziałem *podobno*, bo nie byłem przy tym obecny... Ani w ogóle nikt, prawda?

— Przy śmierci wuja także nikt z nas nie był obecny, a...

— Nikt z *nas*, hm...

— Witoldzie, ty wciąż przerywasz panu inspektorowi...

— Po tej napaści na pana Witolda i na panią Lidię — ciągnął dalej Huber, skinąwszy na Tytusa, aby napełnił kieliszki — Ludwik Bolton polecił drzwi od gabinetu zaopatrzyć w potężne kłódki, aby uniemożliwić tajemniczemu złodziejowi dalsze wizyty w tym pokoju. To kardynalne głupstwo przypłacił Ludwik śmiercią dnia jedenastego maja o świcie. W poprzedzającą noc Ludwik miał przykrą rozmowę ze swoją żoną. Z przyczyn, o których mówić nie mam potrzeby, pani Irena zemdłała. Ludwik przeniósł ją na fotel stojący obok okna, otworzył okno i całkiem przypadkowo dostrzegł jakieś światełko w narożnym pokoju, którego jedyne drzwi zostały przecież zamknięte *na cztery spusty*. Ale okno było **otwarte**... Harry musi być dobrym akrobatą, skoro potrafił opuścić się z dachu i wejść przez to okno...

— Nic dziwnego, był przecież w cyrku!

— Julio, ty wciąż przeszkadzasz panu inspektorowi!

Julia spojrzała gniewnie na Witolda, który tak szybko się zrewanżował, już-już otwierała usta, by nie pozostać dłużną odpowiedzi, gdy wtem zagrzmiało tak, że cały dom zadrżał w posadach.

— W imię Ojca i Syna!

— Jeśli ja dziś nie zwariuję... — zawtórował płaczkliwie Wawrzyniec Dorn, przysuwając się, coraz bliżej do matki.

— Ludwik Bolton — zaczął znów Huber — zrobił jeszcze jedno głupstwo. Zamiast zbudzić mnie, zamiast

odciąć drogę tajemniczemu włamywaczowi, pobiegł po drabinę, przystawił ją do okna cichuteńko wspiął się na górę, wskoczył do pokoju przez okno i... po krótkiej walce zginął. Te wypadki są wam zbyt dobrze znane, abym je potrzebował przedstawiać. Pragnę tylko zwrócić waszą uwagę na niesłychany tupet i przezorność Harry'ego, który dowiedziawszy się, że posłałem po tresowanego psa, wszedł ponownie do pokoju, rozlał po dywanie benzynę, zapalił ją i uciekł, zanim pani Julia zauważyła ogień... Pominę znów mniej ważne epizody, a przejdę do wypadków wczorajszej nocy...

— Napad na Irenkę!

— Tak, panie Witoldzie. Ta sprawa wiąże się ze sprawą kradzieży prawdziwego testamentu Jana Boltona. Kradzieży dokonał oczywiście Harry Pawley, ale czy wiecie dlaczego? Dlatego, aby utrzymać w mocy drugi testament, sfalszowany przez Ludwika Boltona przy pomocy pani... no, nie mówmy o tym na razie, przy czyjej pomocy — dodał z dobrotliwym uśmiechem, widząc przestrach Lidii... — Harry był wydziedziczony w obydwóch testamentach, a jednak zależało mu na tym, by utrzymał się fałszywy testament...

— Nie sądzi pan chyba, że z sympatii dla Ludwika.

— Nie, zjadliwy szyderco; z sympatii dla jego żony. Harry zakochał się bez pamięci w pani Irenie!

— I on także — westchnęła Lidia cichuteńko.

— Tym razem pan inspektor ma wyjątkowo rację — oświadczył Witold i zacisnął pięści. — Ja także zauważyłem już dawno jego umizgi do Ireny.

— Przepraszam, o kim pan mówi?

— No, o Michale Boltonie, recte Harrym Pawleyu.

— Więc Michał i Harry to to samo?!

— Cioteczka jeszcze tego nie pojęła? Bardzo mi przykro, ale tę prostą zagadkę rozwiązali tutaj już wszyscy. Nawet... nawet Tytus!

— Tak jest — przyznał wymieniony z dumą, uważając słowa Witolda za komplement. — Początkowo podejrzewaliśmy wujka Waclawa, ale...

— Tsss! Chłopcze, co ty wygadujesz! Kochanego Wacusia? Nigdy!

— Jak to, przecież mama sama mówiła, że...

— Ach, tak, mojego męża uważaliście za bandytę! Waciu i ty nic?

Do kłótni rodzinnej nie doszło, gdyż rozległ się potężny łoskot, nowa porcja tynku opadła na głowy słuchaczy Hubera i znowu zadudniło coś głucho, długo, przeciągle.

Równocześnie natężenie burzy doszło chyba do zenitu. Wicher wył potępieńczo, wstrząsając okiennicami i zagłuszając szum ulewy, a sam zagłuszany raz po raz piorunami. Na dobitkę ogromny, dwupiętrowy hall stał się jak gdyby pudłem rezonansowym dla wszelkich szelestów w pałacu wywołanych wiatrem i wyolbrzymił ich echa w zatrważający sposób.

— Nie siedźmy tutaj — prosiła Lidia. — W pokojach będzie na pewno zaciszniej, niż w...

— Co to?! Słyszeliście?

— Słyszymy... O znowu! Jakby ktoś się do drzwi dobijał!

Co najdziwniejsze, te odgłosy dobiegały z góry, z drugiego piętra, gdzie przecież nikogo w tej chwili nie było, bowiem z dwunastu osób obecnych w pałacu dziesięć siedziało przy kominku, a Irena i Elżbieta Reyowa przebywały w pokoju na pierwszym piętrze.

— Tam ktoś jest!...

Istotnie wyglądało na to, że ktoś jest na drugim piętrze i z całej siły szarpie klamką drzwi, zamkniętych na klucz...

Wtem trzask. Zaskrzypiały zawiasy, a po chwilce otworzone siłą drzwi zatrzasnęły się na powrót z łoskotem, który w hallu zahuczał jak grom. Potem... potem zabrzmiały kroki! Ktoś szedł powoluteńku galeryjką na drugim piętrze.

— Złudzenie... Masowa sugestia — mrucał Huber, zmarszczywszy krzaczaste brwi, ale wbrew temu, co mówił, zadarł głowę do góry i patrzył. Za jego przykładem poszli inni, tylko Lidia wołała ukryć twarz w ramionach matki, która znów zaczęła klepać pacierze.

Kroki na galeryjce umilkły, za to skrzypnęła deska pierwszego od góry stopnia schodów. Ten stopień skrzypiał zawsze najbardziej...

— Ktoś... idzie... po schodach! — wyszeptwała Julia.

Miała rację, wszyscy to słyszeli, lecz nikt nic nie widział na razie. Wprawdzie w dwóch kandelabrach jarzyło się kilkanaście świec, wprawdzie w kominku ogień jeszcze nie wygasł, ale przy rozmiarach hallu w pałacu jeleniowskim zasięg tych światel nie przekraczał pierwszego piętra... Wycie wiatru zagłuszyło kroki.

— Przystanął!

— Kto?! Gdzie?! — Nawet Huberowi udzielił się snadź ogólny nastrój trwożnego wyczekiwania na coś strasznego, bo mówił już szeptem. On, który zawsze ryczał takim tubalnym głosem!

— Na pierwszym piętrze... Och, znowu, znowu!

Znowu zaskrzypiały stopnie, tym razem już poniżej pierwszego piętra, ale schody miały w tym miejscu zakręt

niedozwalający dojrzeć od kominka, kto schodzi do hallu. Należało poczekać jeszcze kilka sekund, które stały się długie jak minuty, jak godziny! Już i tak bardzo powolne kroki stały się jeszcze wolniejsze; pomiędzy jednym skrzygnięciem stopnia a drugim upływała, zda się, wieczność!

Wreszcie!... Spoza zakrętu wyłonił się jakiś cień. Jakaś wysoka, czarna postać zamajaczyła w półmroku. Czarna postać miała trzy jaśniejsze plamy: twarz i dłonie rąk skrzyżowanych na piersiach.

— Kto tam jest? — spytał Huber głosem, który miał być groźny, ale zabrzmiał bardzo, a bardzo niepewnie...

Nie było odpowiedzi. Postać znieruchomiała na długo.

— Może ktoś z państwa podejdzie bliżej i sprawdzi, zaproponował Huber szeptem. — Ja bym sam poszedł, ale nogi mi ścierpły z siedzenia.

— Mnie również — wykrztusili jednogłośnie bracia Dornowie.

— Dobrze, pójdę! — Witold wypił kieliszek, nalał sobie drugi, znów wychylił go duszkiem i dźwignął się z fotela. — Pójdę!

Łysnęło się znowu. Powódź oślepiającego światła załazała hall na sekundę i Witold opadł na swój fotel blady, jak trup.

— **Janek!!!**

Huk gromu, który uderzył w jakieś drzewo przed domem zagłuszył bez śladu przeraźliwy okrzyk Magdaleny Dorn.

ROZDZIAŁ XXXII

Nieopisana groza ogarnęła garstkę ludzi zgromadzonych przy gasnącym kominku. Wszyscy, jak ich tu było dziesięcioro, to widzieli i mogliby przysiąc na swoje życie, że na schodach stał Jan Bolton! Może tylko Huber nie zdążył mu się przyjrzeć, bo właśnie zapalał cygaro; gdy podniósł głowę, błyskawica już zgasła, ale i on zdołał zauważyć przybysza.

— Kto tam jest, pytam?!

— Cicho, inspektorze, na Boga, cicho!

Schody zaskrzypiały znowu. Poprzez wichru poświsty słyhać było powolne stąpanie tajemniczego intruza i spazmatyczny płacz Lidii.

— Idzie! Idzie tu do nas!

— Julio, milcz, błagam!

Inspektor Huber wyrwał z kieszeni elektryczną latarkę.

— Nie, do diabła ja muszę wiedzieć, kto... — przesunął guziczek, skierował strumień jasnego światła w stronę schodów i zabelkotał zmienionym głosem — Jan Bolton?! Na, Boga, czy ja śnię?! Jan?!

Tak! Na trzecim stopniu schodów stał Jan Bolton!

Gdyby ktoś miał jakie wątpliwości pod tym względem, wystarczyło, by rzucił okiem na portret zmarłego właściciela Jeleniowa, wiszący w hallu tuż koło schodów. Ta sama sylwetka, ta sama twarz, broda, to samo lekkie pochylenie, ten sam czarny strój; nawet złośliwego uśmiechu uwiecznionego na doskonałym portrecie nie brakło na bladej, jak opłatek twarzy **widma**.

— Czciogodny duuuchu — zadygotał głos Julii — odejdz, odejdz!

Nie pomogło ani to zakłęcie, ani inne, a tymczasem Huber otrząsnął się nieco z wrażenia, pochylił się ku skulonej trójce kobiet i z nerwowym pośpiechem zaczął coś do nich mówić szeptem.

— Pan oszalał! — oburzyła się Julia. — Tylko człek pijany i...

— A jednak spytam! — odrzekł Huber z uporem. Znowu skierował światło swej latarki na zjawę. — Czciogodny duchu — zaczął drżącym głosem — czy morderca jest w naszym gronie?

Widmo skinęło głową powoli.

— Jest!

— Potakuje, widzieliście?

Huber odchrząknął jakby dla dodania sobie odwagi.

— Czciogodny duchu, czy możesz go nam wskazać?

Znowu taki sam potwierdzający ruch głowy.

— Więc wskaż!

— Idiocyzm! — syknął Witold Rey. Chciał się zerwać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i przerażony wzrok wlepił w zjawę, która powolutku, majestatycznie zaczęła iść w **jego** stronę.

Najbliżej schodów siedział Witold, obok niego Wawrzyniec, dalej Henryk Peschel, dalej Julia z mężem,

naprzeciw nich Tytus, Lidia, Magdalena, inspektor Huber oraz Marski... Huber zgasił latarkę. Jej światło było już zbyteczne teraz, gdy zjawa weszła w zasięg czerwonych odblasków ognia w kominku...

Zmartwychwstały Jan Bolton czy jego duch przystanął o dwa kroki od Witolda. Patrzył na niego przez chwilę, potem przeniósł wzrok na Wawrzyńca, który pod tym spojrzeniem skulił się w fotelu i szybko zakrył sobie oczy. Nie widział już tego, że widmo przeniosło wzrok znowu dalej.

— Wskaż nam mordercę — rzekł Huber nieco śmieiej.

Zjawa wznowiła przerwany pochód. Minęła Witolda, minęła Wawrzyńca, przystanęła ponownie, wyciągnęła rękę i wskazała Henryka Peschela!

— Niiieee! — wrzasnął wskazany, osuwając się na kolana. — Ja ciebie, wuju, nie chciałem zabić, przysięgam... Niiieee! Tyś cyngiel nacisnął, ty sam! Nie ja, nie, nie, nie. Przysięgam na duszę matki! — bełkotał z oszałamiającą szybkością, wijąc się u stóp milczącego widma. — Ludwika tak, musiałem, ale ciebie...

— Wystarczy! — warknął Huber i z nieporównaną zręcznością nałożył Peschelowi kajdanki na wyciągnięte ręce. — Panie Harry Pawley, aresztuję pana. — Dźwignął go na nogi i odprowadził ku drzwiom najbliższego pokoju, w którym od dwóch godzin czekało kilku agentów...

Huber wyszedł wraz ze zdemaskowanym przestępcą, ale **duch** pozostał i dopiero teraz zaczął się trwożyć, co się zowie. Witoldowi dał prztyczka w nos, półprzytomnego Wawrzyńca poklepał po policzku wcale mocno jak na ducha, potem Marskiemu z kurczowo zaciśniętych zębów wyjął fajkę i wcisnął ją w szeroko

otwarte z przerażenia usta Julii Dorazilowej.

— Ciągnij! — huknął niskim, „grobowym” głosem.

Julia wybałuszyła oczy, ale usłuchała, pociągnęła, zakrzuszyła się, zakasłała, podniosła rękę ku fajce i oberwała w dłoń takiego klapsa, że opuściła ją co prędzej.

Splatawszy każdemu jakąś psotę, zmateralizowana zjawia usiadła na fotelu Hubera, nalala sobie wina pełną szklanekę, wypila z pół jednym haustem, po czym przysunęła sobie półmisek z wędlinami i zaczęła się odżywiać tak intensywnie, że widzów ogarnął przestach.

— Ależ ich tam, biedaków, muszą głodzić — wyszeptala współczująco Magdalena, on chyba był w piekle!

— Nie — odburknął „duch” — w piekle karmią dobrze, za to w niebie co dzień wypada jakiś post...

Przyjazna pogawędka ośmieliła Julię, stęsknioną za rozmową.

— Czy ja śnię, czy...

— Śniesz! — huknął „duch”. — A skoro śniesz i śpisz, to gadać ci nie wolno. Właśnie dlatego dostałaś fajkę... Ciągnij! — Znowu zaczął jeść, aż nagle, gdy mu broda wjechała do szklanki, zaklął, schwycił się za włosy i jednym szarpnięciem zerwał sobie perukę wraz z przyprawioną brodą.

Okrzyk szalonego zdumienia wyrwał się z ust wszystkich:

— **Michał Bolton?!**

— Tak, to on — rzekł Huber, który właśnie wracał do hallu.

— Wyreż mi pan w gadaniu — mruknął Michał, pragnąc poświęcić się wyłącznie konsumpcji wędlin leżących na półmisku. — Ja się dzisiaj dosyć

napracowałem... Samo odstawianie nieboszczyka, to jeszcze nic, ale czy wy macie pojęcie, jak to trudno grać w kręgle po ciemku? Diabelnie trudno! Musiałem przecież uważać, żeby która kula nie stoczyła się z galeryjki i na łeb wam nie spadła... Aha, tu macie resztę cukru, którym was posypałem — dodał, wyciągając z kieszeni całą garść zdrapanego gdzieś tynku i wysypał ją na kolana Magdalenie...

— W to to już nie uwierzę — zawołał Marski — żeby kula od kręgla mogła naśladować pioruny... O, słyszy pan? Jeszcze grzmi.

— Tak, brudna konkurencja. Moje grzmoty są jednak milsze dla ucha; mniej hałaśliwe, za to dudnią dłużej... A teraz nie zawracajcie mi już głowy, chcę jeść... Pan inspektor zresztą wyjaśnił wam już wszystko.

— Jeszcze nie wszystko! — odparł nachmurzony Witold. — Jeszcze żądam wyjaśnienia sprawy pańskiego ohydneho napadu na Irenę!

— Na panią Irenę — Huber wyręczył Michała w odpowiedzi — napadł także Harry Pawley. Wślizgnąwszy się do pokoju przez niezamknięte okno, położył na jego parapecie spinkę od mankietu, którą zabrał panu Michałowi, następnie odemknął drzwi z klucza, aby nie wracać tą samą karkołomną drogą lub też, aby jeszcze i ten szczegół skierował podejrzenia o napad na pana Michała. Uważał go bowiem za najgroźniejszego...

— Najgroźniejszego po panu, inspektorze — wtrącił Michał wesoło.

— ...a zarazem za rywala, którego przez tę perfidnie zaaranżowaną napaść spodziewał się unieszkodliwić.

— Co mu się omal nie udało, dzięki nagminnie tu panującej głupocie.

— Posłyszawszy krzyk pani Ireny — ciągnął dalej Huber — pan Michał wpadł do jej pokoju i schwycił Harry’ego, false Henryka Peschela, za kark. Zaczęli się mocować na tym łóżku, już, już...

— Ależ tam leżała Irena!

— Słusznie, boska Julio. Było nam też trochę ciasno we trójkę, wobec czego musieliśmy się ułożyć warstwami; spodnią stanowiła pani Irena, górną ja a w pośrodku leżał Harry. Nie byłby mi się wyrwał i byłbym draba zdemaskował już wczoraj, gdyby nie to, że pani Irena po ciemku wyrznęła lichtarzem mnie, a nie jego, jak chciała. Straciłem przytomność, a Harry zwał co prędzej...

— Więc mówicie, że Harry’emu chodziło przy tej napaści o skompromitowanie pana Michała.

— Oczywiście.

— Nie, inspektorze — zaprzeczył Michał. — Pani Irena jest zbyt piękną kobietą, aby Harry mógł poprzestać na tak skromnym programie.

— A to łotr! — wybuchnął Witold. — Żałuję, że go broniłem...

— A ja właściwie żałuję, że go musiałem zdemaskować — mruknął Michał, smarując sobie masłem okazałą piętękę chleba — bo to bardzo nieszczęśliwy człowiek, wykolejeniec, a przede wszystkim pechowiec. Czyż wypadek z Maciejem nie dowodzi tego? Albo przypadkowy strzał, który spowodował śmierć Jana Boltona?

— Niech pan nie zapomina o Ludwiku!

— Tak, jego zabił. Tylko jego. Ale czy to był mord z premedytacją? Nie! To było zabójstwo w afekcie, w bojowym szale walki... Wierście mi, moi drodzy, że byłbym niepokieszony, gdyby ten człowiek zafasował

stryczek.

— Sądzę, że do tego nie dojdzie — mruknął Huber; listy Anieli Pawley, które pan wczoraj znalazł w pokoju Macieja zrobią swoje w procesie... Na mój rozum, to Harry Pawley oberwie z dziesięć lat paki...

— Drogi inspektorze — rzekła Julia przymilnie — zaczynam się domyślać, że całą tę komedię zaaranżował pan z tym młodzieńcem, ale...

— Że też przed panią nic się nie da ukryć! — kpił Michał.

— ...ale — ciągnęła dalej niezrażona — nie rozumiem, jak pan wpadł na to, że Harry Pawley i Henryk Peschel są jedną i tą samą osobą.

— Nie ja na to wpadłem, ale pan Michał... Naprowadził go na to odkrycie drobny szczegółik, jak to bywa najczęściej... Pan Michał domyślał się od dawna, że zabójcą Jana Boltona jest syn jego siostry Anieli z Chicago, ale aż do wczoraj nie wiedział pod jakim nazwiskiem on tutaj bawi, *w czyjej skórze siedzi*. Tylko Macieja? Nie. A zatem?... Dopiero wczoraj w izbie Macieja w skrytce za piecem znalazł listy Anieli Pawley, poznał z nich curriculum vitae niedoszłego misjonarza, dopiero wczoraj dowiedział się, że temu siostrzeńcowi Jana Boltona jest na imię Harry. Harry po angielsku to tyle, co Henry, co po polsku Henryk. I nagle uderzyło go: **Henryk** Pawley... **Henryk** Peschel...

— No, to przecież nie stanowi żadnego dowodu.

— Oczywiście, panie Witoldzie. To nie był dowód, ale taki sobie... jakby to kreślić... taki błysk przeczucia... Pan Michał zaczął grzebać w pamięci i wygrzebał z niej jedno bezcenne spostrzeżenie, które dawniej uchodziło jego bacznej uwagi, mianowicie, że ile razy Henryk Peschel

zjawiał się w pałacu, tyle razy Maciej stąd znikał!

— I to jeszcze nie dowód.

— Słusznie. Dlatego pan Michał postanowił zdobyć pewniejsze dowody u notariusza! Byliśmy tam dzisiaj razem i dowiedzieliśmy się, że w kancelarii żaden Henryk Peschel nie pracował, że nikt tam o takim gościu w ogóle nie słyszał, że Peschel, rozumie się samo przez się, nie oddał rejentowi testamentu, jaki wy mu tutaj wręczyliście.

— Prawda, testament!

— Są, są, obydwu — odparł Huber z uśmiechem, wyjmując z kieszeni obydwu dokumenty, znalezione przed chwilą przy rzekomym Peschlu...

— No, teraz to już pan nam wyjaśnił naprawdę wszystko!

— O, jeszcze nie! — zawołała Julia. — Jeszcze ten zdolny, choć źle wychowany młodzieniec...

— Domyślał się, że o mnie mowa — roześmiał się Michał.

— No, chyba, że nie o moim mężu!... Otóż chciałam powiedzieć, że ten młodzieniec nie wyjaśnił nam dotychczas, co zrobił z **naszymi** pieniędzmi. Z tych sześćdziesięciu tysięcy franków szwajcarskich odebraliśmy mu wczoraj zaledwie dziesięć tysięcy. A gdzie reszta?

— W skrytce, którą wczorajszej nocy odnalazłem wreszcie, a której wam nie pokażę, dopóki mi na piśmie nie przyrzeczecie dziesięciu procent znaleźnego. Tyle mi się patrzy z ustawy, prawda, inspektorze.

Rozpoczęły się zaraz namiętne targi, które Huber przerwał trzeźwym przypomnieniem, że nikt tu nie ma nic do gadania oprócz Witolda, bowiem, on jako uniwersalny spadkobierca Jana Boltona jest wyłącznym właścicielem Jeleniowa... Witold bez wahania przyrzekł znaleźne...

— Ale niechże pan wreszcie zaspokoi naszą ciekawość, panie Michale... Boć szukaliśmy tych pieniędzy wszyscy, przetrząsnęliśmy każdy kąt gabinetu, opukaliśmy każdy cal wszystkich czterech ścian i nic.

— Więc niech pan jeszcze opuka dobrze drugi piec.

— Piec?!

— Ale ten drugi, obok szafy z książkami. Przekona się pan wówczas, że ten rzekomy piec wewnątrz ma małą kasę pancerną... A oto kluczyk od niej... Pozwoliłem go sobie zdjąć z kółka i teraz go oddaję.

— Niech pana kule biją! Jak pan wpadł na to, że...

— Och, niech mi pan tego nie przypomina, bo spalę się ze wstydu. Toć największego cymbała powinno było od razu uderzyć, że **dwa** piece w jednym średnio dużym pokoju to o pięćdziesiąt procent za dużo!

* * *

Od następnego dnia począwszy przez dobry tydzień wszystkie dzienniki zamieszczały sążniste opisy wypadków, jakie wydarzyły się w pałacu jeleniowskim. Inspektor Huber otrzymał wprawdzie lekkie *pater noster* od swego zwierzchnika za urządzenie makabrycznego przedstawienia, ale za to stał się najpopularniejszą postacią z licznego zastępu tych, którzy z większym lub mniejszym powodzeniem walczą z przestępcami; jego nazwisko powtarzało się w każdym sprawozdaniu *od* „własnego korespondenta” (który się nigdy z redakcji nie rusza) dziesiątki razy, a sprawozdań były setki!

Nic dziwnego, że żadna sensacji publiczność przeoczyła małą notatkę zamieszczoną w sportowym dodatku, a wydrukowaną *petitem*, iż znany hokeista Michał

Bolton ofiarował „przypadkiem znalezione” sześć tysięcy franków szwajcarskich na fundusz Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

KONIEC

